



1487 I

Ed. Oleszkowa

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty.

21
ŻACY KRAKOWSCY

w r. 1549.

El. Orzeszkowa

PROSTA KRONIKA SPISANA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1 10.

1873.

WARSZAWA

W księgarni Michała Glücksberga.



821.162.1-3112



D. 8. c. 15. 6. 45
44r.

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

I.

Bitwa na ulicy.

Było to roku 1549.

Mężczyzna średniego wieku, ogorzałej twarzy, pospolitych i małoznaczających rysów, szedł ulicą mimo kościoła i bursy wszystkich Świętych w Krakowie. Ubranie jego składało się z kubraka ciemnego podpasanego skórzanym pasem spiętym na błyszczącą klamrę, butów czarnych długich, z których buchaste wywijały się szarawary, i czapki dziwaczного kształtu, z wytartą opuszką. Wiódł on pod rękę kobietę słusznego wzrostu, dobrej tuszy, niegdyś jak widać było z rysów twarzy piękną; ale wdzięki jej teraz już przygasaly, lica nabrały barwy jesiennej żółtej, oczy straciły blask, usta z lekka siniały, czoło marszczyło się, policzki tylko zarumienione nieco były, nie rumieńcem młodości i życia, ale czerwonością chorobliwą. — Ta kobieta była to sławna dawniej gamratka krakowska, pani Streli-mussa. Strój jej nie różnił się od pospolitego stroju wszystkich mieszczek krakowskich, chyba niezwykle pomieszaniami kolorów jasnych i wykwinnością na dzień powszedni nie zwyczajną u innych.

Para ta szła samym środkiem ulicy śmiało i bezczelnie, snąć pan Tomasz nie miarkował co czynił, albo bardzo był zuchwały, że się tak puszczał dniem jeszcze z tak znajomą kobietą mimo szkoły i bursy, której mieszkańcy najsrożej zwykli byli podobnego rodzaju niewiasty przesładować.

Zbliżali się ku bursie; przewodnik nie usunął się w bok, nie zwolnił kroku, nie spuścił głowy, ale kobieta ujrzawszy liczny tłum przed bursą i szkołą właśnie wychodzących żaków, targnęła go. On nie zważał popieszczając. Żacy poczęli głośno i wrzaskliwie swawole sobie właściwe, rozsypali się po ulicy, jeli jedni drugich gonić, ciskać na się, krzyżeć i jak konie młode, tylko co ze stajni na swobodzie brykać.

Wiedząc z doświadczenia, że młodzież ilekroć się z nią na swe nieszczęście w ulicy spotkała, nie przepuściła jej nigdy bez uragań i pocisków, Strelimussa niespokojna, zwróciła się do pana Tomasza i ozwała się:

— Panie Tomaszu, mimo iść żadną miarą nie można, wróćmy się i przejdźmy inną uliczką, tyłami. Widzisz ten tłum żaków — oni nas — błotem zarzucają.

Ale pan Tomasz nie chciał w oczach kobiety za tchórza uchodzić a żaków nie miał za Boże stworzenie i myślał, że się im jedną ręką opędzi, to też idąc dalej odpowiedział:

— Oho! oho! cóż to sobie myślicie? albo to mnie straszna ta hołota, te urwisy, żebraki, b....., żeby ich dwa razy tyle było co jest? Śmiało moja panno pókiś ze mną; zuch to będzie, kto z nich nas choć słówkiem zaczepi! Ho! ho! mrówki to, które podeptałbym jak... Żeby ich nie dwa, czterdzieści razy tyle było co jest, pewnie się nie wróce. Tirelire jak

spiewają we francuskiej ziemi — Ton! ton! śmiało się tylko ujmij za mnie i oczu tak nie spuszcza! tfu! nigdy się nie spodziewałem, żebyś ty otarłszy się między ludźmi przez lat tyle jeszcze się wstydzić i kraśnieć umiała!

Tak dodając odwagi drżącej towarzysze swojej śmiało się sam zbliżał ku tłumom studentów, mierzył ich pogardliwie oczyma, a niby nie chcący języka ku nim wystawiał.

Lecz zaledwie podeszli tak blisko, że młodzież rozpoznąć mogła dokładnie znaną całemu miastu Strelimussę, śmiechy, krzyki, świsty, wrzaski coraz dzwonnejsze, głośniejsze, straszniejsze rozległy się długo okropnie po ulicy. Kobieta chwyciła silnie rękę Tomasza i niespokojnie zawołała, zwracając go i targając:

— Wróćmy się, wróćmy, na Boga, wróćmy się panie Tomaszu, ja tego nie wytrzymam!

— A patrzcie no patrzcie — ozwały się głosy z tłumu, patrzcie jak ta koszlawa cnota uwiesiła mu się na rękę. — Szubienicznik jakiś, heretyk, ha! ha! hu! hu! błotem na nich! — Jak śmieli iść tak koło szkoły! koło nas! — koło kościoła! — jeszcze się dmie! — trzask jakby siedział na tronie, błotem na nich! hu! hu! błotem na nich!

Za temi słowy nastąpiły plugawsze jeszcze i kilka garści błota przyłgnęło na sukni Strelimussy i jej towarzysza. Pan Tomasz podniósł natychmiast głos i niezważając na prośby kobiety, aby milczał, szedł prędzej, stanął nagle nieporuszony i otaczających go łajac zaczął.

— Łajdaki! obszarpańce! — Cicho! bo was nauczę rozumu! A do szkoły błazny, a do książki gołowasy!

— Ha! ha! hu! hu! krzyki tylko i łajania zawrzały w tłumie i razem potężny kawał błota zasłonił oczy śmiałemu przewodnikowi. Strelimussa blada, drżąca, wylękała, krzyczała na niego, prosiła aby szedł i szedł prędko, ciągnęła go za sobą, szarpała za ręce — ale napróżno. Pan Tomasz nie uważał na to i stał jak kamień wrosły nogami w ziemię, rozgniewany, rozjuszony, wołając ciągle — ja was nauczę rozumu, ja was nauczę!

— Chodźmy na miłość Bożą — wołała Strelimussa oni nas zabiją!

— Nie bój się przy mnie niczego! krzyczał Tomasz, muszę ich wylajać. — Łotry! odważyliście się błotem ciskać, czekajcie! ja was nauczę! Jestem sługa siostrzeńca księdza kanonika, słyszycie księdza kanonika! — I wrzeszczał próżno, nie zważając jak go drżąca i przełknięta Strelimussa ciągle bezskutecznie szarpała; a coraz nowe wrzaski, przekleństwa, urągania, śmiechy, zagłuszały go szumiąc bezprzestannie w około.

— Piękna para! śliczna para! — wołali żacy, potać-cujcież nam trochę! tu w środku na ulicy! hu! ha! — Nużę patronko niecnót całego miasta! i ty drągalu itd. Ruszajcież się piękne małżeństwo! o! hu! Którę - że to dzień ślub wam dawał? ha! ha! Śliczną masz żonkę panie wąsaty niedźwiedziu! Wdowę po połowie świata! Tańcujcież nam! itd. itd.

Potem gościejszy coraz sypnął się zewsząd grad kamieni, piasku, błota, trzasek, śmiecia, wody tak żwawo, tak niespodzianie i tak trafnie wymierzony, że w momencie suknie kobiety i jej zuchwałego przewodnika okryte niemi z góry do dołu zostały. Strelimussa drżąca z gniewu i bojaźni, klnąc i chcąc uciekać,

napróżno usiłowała wyrwać się panu Tomaszowi i umknąć, on trzymał ją silnie za rękę, stał na miejscu i miotał wszystkie jakie umiał przekleństwa na studentów, którzy wśród śmiechów i krzyków własnych, nie słyszeli nawet jego głosu. Co chwila tłumili jego słowa kawały błota lgnące na oczach i ustach, na skroni i policzkach; a każde trafne uderzenie witane było od tłumy głośnemi oklaskami i pochwałami. Celowali wszyscy, tryumfował kto trafił, a Tomasz nieporuszony; kiedy nareszcie pomiarkował, że wypadało uciekać, bo nie poradzić nie mógł, ujrzał razem, że z tyłu i z przodu i z boku tłumy młodzieży zastępowały mu drogę. Godne było litości położenie ich, gdyż zapóźno opatrzywszy się, cofnąć się już nie mogli.

Nie licząc słów rozmaitych, które na napastowanych nie wielkie musiały robić wrażenie, błoto i piasek, któremi je obrzucano, liczne kulaki i szturchańce od bliższych, męczyły nieszczęśliwych. Tomasz nawet z groźb i łajania przeszedł do krzyku w litość i pomoc. Liczny tłum rozmaitego stanu osób zwabiony do okien i drzwi śmiechami i okrzykami zgromadzonych, przypatrywał się i powiększał także ile mógł wzrastający bałas i wrzawę. Mieszkańcy wychodzili z domów, przechodnie stawali i patrzyli na tę parę obleżoną od dzieci i do niepoznania obrzuconą błotem i piaskiem. Ciżba i krzyki rosły co chwila, a Tomasz za późno zdawszy się na prośby Strelimussy aby uciekać, nie mógł już nic poradzić, bo wszędzie gdzie się obrócił, spotykał uderzenia, kamienie i błoto którego już gruba warstwa czerniała na tego twarzy i sukni. Trzeba się jednak było ratować jakimkolwiek sposobem, bo znieść dłużej nie mogli.

Nie daleko miejsca potyczki, ba naprzeciw prawie, stała plebanja, a w niej mieszkał prałat, zacny ksiądz Jędrzej Czarukowski. Ze drzwi tego domu zwabieni ciekawością, wyszli także słudzy jego. Póki zmierzch nie dozwolił im rozpoznawać w pośrodku znajdujących się osób, śmieli się razem z innemi; lecz gdy jeden z nich w chwilowem uciszeniu się rozpoznał głos Strelimussy, zastanowił się i namarszczył.

— Hola! zawołał do swoich, jakem zacek bracie Gierwazy, to nasza sąsiadka Strelimussa w tych opalach.

— E, kto? zapytał drugi mały przez nos, zataczając się i przymykając oczy.

— Jakbyś nie znał! przysłuchajno się jeno, a wnet głos rozpoznasz, ta to niedaleka ztąd od pani Julianny tłusta, biała, co ją zwa Strelimussa. Ta hołota, mazgaje, bursarze te, co nam okna wybijają, śmia jeszcze białogłowy bezbronne napastować na ulicy! Już to nie pierwszy raz.

— Tak! nie pierwszy raz! — napastować na ulicy! — odezwał się drugi pijany, ho! napastować!

— Nauczmyż rozumu tych urwipolców!

— Bardzo dobrze!

— Kijów! — kijów, — a ty weź swoje zardzewiałe szablisko!

— Biegaj waszeć — stoją maczugi dwie żelazem kute, co ja z niemi chodzę, kiedy mnie gdzie ksiądz nocą posyła, jest tam i dwie pono szable, tylko jedna bez ręki, potraskamy im łby uczciwie!

— Potraskamy, uczciwie! zawołali wszyscy, i dorwawszy się kijów i szabel, zagrzani trunkiem, poduszczając się wzajemnie, rzucili się na tłum studentów

pastwiący się dotąd nad bezbronną parą.

Ukazanie się dwóch zbrojnych w ogromne maczugi i szable barczystych i silnych chłopów, dodało odwagi panu Tomaszowi, który puściwszy Strelimussę razem z niemi wpadł na bursarzy. Inni widzowie trzymający w duchu stronę obleżonych, którzy sami nie śmieli się na tłum posunąć, przy tej pomocy rzucili się z czem kto miał w rękę na studentów. Walka była nierówna, bo choć liczba bursarzy przewyższyła kilka razy napastników, niemając jednak żadnej broni, zaraz uciekać, kryć się po domach i rozbiegać zaczęli. — Nie zdołali jednakże umknąć wszyscy przed sługami ks. Czarnkowskiego, którzy znienacka ich napadli i bić bez miłosierdzia zaczęli. Pierwszy który tę wyprawę doradził, posunawszy się naprzód, machając szablą na prawo i lewo kilku poranił; drugi niemniej narobiwszy ran i guzów ścieląc sobie pod nogi studentów, zajadły szedł dalej nie spotykając żadnego oporu.

Tomasz także mszcząc się za siebie i towarzyszkę swoją, dorwawszy się kija z gniewem bez litości gonił za studentami. Nie było się jednak czem nasycić, bo wkrótce prócz kilku rannych i zabitych leżących na placu nikt nie pozostał. Strelimussa nakrzyczawszy się przez cały czas walki, porwana tłumem ledwie się oswobodziła z zamieszania, klnąc świat cały powróciła do domu opłakiwać utratę sukni i całego ubioru. —

Nim się jeszcze czas mieli rozprószyć studenci, w oknie plebanii, a potem we drzwiach pokazała się postać jakaś ubrana w suknie księże, którą wszyscy za samego księdza plebana wzięli. Ta zachęcać się zdawała do boju krzykami i poruszaniem kija którego w rękę trzymała. Okoliczność ta podwoiła jeszcze zapal sług

do boju, sądzili bowiem, że sam pan ich rozkazuje bić bursarzy i nieprzepuszczać im. Robili więc co tylko mogli z siebie i póki tylko było kogo bić, bili bez miłosierdzia.

~~~~~

## II.

### Pobojowisko.

Stróż nocny szedł, obwołując północ.

Ulice stały ciche, księżyc świecił, a wiatr jesienny coraz to na niego chmurkę napędzał, to odganiał chmury, jakby żartował. Prócz jednostajnej ochryplego stróża piosenki, prócz kogucich głosów, które jak odzywy strażników odpowiadały sobie z różnych stron miasta, wszystko milczało. — Bo dawniej każdy kładł się spać ze zmrokiem prawie, a w najsumniejszych nawet zabawach rzadko odważano się cały wieczór przepędzać — dzień był na to. \*) A jeśli zdarzyła się gdzie przedłużona biesiada, brali ją zaraz księża za tekst do kazań, narzekając na zepsucie obyczajów, utratę czasu i zdrowia. Milczało więc miasto całe, a w obrębie Krakowa stróże tylko i nieliczni może zmaglenni pilną potrzebą wlekli się przechodnie, złodzieje i rozbójnicy, patrząc kędy na mniej ludne domy napaść było można bezpiecznie. Stróż prześpiewał swoją jednostajną piosn-

\*) Nawet uchwały miejskie (Wielkierze) broniły długich nocnych zabaw mieszczanom.



kę i znów wszystko ucichło w mieście jakby w niem żywej duszy nie było. Na murach pokazały się cienie osób przemykających się ostrożnie. Sykania i ciche kroki słyszeć się dały, z rozmaitych stron schodzić się zaczęły postacie, których długie cienie migają na murach i nikły. W parę chwil zgromadziło się kilkanaście osób w cichości na ulicy i zbliżyło ku muiowi gdzie jakaś kupa czerniała.

— Staś z Maćkiem niech wezmą tego pierwszego na ramiona, odezwał się jeden — przyłóćcie mu rękę do serca czy nie bije.

— Trup zimny jak lód, odpowiedział drugi kładnąc na nim rękę. Ci co byli ranieni pouciekali, a ci co tu zostali już nie wstaną. W milczeniu odłożono na bok trupa. Kolejno obejrżeli wszystkich, żaden nie dawał znaku życia. Ci którzy na to patrzali, choć starsi, nie przywykli jednak do podobnych widoków, z ciekawością i przestrachem dzieciinnym, w milczeniu oglądając się w około, dotykali trupów usuwając się przerażeni samą myślą, żeby w nocy nagle odżyć mieli, szeptali pacierze i żegnali się często. — Czasem odzywało się słów kilka, potem następowało milczenie przerywane tylko szelestem sukni i stąpaniem cichem studentów.

— A gdzieście rannych zaniesli? odezwał się jeden.

— Dwóch leży u Bartłomieja Soroki, odpowiedział drugi, oba mocno uderzeni. — Starszy dostał raz okropny od prawego ucha przez oko i czoło, drugi padając gdzieś nogę wywichnął. Nie ujdzie to pobicie łotrom bezkarnie.

— Bezkarnie? przerwał jeden — a cóż im poradzisz? Co poradzą ubodzy żebracy jak my przeciw bogatemu księdzu?

— A król od czego? na toż on to siedzi na wysokim starym zamku aby sprawiedliwość wymierzył.

— Nie nam do niego przystęp, nie nam! nie nam do jego ucha skargi posyłać! pójdą bogatsi i znaczniejsi, pójdą i przełożą mu wszystko na naszą krzywdę i będziemy z białych i niewinnych, czarni jako kruki.

— Nie! nie! — wiemy że król sprawiedliwy, pójdziem do niego hurmem wszyscy, zaniesiemy mu łzy i ucisk nasz, trupy naszych braci pobitych dla jednej nierządniczy i skargi na księdza.

— Widzieliśmy wszyscy jak wyszedłszy z domu i stojąc na progu, machał pleban kijem i wołał na sług aby nas bili.

..... król da nam sprawiedliwość, pójdziem do niego jak świt.

Pójdziem, pójdziem do króla!

— I cóż król księdzu robi? odezwał się jeden, a zaliż niewiecie, że nasz król siedzi tylko jak malowane cacko i żadnej nie ma mocy, a co mu każą i doradzają to robi? Zejdą się bracia księża na sąd, kaptury i infuły, a my pójdziem bez sprawiedliwości z naszymi trupami.

— Nie — nie — przerwało kilku, zato żeśmy ubodzy, czyż niesprawiedliwość cierpieć mamy? Czy nasza nędza większą srogość, nie politowanie dla nas zyszcze? Na toż mają złoto i skarby bogaci aby niemi biednych i ubogich uciskali?!

— Nie wszędzie tak jak u nas, ozwał się inny, są ziemie gdzie insze niebo i sprawiedliwość; jeśli tu tylko łzy sierot wyciskać będą i serce nam wyjadać, pójdziem ztąd daleko.

— Co nas tu trzyma? czy bracia, krewni, czy rodzi-



ce, czy majątki, czy szczęście? Sieroty, nie znamy domu i kąta, potraciliśmy swoich i nie pamiętamy ich nawet, żaden matki nie widział od czasu jak go nie-szczęśliwego porodziła.

— Pójdziem naprzód do króla, do królowej, padniem do nóg jej i jemu, a jeśli lzy nie pomogą, krzyczeć będziemy pod ich drzwiami jak psy obite; a jeśli ich uszy i serca otwarte tylko dla szkarłatów i złota, pójdziem z polskiej ziemi, pójdziem do Moskwy, na Ruś, gdzie lud prosty, litościwy i dobry, pójdziem do Niemiec, do Włoch, gdzie nas oczy poniosą, szukać lepszego kąta i sprawiedliwości.

— Bóg nad nami — może też nas bieda z rodzinnego nie wygoni kąta, może srom będzie sędziom w oczach całego świata potępić niewinnych, a winnego, że możny, oswobodzić. Będzie całe miasto widzieć sprawiedliwość, jak zabójstwo i mordy widziało.

Jeden tymczasem szukając po kieszeniach trupa, wyjął jakiś papier i odezwał się płaczliwym głosem:

— Ot jeszcze papier, na którym myśmy wczoraj razem pisali pensum!

Staął i zamyślił się głęboko.

— Nie śmieli psy trupów obdzierać, rzekł drugi.

— Cóżby znaleźli przy ubogim sierocie? dodał trzeci.

— Torbę chyba, z którą chodził żebrac pożywienia, garnek, kałamarz i szmat podartej książki darowanej gdzie od dobrej jakiej duszy. Któż z nas ma co więcej? kto z nas widział kiedy jaki pieniądz prócz szelągów jałmużny?

Wszyscy westchnęli smutnie i poszli para za parą niosąc trupy na ramionach przez ulice. A w mieście panowało milczenie i stróż nocny ochrypłym głosem

obwoływał godzinę po północy, koguty piał, księżyc chował się, wiatr wiał zimny.

Poszli i położyli trupy pod kruchą kościelną i obwinawszy się w co kto miał, nakłonili głowy do chwilowego spoczynku przy pobitych i spoczywających na wieki braciach swoich. A nie jeden z przestachu zasnąć nie mogąc spoglądał na trupy, których białe twarze świeciły wśród ciemności, i przelatywał myślą przeszłe życie swoje i przyszłość niepewną.





## III.

## Ranek u króla.

Sprawiedliwości !

Zaledwie brzask nad miastem zaświtał i czujne mieszczki krzycząc pobudziły się do dziennej pracy, jeszcze spał król na zamku i panowie po gospodach i pałacach swoich, a już szmer głuchy około szkoły i bursy W. W. Świętych pobudził okolicznych mieszkańców.

Studenci jak się tylko między niemi wieść o zabójstwie rozeszła, wszyscy hurmem w znacznej liczbie ze wszystkich burs i szkół zbiegali się w to miejsce, krzyząc na gwałt i odgrając się głośno na zabójców. Co chwila rósł ten tłum, i zadziwieni mieszkańcy z przestachem poglądali na kupy różnego wieku szkolnej młodzieży cisnące się tłumnie po ulicach.

Lecz nie tylko ubodzy bursarze, ale i możniejszych dzieci, widząc w tem zabójstwie stanowi swemu wyrządzoną obelgę, z dziecinną zapaleczywością poszli łączyć się z bursarzami. — Długo naradziwszy się z sobą, gdy ujrzeli podchodzące w górę słońce, ruszyli się z szkolnego budynku wszyscy razem na zamek do króla.

Król ledwie się przebudził i kilku dygnitarzy weszło na zamek, kiedy straż usłyszała krzyki głośne powtarzane ciągle i zbliżające się coraz, a potem ujrzała prosto do zamku biegący tłum studentów z hałasem i wrzawą nadzwyczajną.

U samej bramy, kiedy ich straż wpuszczać nie chciała, nieświadomi obyczajów dworskich a żalem przejęci, przełamali strażę i biegli prosto nie umilknąwszy na chwilę z krzykiem i narzekaniem.

Jak tylko doszły uszów królewskich hałasy, niewierzając prawie sobie załął się Zygmunt August i przyszedł mu na pamięć sejm burzliwy przeniesiony niedawno; nie umiał sobie wytłumaczyć zgiełku tak niezwyczajnego na podwórzu o tak ранней jeszcze porze.

Prerażony porwał się z siedzenia, na którym w pobliżu mieszkania królowej Barbary, w oddalonej zamku komnacie, spoczywał i zbliżył się do okna. — Lecz nie tedy nie zobaczył, wychodziło bowiem na drugą stronę dziedzińca. Niespokojny wysłał zaraz dwóch dworzan swoich, aby się natychmiast o przyczynie tego zamieszania i wrzawy dowiedzieli.

Tymczasem umysł jego poddawał mu najsmutniejsze domysły, a roztwarta księga historii rzymskiej za Cezarów, którą czytał dni przeszłych, przypominała mu liczne zaburzenia bezrozumnego pospólstwa, które i jemu grozić mogły tem bardziej, im mniejsza była jego władza i łacniej mogła dać pochoch do domagania się od niego najdziwniejszych rzeczy.

Cieszyła go przybiegłszy królowa Barbara, sama niemniej przelekła, gdy wtem puknięto do drzwi komnaty i Mikołaj Grabia podkanclerzy ze Stanisławem Maciejowskim weszli do króla.



— Cóż to jest Mości panowie? zawołał król porywając się żywo. Jest-żem już tak niski w oczach waszych, że mnie lud z krzykiem karczemnym ma nachodzić od rana? Któż to go naprowadził na mnie?

Podkanclerzy Grabia widząc gniew, oburzenie i ciekawość malujące się w czarnych oczach króla, skłonił się powoli i dał znak tajemnie Maciejowskiemu, aby mu mówić pozwolił.

— Nie dziw Najjaśniejszy Panie, rzekł, że niezwykajnością tego postępu zdziwiony, na pierwsze osoby, które przed tobą stają, składasz jego winę. Lecz my w tem nic nie mamy.

— Dość, dość tych słów, krzyknął król, bez długich omówień, panie Mikołaju, *ad rem, ad rem*, co to za tumulty?

— Wczoraj, Najjaśniejszy Panie —

— Ale Mospanie ja się pytam o to co jest dziś, przerwał król stukając pięścią o stół.

— Pozwól Najjaśniejszy Panie, abyśmy od wczorajszego dnia zaczęli, odezwał się Maciejowski, gdyż dzisiejszy ten tumult, niezwykły u Twego zamku, z dnia wczorajszego ma przyczynę.

— No! *ad rem*, panie Grabia — proszę mi odpowiedzieć co to jest? Kto to przyszedł? czego chcą?

— Przyszli studenci Najjaśniejszy Panie, skarżyć się, że wczoraj słudzy, bo jak oni powiadają z rozkazu ks. Czarnkowskiego, kilku z nich zabili, lecz —

— Ks. Czarnkowskiego! Jezu Chryste panie! cóż ten ksiądz miał do studentów? Panie Maciejowski opowiedz mi to jasno. Słyszę jak ta szalona młodzież wrzeszczy na dziedzińcu — czy to tu gospoda? czy ulica? Panie podkanclerzy, niech ich straż precz odpędzi lub — cze-

kaj — mów-że panie Maciejowski.

— Wczoraj, zaczął Maciejowski, gdy pod wieczór trafunkiem prowadzono komuś kobietę.

— *Bone deus!* krzyknął niecierpliwie król, więc to rzecz poszła o jakąś Helenę! myślał oni że mój zamek Troja? zuchwalcy!

— Gdy prowadzono komuś kobietę, od Julianny jakiejś mimo owego domu, który do W. W. Świętych należy, szkolna młodzież z owego pobudynku szkoły, która o proszonym chlebie żywności szukać zwykła, poczęła z tego uragać i ową niewstydnicę nagabować.

— I cóż? mówże prędzej panie Maciejowski, przerwał król znowu, bo oni mi tymczasem zamek do góry nogami przewracają.

— Niewstydnica ta oburzywszy się na lżenie i potwarze, zwłaszcza że jej to często owi studenci wyrządzali, uskarżać się miała, co usłyszawszy słudzy księdza Jędrzeja Czarnkowskiego, który jak W. K. Mość wiesz jest proboszczem tego domku i podle ma mieszkanie, wzruszeni na żale bezwstydnicy porwali się do broni, a bezbronych studentów napośród szkoły uciekających dogoniwszy jednych pozabijali...

— Zuchwalcy! to im nie ujdzie — zawołał król, lecz spiesz się z opowiadaniem panie Maciejowski, bo ta gawiedź widzę myśli że u króla jak w szkole krzyczeń można, trzeba ich *mores* nauczyć.

— Drugich Najjaśniejszy Panie poranionych prawie bez duszy zostawili. Dziś rano —

— No cóż dziś rano? wiem, rzekł król prędko, że przyszli tu do mnie i wrzeszczą, jakby byli na polu, trzeba ich odprawić, nie chcę ani wiedzieć, ani słuchać, bo nie umieli nawet przyjść do mnie.



— Dziś rano, dodał Maciejowski powolnie, gdy się to rozgłosiło, zbiegli się do domku owego ze szkół i *classes* wszyscy studenci uczynęli niegodziwy obwołując i razem się tu na zamek garną, ale już nie sług, tylko samego ks. Czarnkowskiego o zabójstwo obwiniają. \*)

— Więc idźcie wnet ku nim Waszmość odemnie, rzekł król, prędko biorąc za rękę Maciejowskiego, i prowadząc go ku drzwiom, idźcie i powiedzcie im odemnie, że im mam za złe, że na mnie naszli z krzykiem i hałasem jaki bywa między ciżbą po ulicach w pijanem pospółstwie.

— Powiem —

— Słuchaj-że Waszmość, powiesz im, że w niedługiem panowaniu mojem jeszcze się nigdy nie wzbraniał przypuścić kogokolwiek by najnędzniejszego do obliczności mojej. Powiedzcie im, że wszystko otrzymają, skoro się tego z przyzwolitą skromnością domagać będą; powiedzcie im że zapomnieli, iż królem jestem; powiedzcie im że na bezprawia sprawiedliwość jest zawsze i sądy.

Już posłannicy odeszli, a król długo jeszcze przedzwini powtarzał im swoje napominania, dopóki mu z oczu nie znikli.

Mikołaj Grabia podkanclerzy z Stanisławem Maciejowskim szybko przeszedłszy szereg sal i komnat, za zbliżeniem się do pokojów, z których wyjścia były na podwórzec zamkowy, usłyszeli z przestachem coraz powiększający się wrzask i narzekania.

Tłum studentów stał podedzwiniami posłuchalnej sali

\*) To co mówi Maciejowski, słowo w słowo z Orzechowskiego kroniki.

stukając i dobijając się napróżno do jej drzwi zamkniętych, dolatywały groźne, żartobliwe niewyrozumiałe dźwięki uwinięte w gwar głuchy i szum podobny biegnącej wodzie. Odźwierny królewski szemrząc i przeklinając otworzył podwoje posłańcom, i studenci ujrzeni nagle przed sobą dwóch dygnitarzy. Grabia, niższy wzrostem i słabego zdrowia, styrawszy je na usługach, niemogąc się wywiązać z poselstwa, które mocnych piersi potrzebowało, zdał na Maciejowskiego czerstwego i zdrowego obowiązek przemówienia do tłumu, który szemrał coraz ciszej i cisnął się poufało ku niemu. Gdy już głos podnieść się zabierał, wystąpił jeden przystojniej odziany z tłumu ku niemu.

Był to niski lecz krzepki młodzieniec z czarnymi oczyma a wzrokiem silnym, śmiałym i piorunującym, którego widok osób tak dalece wyższych urodzeniem i stanem od niego, do których nigdy jeszcze nie przemawiał, kłaniając im się zdala nisko na ulicy — nie a nie nie zmieszał. Ten, nim Maciejowski usta otworzył, z dumą i zuchwałą postawą postąpił ku niemu i rzekł:

— Przysłaliśmy do króla po sprawiedliwość, dla czego próżno przededzwiniami stojemy?

— Przecież — przerwał silnym głosem nakazującym tłumowi przychodniów, przecież — zawołał Maciejowski, nigdy jej król i pan nasz nikomu nie odmówił. Lecz Waszmość panowie młodzi nie wiecie, że do króla tak ludzie nie chodzą jakżeście Waszmość przyszli z hałasem i wrzawą. *Est modus in rebus*. Wszak rozumiecie żaki łacine?

Weszliście tu na zamek jako do rościeżem stojącej gospody, ba i tam by gospodarz gości tak wrzaskliwych



odpędził. Król zaś daleki od tego, aby sprawiedliwości odmawiał, chętnie ją każdemu wydzieli, ale po nią z krzykiem i wraskiem ludzie nie przychodzą, tylko skromnie i z uszanowaniem. Jest sąd i sędziowie naprzód.

— Nie ma sądu i sprawiedliwości dla biednych, przewrwał mowę zuchwale bursista, nie ma nam sądu i króla. Ani ogromność przestępstwa, ani krew pobitych, ani łzy i krzyki nasze, które boleść nie zuchwalstwo wycisnęło — nie przyniosło nam jej.

— Paulatim mój malcze, rzekł Grabia, dziwiąc się trochę dzikiej wymowie ubogiego mowcy, której mocy jest i wyraz oczu dopomagał. — Król srodze na Waszmościów rozgniewany jest, żeście tu takiego wrzasku i przestachu mu na jego zamku narobili, czego te mury pewnie od początku swego nie widziały.

— Mogę, rzekł Maciejowski, zaręczyć Waszmościom imieniem króla pana naszego, że służy ks. Czarnkowskiego ukarani zostaną, skoro sprawa jak się należy przed sąd się wytoczy.

— Służy!? zawołał student — służy księdz, a czemuż nie ksiądz? — dla tego może, że waszym i brata waszego przeznacny panie jest przyjacielem, że jest możny i bogaty? — A przecież oto wszyscyśmy widzieli jak na sług wołał ażeby nas bito. Ksiądz Czarnkowski więcej winien niż służy, na niego to u króla krzyczymy sprawiedliwości — ale przez mur wasz krzyki te nie dójdą, by był i sam zabójcą. Waszmość przyjaciela i towarzysza zasłonić potraficie.

— Żaku! — przerwał Maciejowski, zapominasz do kogo mówisz! Jestem jego przyjacielem i tego się nie powstydzę, by i przed oblicznością świata całego; ale nigdy winnego płaszczem moim nie zakrył. Gdybyś

nie był mniejszy nad gniew mój, któregoś nie godzien, pokazałbym ci i nauczył jak masz sobie na przyszłość postępować.

Student odsunął się pół kroku zmarszczywszy brwi, a tłum cały zakrzyczał: — winien! winien ksiądz! — Wrzask ten rozbiegł się po salach zamkowych, powtórzył się i ustał.

— Cichoż Waszmość! krzyknął piorunującym głosem Maciejowski — nie będziecie przyjęci do króla, boście się tymi krzyki i najściem gwałtownem niegodnemi tego pokazali. — Idźcie tymczasem do sądu.

— W sądzie jak tu nas odepczną — przerwał mowca z tłumy — nie mamy czem zapłacić za sprawiedliwość, którą od was kupić potrzeba. Nie macie Boga w sercu i prywaty \*) tylko słuchacie.

— Cicho i precz ztąd zuchwalcy! krzyknął Maciejowski powtórnie zaczerwieniony z gniewu, albo was ztąd straży z bronią w ręku odegnąć każe. — Powtarzam abyście się w cichości do domów rozeszli a sprawiedliwość dana wam będzie, teraz zaś nie możecie widzieć króla — i niech to wam będzie nauką, abyście jak zapamiętały i rozpasany lud nie lecieli bez rozumu krzyczeć o sprawiedliwość i domagać się jej, gdy nikt jej odmawiać nie myśli.

Mowca tłumy zmarszczył czarne brwi swoje i chwilę postawszy jeszcze, odezwał się zmierzwszy okiem dwóch posłańców i obracając się do swoich.

— Próżnośmy tu przyszli, nie ma dla nas króla, biedny nie docisnie się do niego przez możnych, którzy w około straż trzymają, niedopuszczając do jego ucha

\*) Własnego interesu. Stary wyraz.



i sprawiedliwości. Ksiądz Czarnkowski ubiegł nas pewien wygranej przy licznych koligacjach i plecach. Już i król ku nam zniechęcony, wysłał do nas takich, którzy chętnie o wszystkim przed nim zamileczą, co ks. Czarnkowskiego obarczać może. — Lecz pomnijcie, jest Bóg który karze!

Idźmy ztąd, idźmy z naszą nędzą i łzami, nie ma króla i sądu dla biednych sierót!

— Ani waż się Waszmość, przerwał popędliwie Maciejowski, słów takich powtarzać w przytomności mojej. Powtarzam ci i wszystkim, że jedynie dla tego, iżście tu bezładnie i krzykliwe jak gawieź szynkowa naszli, król was widzieć nie chce i ku wam nie wychodzi. Ale jest sąd i sprawiedliwość, a narzekać na bezrząd i ucisk nie śmiecie, dopókiście się nie przekonali, że wam sprawiedliwości odmawiają. Idźcie mówić do sądu, i w dziecinnej swojej zapamiętałości nie szermujcie \*) słowami bez przekonania.

To powiedziawszy, obrócił się z miną srogą ku mowcy który stał w tłumie i nieuleknionem okiem poglądał także na niego.

— Jak się Waszmość zowiesz? zapytał Maciejowski

— Zowię się, odwracając się pogardliwie, rzekł student „nędzny sierota i żebrak.“

— Sszlachcie Waszmość jesteś?

— Tak dobry jak i wy panie Maciejowski, jeżeli nędza nie psuje szlachectwa. Toż samo nawet co wy noszę nazwisko, nie kryję go, ani się wstydzę, bom żadnej nie popełnił zbrodni. Jestem Lew Maciejowski Ciołek, jeżeli o tem wiedzieć chcecie.

\*) Nie wojujcie. Stary wyraz.

— A wy, odezwał się do towarzyszków, coście tu próżną znęceniu przyszli nadzieją — idźcie. Pójdziem w świat z Krakowa i szkół, odpycha nas król, swoi nas zabijają i pastwią się nad nami, uragając żałom nawet naszym — czegoż jeszcze czekać będziemy?

Natychmiast w tłumie ozwały się przenikliwie, boleśne, krzykliwe głosy ze stron wszystkich gromady wyskakujące, która z lamentem i wrzaskiem jak przysła, nazad z zamku wychodzić zaczęła rozsypując się po mieście z żalem i płaczem, narzekając przed mieszczanami i wszystkimi kogo na drodze spotkali na gwałt i niesprawiedliwość.

Zaledwie odeszli, a wrzaski ich jeszcze odzywały się zdaleka i dochodziły ucha mieszkańców królewskiego na Wawelu zameczyska, gdy dworzanin pokojowy J. K. Mości nadbiegł ku panu Grabi i Maciejowskiemu z rozkazem, ażeby do króla co najprędzej spieszyli.

Poszli.

Jeszcze pan podkanclerzy drzwi był nie uchylił od komnaty, w której król niespokojnie przechodził się wielkimi krokami, a już August z pośpiechem u drzwi stanął i zapytał przybywających.

— Cożeście Waszmości z tą gawiedzią zrobili?

— Odprawiliśmy ją Najjaś. Panie, jakeśmy mogli najprędzej, odpowiedział Grabia. Chociaż nie mało było lamentów i niesłusznych narzekań na niesprawiedliwość i ucisk. Ba i nam Najjaś. Panie dostała się część tego.

— Niech to Waszmość nie boli, że nierozumne gołowąsy ściśnione żalem mogli coś przegadać. By i na mnie co powiedzieli, nie rozgniewa mnie to, bo na nierozum się obruszać, jest to być samemu nierozumnym. Mu-



siał tam każdy coś przekroczyć, gdzie sam żał był przewodnikiem i języka panem. Lecz zapewniliście ich Waszmość, że sprawiedliwość dana będzie?

— Postokroć im to powtarzałem, rzekł Maciejowski, chociaż słuchać nie chcieli i wciąż bezustannie narzekali. Mądry by był kto by ich tam przekonał.

Król chodził i myślał, obrócił się potem i rzekł:

— Jesteścież Waszmość pewni, że ks. Czarnekowski nie winien nic, a tylko go o to obwiniają za sługi?

— Ani chwili wątpić o tem nie można. Najjaś. Panie rzekł spiesźnie Maciejowski, znasz W. K. Mość, znamy i my wszyscy ks. Czarnekowskiego z jak najlepszej strony. Daleki od tego aby miał się znęcać nad nędznymi, lub ujmować za nierządnicę, słyńie pomiędzy stanu swego ludźmi jako najczystszych obyczajów i wielkiej nauki człowiek. W zacnym urodzony jest domu, wielkiego pokrewieństwa, łaskawy przytem i mądry, z bratem moim Samuelem i ze mną ścisłą połączony przyjaźnią.

— I dla tego to zapewne, rzekł król uśmiechając się, tak żarliwie go bronicie?

— Bynajmniej, odpowiedział trochę urażony Maciejowski — stanie on i sam z tłómaczeniem przed tron W. K. Mości i wiemy, znając go, że się niewinnym okaże.

— Daj Boże! rzekł król, boć trzeba nakoniec pokazać im, że u mnie zbrodnia, by i w szkarłacie chodziła czy w fioletach, nie ma przytułku i obrony. Surowością całą moją pokażę im, jak niesłusznie po mieście skargi na mnie roznoszą. Ale im tego nie daruję, dodał po chwili, że mnie tak naszli na zamku. Przykażcie Waszmość sądom, aby się rozeznaniem zajęły bez odwłoki,

wolą moją jest, aby tam najmniejszych nie spotkali trudności, które by mi pochoch dać mogły do nowych narzekań.

Na Boga! jeśli cień winy się pokaże, choćby Crarowski był moim własnym bratem, chociaż go sądzić nie mam prawa jako duchownego, postaram się aby mu ten gwałt nad bezbronnymi nie uszedł bezkarnie. Nędza bowiem Mości panowie im większa i godniejsza politowania, tem większej odemnie wymaga pomocy — aby nie powiedziano było, że się u tego tronu sprawiedliwości złotem kupuje, lub koligacjami dostaje. Zdaję tymczasem na Waszmości panie Maciejowski, abyś tej sprawy pilnował i zaraz mi o dalszych jej doniosł postępach. Waszmość panie podkanclerzy oznajmijcie komu należy, że dla zdrowia i woli naszej posłuchanie dziś nikomu dane nie będzie.



## IV.

**Ksiądz Czarnkowski u biskupa Samuela.**

Nie będziesz sądził, obu stron nie wysłuchawszy.  
1. Przykazanie sędziów.

Już się dobrze ku południowi miało, gdy gmach, w którym się sądy marszałkowskie odbywały, zabrzmiał temi samemi krzyki, któremi przed chwilą zamek się królewski rozlegał.

Tłumy studentów opuściwszy szkoły, szły popierać sprawę zabitych towarzyszków swoich.

Na przodzie tego tłumu, który po większej części w obdartych łachmanach, lecz z dumą w sereu szedł ku domowi sądów, znajdował się Lew Maciejowski, który im także w niepomysłnej do zamku wyprawie przewodził. Za nim w czapkach i bez czapek, obuto i boso, w całych i poszarpanych sukniach, dzieci i wąsate drągale spieszyli z krzykiem towarzyszącym im wszędzie. W środku tego tłumu kilkunastu najsilniejszych niesło trupy pobitych studentów, pokrwawione i blade, a widok ten powiększał jeszcze co chwila i tak już do wysokiego stopnia podniecony żal ich i oburzenie.

Wszędzie tłum ciekawych napełniał okna i ulice,

użalając się nad losem uciśnionych. Cóż bowiem było dziwnego, że rozgłosiwszy tak nieszczęście swoje, znaleźli litość u wszystkich wyobrażających sobie, że ich niewinnie prześladowano?

Przed domem sądowym stał woźny z czapką na bacier, sparty na ogromnej lasce z miną pełną dumy, jaką zwykle przybierają ludzie, kiedy wyszedłszy z niczego obcuja ciągle z dawniej równemi sobie, i widząc oczywistą wyższość swoją nad niemi, wyobrażają sobie, że tę wyższość i dumę wszędzie za sobą prowadzić powinni. — Przymiot ten wyłącznie prawie wchodzi do sumy tych, które należą do charakteru woźnego i odznaczają go od innych ludzi. Woźny krakowski był typem w swoim rodzaju. Stojąc przy naczyniu sprawiedliwości, z którego zaczerpnięte męty rozdawał pragnącej ciżbie, codziennie widząc jak mu się kłaniano i proszono go o to lub owo, stanowiąc na swoim miejscu nieodbitą potrzebną figurę, nosił w duszy i na twarzy cechę możności i władzy. Zdawało by się, patrząc na jego brew zmarszczoną, na oczy tajemniczym jakimś jaśniejące blaskiem, i wargę niższą wysuniętą nieco, dopomagającą mu do nadania wyrazu ważności i dumy całej twarzy, że myślał najmniej o nowych prawach, nie o wypełnieniu nowych. Trzeba się było potem przypatrzeć, z jaką niedbałością, ciąglem mruczeniem i nieukontentowaniem odpowiadał na pytania; trzeba go było widzieć jak się obchodził z tymi, którzy choć o włos niżsi, lub tylko równi mu byli.

Przed nim to wytoczyła się najprzód sprawa o pobicie studentów; złożono w dowód trupy i świadków, i obwołano sprawcą i podbudzicielem samego ks. Czarnkowskiego. Długo i bardzo poważnie kiwał posiwiałą



głową woźny, nim się odważył tak znakomitego pralata obwołać sprawcą takiego gwałtu. Lecz zapłata, którą studenci ze wszystkich kieszeń gdzie kto miał po grośninie zebrali i usilne ich żądanie skruszyły go nareszcie.

Sprawa wpisana i obwołana została, lecz że sędziów nie było pod on czas w domu sądowym, nazajutrz dopiero mieli naznaczyć termin roztrząsania jej. Że zaś wedle ustaw w sprawie o mężobójstwo nakazowano ściśle *scrutinium*, stawienie świadków i przysięgi, a przez to przytomność obwinionego koniecznie była potrzebna, podjął się także woźny sam swoją osobą zanieść pozew ks. Czarnkowskiemu i wezwanie przed sąd. Wiadomo było jednakże, że duchowny świeckim sądem nie mógł być sądzony, i po uczynionem wysłedzeniu wypadło jeszcze złożyć sąd duchowny, na który wcześniej narzekali studenci, będąc przekonani, że spokrewniony i możny, znany wszystkim ks. Czarnkowski za niewinnego, choćby co i zawinił uznany zostanie.

Po dopełnieniu tego obrzędu, tłum który się był licznie zgromadził przed sąd, rozsypał się po mieście roznosząc z sobą narzekania i pogróżki. Dnia tego nie było o czem innem mowy, jedno o wczorajszych zabójstwach, które już całe miasto pod tysiącznemi obiegły postaciami, a lud łacnowierny wierzył w to, iż ks. Czarnkowski był sprawcą zabójstwa i użalał się nad losem studentów, którzy sprawiedliwości u króla samego żebrać wyjednać nie mogli.

Ksiądz Czarnkowski, którego ucha doszły już odgrazania i rzucane nań potwarze, mocen niewinnością swoją, siedział sam z sobą rozmyślając, gdy z południa wbiegł do niego posłaniec wzywający go, aby się bez zwłoki stawił do biskupa Samuela Maciejowskiego.

Nie wątpił już o cę chodziło Czarnkowski i wdziawszy dystynktorjum i nowy ubior, polecając dom nowo przyjętemu słudze, wyszedł spiesźnie.

Ksiądz biskup Samuel Maciejowski, znany z gorliwości swojej jaką na wysokiem dostojeństwie — o dobro kraju okazywał, z surowej enoty, przyjemności w obcowaniu i wysokiego oświecenia, które nie wszyscy owego czasu biskupi, często intrygami na ten stopień wzniesieni, posiadali, mieszkał na rogu Kanoniczej ulicy \*). Mieszkanie jego oznaczało duchownego ściśle przywiązanego do tego, co po nim stan jego wymagał. Obszerne wysokie sale zawieszane były obrazami świętych, biskupów i papieżów. Na stołach rozłożone były księgi, stały krucyfiksy, leżały mapy i papiery.

U każdych drzwi ze święconą wodą przybite były naczynia, a nadedrzwiami łacińskie z pisma świętego i ojców kościoła napisy, nadawały temu miejscu pozór klasztoru.

Przeszedłszy liczny szereg komnat, znalazł się ks. Czarnkowski w osobnej izbie, wybitej makatami, w środku której stał stół wielki nakryty sukniem, zarzucony papierami i księgami.

W około wisiały portrety biskupów Krakowskich, na małym stoliczku wysadzany perłową macią ogromny na biblii in folio spoczywał krucyfiks, w kątku paliła się lampa przed obrazem N. Panny — podłoga wysłana była kobiercem.

Ksiądz Samuel w fioletowej czapeczce i sukni obszernej podbitej popielicami siedział za stołem, dyktując pismo jakieś klerykowi, który je trochę opodal na

\*) Górnicki.



ławie siedząc pilnie pisał. Był już biskup nie młody, czoło miał tyse, a resztę włosów w tył zagarniał i nieustannie dla ciepła czapeczkę nosił, usta i twarz miał zapadłe, ale oczy świeciły jeszcze blaskiem życia. Za wejściem ks. Czarnkowskiego biskup księgę, którą miał na kolanach, złożył na stole i dał znak ręką klerykowi aby szedł, mówiąc: poczekasz Waszmość w kancelarii.

Potem przymknęły się drzwi komnaty i biskup został sam na sam z przybyłym. Przywitanie ich okazywało, że zostawali oba nie w tych stosunkach w jakich zwykle podległy z naczelnikiem zostaje, lecz raczej przyjaźń i pewien stopień poufałości.

Biskup nachylił się ku niemu z uśmiechem, wskazał na krzesło obok stojące i zwracając niebieskie łagodne oczy ku przybyłemu, jak gdyby chciał schwycić wrażenie jakie na nim robi jego mowa, odezwał się:

— Cóż to Waszmość księże Andrzeju porobił, że cały zamek brzmi narzekaniem na Waszmości, a król sam nawet mocno się zdaje nieukontentowany na niego. Dziś rano opadli go studenci skarżąc się na ciebie.

— Bóg mi ten krzyż zesłał — odpowiedział Czarnkowski, że niewinnie cierpieć muszę prześladowanie. Wasza Pasterska Mość sama osądzi czyli co zawinił, kiedy mnie wysłuchać zechce.

— Skłonny jestem do uznania cię niewinnym, gdyż znając się nie dzisiajszym czasem i nie jedną z tobą beczkę soli zjadłszy, ufam żem cię poznał należycie i umiał ocenić. — Czarnkowski skłonił głowę i w te słowa zaczął:

— Odednia wczorajszego niczem nie brzmi miasto, jak tylko narzekaniami na mnie, przechodząc ulicą słyszałem wszędy, jak mnie palcami pokazując gawiedź

przezywała i szydziła ze mnie. Gdyby nie owa pokora, którą przywykłem w naszym stanie utrzymywać, którą wszelkie cierpienia odnosić zwykłem do Boga i cierpliwość którą uzbrojony zostałem kiedyś przyjął imię wyrobnika w winnicy Pańskiej — nie wiem jakobym zniósł niesprawiedliwe narzekania.

Z południa jeszcze wczora przysłał do mnie ksiądz wikary od N. Panny Marji, abym mu przybył na wieczerek pomódz czas przepędzić z bratem, który szczęśliwie onoco z zamorskich przybył krajów, na co przez tegoż sługę odpowiedziałem mu, iż przybędę. Jakoż z południa odprawivszy co się z obowiązku i z serca Bogu z dnia oddać należało, wyszedłem pieszo ku niemu.

Zastałem tam już pana Wojnę, który nim się wieczera zaczęła zabawiał nas wielce opowiadaniem o podróży swej i po dworach cudzoziemskich przebywaniu. Co zacz dziw, że w tem miłym gwarzeniu z wielce bystrego rozumu i obszernych wiadomości z panem Wojną przebiegł nam czas ku wieczery szybko, żeśmy się nie opatrzili jak wieczór nas zaskoczył.

Byli też tam dwaj księża od św. Bernarda zdawna znajomi księdza Wojny i jego brata. Gdy przyszło ku wieczery, przyspieszyliśmy oną, gdyż wszystkich różne stanom ich właściwe zatrudnienia doma wzywały. Lecz gdyśmy jeszcze za stołem rozprawiali o Lorecie i Rzymie, zkąd relikwie wielkiej wagi ów podróżny bratu poprzywoził, wpadł sługa z oznajmieniem, że w stronie miasta około WW. Świętych rozruch się wszczął jakowys. Jakby mnie jakie tknęło przecucie, tak zaraz biesiadników pożegnawszy, gdy mnie jeszcze wstrzymywać się starali, mówiąc że to gawiedź pijana wadzić się musi, pospieszyłem do domu.



Aliści gdy się ku swemu spokojnemu zbliżam kątowni, widzę jako ku mnie ze wszech stron tłum studentów bieży z krzykiem, i jacyś ludzie, gdyż dla nadchodzącego zmierzchu nikogo rozeznaczyć nie mogłem, pędzących młodzieniaszków bijąc i krzycząc. Z drugiej strony w oddaleniu ujrzałem kobietę w pobрызganych błotkiem sukniach z krzykiem i narzekaniem rozpustnicom właściwym, biegącą w drugą stronę. Nie wchodząc zatem w rzecz, umknąłem tylko ku sąsiedniej bramie, aby mnie nie zaczepili, i spokojnie przybyłem do domu.

— Więc Waszmość nie był czasu tego rozruchu doma? — przerwał biskup zdziwiony.

— Nie byłem jako żywo — rzekł Czarnkowski.

— I nie posyłałeś ani zachęcałeś sług swoich?

— Wnet opowiadanie moje ukończę, rzekł Czarnkowski, z którego się jawnie niewinność moja pokaże, a na co wszystko *testes oculares* przywiode. Przybyłem do domu i zdziwiony byłem widząc wszystko otworem stojące i sług moich prócz jednego niebytności. Pozostali najmlodszy spał pijany na łóżku, ubrany w moje suknie, a podle niego maczuga, nocną porą wychodząc na miasto używana, leżała.

Zbudziłem go chcąc się odeń o towarzyszach dowiedzieć, lecz z pijaństwa trunkiem i snem na poły \*) ujęty nic mi nie odpowiedzieć nie mógł, a bał tylko coś o nierządnicach i studentach których bito. Potem padł na łóżko i usnął. Zamknawszy tedy drzwi oczekiwalem, ażali się i tamci nie zjawia, którzy sądziłem że się tumultowi ze zwykłą ciekawością prostego ludu przypatrować wyszli. W chwilę potem w istocie ujrzałem ich

\*) Po połowie. Stary sposób mówienia.

z kijami i szablami w ręku i o krok od nich przerażony cofnąłem się, gdyż suknie i ręce całe mieli krwią obłuzgane. Z mowy ich poznałem wnet, że równie jak pozostali sługa winem byli ujęci. Kiedym ich wypytawał co by robili, że się jak rzeźnicy krwią omaczali, odpowiedzieli mi, że o tem wiedzieć muszę, gdyż dopełniali rozkazów moich. Gdym zaś żegnając się pytał jakieby były, rzekli: Ażaliż Waszmość nie pomnisz jakieś wyszedłszy z kijem w domu bić nam studentów kazał i wołał na nas? — Pojąłem zaraz, że ten kogo za mnie wzięli w ciemności, był ów pijany w suknie moje ubrany pachol, o czem gdy ich silnie gromiąc przekonałem, polekawszy się w nocy uciekli.

— Jeśli, jak nie wątpię, to jest prawda, jakieś mi ją Waszmość opowiedział, tedy niewinnym i białym się okażesz, chociaż król sam nawet, którego owo ranne i krzykliwe najście na zamek zniechęciło, przysięga, że jeśli będzie cień winy na kim, pewnie nie daruje. Moją znasz Waszmość powinność, iżem jest szkół obrońcą, a zatem sprawę studentów także popierać muszę.

— I sam bym ją ja, będąc na W. P. M. miejscu, popierał, gdyż postępek sług moich każdemu sprawiedliwemu bezecnym wydawać się musi.

To mnie tylko boli, że długim czasem nieposzlakowane nosząc imię, wmieszany zostałem w sprawę, z której acz czysto wyjść mam nadzieję, wszelako pamiątka mi niemiła po niej zostanie.

— O to się nie lękaj księże Andrzeju — nie dziw że król niezwykłym obruszony postępkiem uniósł się trochę i zdaje się być na Waszmość gniewny, sądząc żeś tego przyczyną, lecz gdy się o wszystkim przekona, bez wątpienia lekko tę sprawę zagodzim. Jeżelibyś zaś



co o tych znikłych winowajcach wiedział, to donieś natychmiast, abysmy ich łatwiej polapać i własną twoją drogą nam niewinność okazać mogli.

— Zkąd ich pobrałem, odpowiedział Czarnkowski, to miejsce wskażę, a możeć da Bóg że ich najdziemy.

— Pomnij tylko Waszmość, dodał biskup, abys wzawszy świadki swoje które masz, stanął jutro przed króla. Nierad bowiem pan nasz, że go ta młodzież wszędy niesprawiedliwym obwołuje, uskarżając się, że jej posłuchania odmówił, jutro wzywa ich aby mu rzecz swoją przełożyli. Teraz idź Waszmość w pokój.

Z Bożą pomocą wszystko się dobrze ukończy. A idąc przez ową izbę kędy pisarze moi siedzą, każ tu Górnickiemu przyjść do mnie.

Czarnkowski wyszedł, i dopełniając nakazy biskupa powołał z kancelarji młodego chłopca, który się tam na ówczas bawił rozpowiadaniem jakiejś historii, sławnym będąc między swemi z wymowy łatwej i zręcznej. Słuchali go wszyscy z otwartemi ustami, gdy wszedł prałat. Po ukłonach i ucałowaniu ręki, młody Górnicki, wysoki, pelen zdrowia i ognia człowiek, z twarzą bystre oznaczającą pojęcie, poszedł do biskupa, a ksiądz Andrzej ku domowi.

Tu z nowem wezwaniem napotkał go woźny, mieszając w mowie nałogowe grubiaństwo i potrzebne uszanowanie i na scrutinium do sądu powołując.

Przyszli też wkrótce ku samotnie siedzącemu i rozmyślającemu gościu, jako to: ksiądz Wojna z bratem i dwóch Bernardynów.

Ci usłyszawszy w mieście co się działo z ks. Czarnkowskim i o co był obwiniany, przybywali rozpytać się u niego o szczegóły wypadku, a ks. Andrzej nie omie-

szkał ich przy tem zdarzeniu prosić, aby mu nazajutrz przed króla za świadki służyć chcieli: iż w godzinie rozruchu z niemi się na wieczerzy znajdował. Na co wszyscy chętnie przystali, zważając także, że u biskupa i króla, przychylnych zdawna Czarnkowskiemu, jego popierając sprawę sami sobie na względy zarobią. Brat zaś księdza Wojny, przybyły z zagranicy, usilnie stanął około tego, spodziewając się za jednym razem zobaczyć nowy dwór młodego króla. — Chociaż oświadczenia te i gotowości do usług były jak widzimy częścią z powodów miłości własnej przedsięwzięte, wzięt je jednak za oznaki szczerej przyjaźni ks. Czarnkowski. Był bowiem bardzo dobrego serca człowiek, a z siebie o drugich sądząc, najlepsze im we wszystkim chęci przypisywał, z pokorą i cierpliwością chrześcijańską znosząc co się Bogu podobało zesłać na niego.



## V.

## Pogrzeb i dziewczyna.

Był to sobie braciszek i sio-  
stryczka. Bajka.

Czas był średni między południem a wieczorem, czyli podług owczesnego rachunku zegarowego godzina 21<sup>sta</sup> \*), a dzień stał się pochmurny, tak że się prawie jesienne popołudnie zbliżaniem nocy wydawało; — gdy mimo okropnego wichru i co chwila mogącej spaść ulewy, wyszli studenci grześć trupy pobitych braci swoich. Najbogatszy mieszkaniec Krakowa, choćby sto placzek najzdatniejszych do krzyku, jęczenia i lania łez najał, nie byłby miał pogrzebu, na którymby tyle lamentu było, jak ten który mnóstwo zgromadzonego prowadziło ludu z ubolewaniem i żalością.

Szli ku Bernardyńskiemu cmentarzowi wszyscy a na-przód postępowali księża uproszeni do tego obrzędu, w żałobnych kapach z krzyżem i chorągwią na której z jednej strony powiewała w powietrzu śmierć z kosą

\*) Tym sposobem liczą na 24. godzin we Włoszech, zachód słońca jest pierwszą i ostatnią.

i klepsydrą, z drugiej wizerunek Jezusa ukrzyżowanego.

Po za niemi niesiono w otwartych trumnach okrytych z boku całunami, ciała czterech ubitych przybrane w suknie, których im pobożni mieszczanie dostarczyli. Na wiekach trumien osobno niesionych leżały wience, a twarze blade umarłych spoczwarzone uderzeniami od których polegli, patrzyły w niebo zamkniętymi oczyma. Na piersiach złożone mieli ręce, a w ręku krzyżyki i obrazki świętych patronów, z których nie jeden dłużej przetrwał w ziemi cały od ich nędznego ciała. Za trumnami szły tłumy niezliczone studentów śpiewając pieśni, przeklinając, pchając się i krzycząc. W pośród nich ukazywały się gdzie niegdzie łyse głowy mieszczan i okryte czółkami białychgłów, które ocierając fartuchem łzy z oczu szły z wolna za konduktem.

Blyszczały zatulane od wiatru niedogasłe świece i lekki dym kadzidła porwany wichrem unosił się i rozplýwał w powietrzu.

Z okien, ze drzwi domów ukazywały się głowy mieszczan ciekawych wasatych i gołowasych, i kobiet w czółkach i z kosami. Tym sposobem przeszedł kondukt, a z ust do ust powtarzano w tłumie coraz dziwniejsze o zabiciu i zgonie tych studentów pogłoski. Jeden z współczesnych pisze że pełen był Kraków tego narzekania.

W chwili kiedy do przygotowanego dołu spuszczać miano ciała pobitych, wśród powszechnej cichości szumem tylko wiatru i gwarem ciżby przerywanej, Lew Maciejowski wstąpiwszy na kamień grobowy zwrócił powszechną uwagę wykrzyknikiem, głośno wymówionym, prowadzący do mowy na pamięć pobitych.

— Niech im Bóg da wieczny spoczynek!



— Amen!! — Krzyknęli wszyscy tak, że słowo to niepodobne do słowa, złożone z tysiąca głosów, zdawało się jakimś okropnym wrzaskiem, odbitym w grobach.

..... Niech ten ostatni widok bladych twarzy naszych towarzyszków i braci rozpali w nas, jeżeli w kim ostygła, chęć pomszczenia się za nich. Acz nie chrześcijańska jest rzecz mścić się, przystałoż jednak puszcząć zbrodnię płazem, aby broiła nie zatrzymana w pędzie? Bóg świadek nasz żeśmy nic nie popełnili, czem byśmy na tak srogą karę i gwałt zasłużyć mogli. Jakież jest biedne życie nasze? — z rana do wieczora tułactwo i nędza. Nikomu złego nie czynim, a sami łaską żyjąc życzym wszystko dobrze, bo czynić nie w naszej mocy. I za to nas biedne sieroty jak plugawe robactwo pobito? — O! wy dusze pomarłych, jeżeli z nieba słyszycie nas jeszcze, jeśli wam Bóg do swego tronu nie odmówił przytulku, jak nas król ziemski odepchnął, zanieście tam skargi swoje przed Niego, bo On ojciec i król sieroty, on się pomści i ukarze, gdy ludzie nie chcą.

Dotąd cicho było w tłumie, lecz gdy tych słów domawiał, zdala dał się słyszeć głos płaczliwy, jęczący, głos kobiety, tak różny od głosu męskiego żalu i rozpacz.

Dźwięk ten rósł co chwila, zbliżał się i wyraźniejszym stawał, utknął się mowca w mowie, stanęli wręci słuchacze, grabarze podnieśli głowy, tłum przerzedzać się i rozstępować zaczął — ukazała się dziewczyna. Błada, nędzna, schorzała choć młoda, w lekkim, poszarpanem i zbłoconem płóciennem odzieniu, z rozpuszczonemi po ramionach włosami, z obłąkanemi oczyma, z wychudłemi i załamanemi rękoma, boso, z rozwartą,

suchą i nagą piersią. Młoda dziewczyna znędziała w kwiecie wieku, jak przymarzły zawiązek owocu, schwycony mroźnym wiatrem na rozwijaniu, której liczbę dni nędznych każdy mógł z twarzy wyczytać, której widok wzbudzał westchnienie i litość, młoda, biedna dziewczyna.

Usta jej jeszcze były otwarte, ale już nie krzyczała — wielość osób, księży, trumny, krzyże, lud, cała ta pycha z którą idziem do grobu, nie zastanowiły ją, nie widziała nic. — Spojrzała tylko obłąkanem okiem po trumnach, odepchnęła milczących ludzi od siebie i padła krzycząc przeraźliwie ku jednej z trumien.

— Oddajcie mi brata! zawołała tarzając się po ziemi, porywając piasek chudemi rękoma, ciągnąc róg całuna od trumny i cisnąc się ku niej, choć ją odpychali grabarze. — Oddajcie mi brata. Zabiliście go, odżywcie — o! kto mi jutro poda chleba kawalek, kto mi wieczór wspomni o ojcu i matce? Oddajcie mi brata! — Ojciec i matka w grobie, nie bierzcie jego, niech żyje! on żyje, on patrzy na mnie, on śpi tylko. — Potem zaczęła płakać i jęczeć, księży nawet patrzali i dziwili się w duszy, że im żal było tego biednego stworzenia, którego połowę życia brat niósł do grobu. Patrzając na nią w istocie zdawało się że pół tylko życia miała, tak blada, chuda i zbiedniona, tak włosy jej krótkie i zbłocone zdawały się trupa, z ziemi wydobytą okrywać głowę. — Księża go zabili — wołała — księża go zabili — przybiegłam jak konał — mówił mi ostatniem technieniem że go zabili — którego z was odda mu życie jego i moje, moje! — Odżywcie go, odżywcie.

I znowu rzucała się na ziemię i chwytala kamienie



pierś jej lala się krwią czarną, nogi krwią były zbroczone, twarz kropkami krwi pokryta jakby łzami rozpaczcy — kamienie i piasek rozszarpały ją.

— Sama jedna! wołała znowu jęcząc — nie chcę, o! nie chcę zostać sama jedna, pójdę lepiej z tobą braci-szku do ojca i matuni — oni dawno nas opuścili! — Weź mnie z sobą mój drogi!

Grabarze nie mieli siły odpychać biednej sieroty, księża z otwartymi usty stojąc spiewać nie śmieli, tłum cały zapomniiał swoich boleści, a żył i czuł żal sieroty, żal ten tak gwałtowny, tak okropny, który z otaczającego go świata nic nie widział, prócz ciała zabitego brata i grobu.

Leżąc tuż przy stojącej na ziemi trumnie, poglądała na blade jego ciało i grób tuż otwarty osłupiałemi oczyma, a z ust jej wyrwały się słowa, które nie są z żadnego języka ziemi, lecz je dusza każdego człowieka zrozumie, słowa, których zimnemi usty powtórzyć nie można, ani uczuć zimną pierśią, ani pojąć zimną głową.

A z tłumu wystąpił jakiś człowiek niski i otyły, z namarszczoną brwią i wydętymi policzkami; chwycił ją za rękę i zawołał tak zimno jak gdyby stali przy kominie w domu, nie na cmentarzu przy grobie otwartym i trupach.

— Chodź Halko — chodź — czy nie widzisz, jak się z ciebie śmieją?

— Śmieją? Kto się śmieje — zawołała głośno dziewczyna, chyba ten kto nie miał brata, ani matki, ani ich pamięta. Kto się śmieje? Dawniej i ja się śmiałam jak byłam mała, jak mnie biedna matunia nosiła żebrząc chleba na rękę, ale lepszy był w ówczas płacz mój, jak wasz śmiech dzisiaj!

To powiedziawszy smutnie spojrziała na trumnę i zdawała się spokojniejsza, łzy jej zmieszały się z krwią na twarzy i płynęły po piersi. A gruby mieszczanin targał ją za rękę i wołał:

— Chodź Halko do domu, chodź — kto umarł wieczny mu pokój. Tyś sługa, idź służ, nie czas tu krzyczeć jak opętana, na dziwowisko miastu. — Za nim wystąpiła przedzierając się przez tłum, kobieta z czarnem okiem i zapadłą twarzą suchą i pomarszczoną, i ta ciągnęła z drugiej strony dziewczynę, która trzymała się trumny i jakby nie czuła targania i głosu nie słyszała, płakała patrząc na brata.

— Mówiłam ci Florku, odezwiała się jejmość czarnoka do grubego jegomości, że z tej dziewczyny nie nigdy nie będzie — zawsze miała skłonność do warjacji. — A pan Florek z panią Florkową lamentując napróżno starali się przyciągnąć dziewczynę, gdy — ktoś trzeci z tłumu wystąpił.

Ten przeciąg czasu dał się nieco widzom uspokoić, ustało przedłużone pierwsze wrażenie boleści, zaczęto szeptać, gdzie niegdzie ozwały się głosy i księża z grabarzami rozmawiać, nakłaniając ich aby odprowadzili dziewczynę, gdyż czas było przedewszystkiem kończyć nabożeństwo i iść do domu.

Trzeci także wyszedłszy z tłumu przystąpił do dziewczyny — był to prosty parobek, silny, duży, z czołem pogodnem, z wielkimi niebieskimi oczyma w koszuli i siermiedze, z rydlem w rękę. Ten pechnął panią Florkową i pana Florka i przystąpił do dziewczyny, która ciągle leżała twarzą na piasku, krwawiła i rozdzierała piersi i jęczała boleśnie.

— Halko, rzekł cicho, nie płacz po bracie — on te-



raz w niebie. Pójdziem my wszyscy do niego — a tymczasem idź ze mną, będę ci bratem.

— A toż co za dragal? odezwiała się pani Florkowa — musisz Waś wiedzieć — rzekła do niego, że ja ją na rok cały zapłaciłam i ona u mnie służy.

Parobek spojrział nie nieznaczącym, obojętnym wzrokiem na panią Florkowę, wziął dziewczynę za rękę, szepnął jej jakieś słowo na ucho i jęczącą jeszcze podniósł z ziemi. Na ówczas pokazała się jej twarz znowu, twarz zalana krwią i łzami, poczerniona ziemią i błotem, na której nie prócz oczu i zębów rozemnać nie było można. Halka już nie krzyczała, była spokojna, a parobek niezważając na wyrzekania państwa Florków trzymał ją na rękę i płachtą jakąś twarz jej krwawą ocierał. — Ona jak osłupiała, zgrzytała tylko zębami i dzwoniła jak w gorączce, przewracała oczyma i drżała jak kropla wody na liściu.

— Przysięgłabym, zawołała w tej uroczystej chwili pani Florkowa, że ta szalona zostawiła garnek z kaszą na ławie, a pies wyjść ją gotów. Postój no tu mężu, żebyś ją do domu odprowadził, a ja pobiegne.

To rzekłszy zaczęła się nazad przez tłum zapalczywie przeciskać i znikła. Ostatnich jej słów prócz bliżej stojących nikt nie słyszał, bo spiewy księży zaczęły się znowu rozlegać po nad grobami a krzyki pospólstwa odpowiadać im.

Księża świecili trumny i ciała, grabarze trzymali sznury — Halka stała nieruchoma. Cztery trumny razem ruszyły się do dołów, a gdy jedna z nich, w której było ciało biednego brata Halki znikła jej z oczu, — ona zebrała sił ostatek, krzyknęła całą duszą, wyrwała się z rąk parobka i rzuciła się za nią w dół. Trumna

i ona stanęły razem u dołu, bo ciężar niespodziewanie przybývający jej ciała, wyrwał grabarzom sznury. — Głośny krzyk rozlegał się po cmentarzu — potem cichość oczekiwania i wszyscy posunęli się po nad grób, szepcząc i krzycząc. — A nikt nie miał łyż w oku tylko jeden parobek, a nikt nie stał bliżej jak pan Florek, oba mieli przyczynę — lecz tak różną!! — Wśród powszechnej cichości dały się słyszeć jęki na dnie dołu i uderzenia o trumnę.

Halka rzuciła się na dnie dołu i głos jej słabnął co chwila. Prędko spuścił się parobek po sznurze i podjawszy jej ciało uwiązał je do sznura. Wyciągniono na brzeg biedną Halke, ale ona już nie żyła, czoło miała świeżo rozbite o trumnę, a twarz zeszpeconą poznałby chyba ten ktoby jej żałował — jej jeden żałował tylko.

Pogrzeb się skończył, doły się zasypały. W piątym małym, nikczemnym dole leżała Halka bez trumny, tuż koło brata. Dół jej kopał parobek, i sam nad nią mówił modlitwę — jedną, bo jedną umiał tylko. Państwo Florkowie mocno jej żałowali, bo była na cały rok zapłacona.



## VI.

## Senior.

... po pogrzebie do domu Mikołaja Szatkowskiego seniora uderzają, nalegają prozbą i pogrózkami, aby z kolegami chciał oną sprawę na siebie przyjąć i nie dopuszczał aby tak szkaradne zabójstwo ujść miało bez kary.

Orzechowski Kron.

Senior Mikołaj Szatkowski mieszkał tuż przy onym pobudynku szkolnym, w małych dwóch izdebkach od ulicy, których okna nie wzniosłe jak jego myśli, tuż nad ziemią były.

Mikołaj Szatkowski był szlachcic, a jak samo jego okazywało nazwanie człek już nie młody i doświadczony, który część znaczną swego wieku strawił z młodzieżą, pokochał ją nałogowo i umiał nią kierować. Powolny, rozważny, mocen charakterem lecz nie popędliwy, stał na swoim miejscu jak antidotum żywości dziecinnej swoich podwładnych. Bo na pozór jak lód był zimny, żadnej rzeczy nie brał od razu do serca, ale powoli rozbierał ją w umyśle, na wszystkie strony przewracał, póki mu się nareszcie taką jaką ją chciał mieć nie

wydała. Najdrobniejsze szczegóły, najzłudniejsza praca, były mu najulubieńszą zabawą — i dla tego ze wszystkich nauk filologja i języki najlepiej mu się podobały, a szachy zapępniały wszystkie godziny wolne od obowiązku i pracy. W nocy naśladowując *lucubrationes* sławne Cyserona ślepił niedogasłemi oczyma nad grubemi edycjami Hezioda i Ksenofonta, które z szachownicą najdroższy skarb jego składały. W sercu był to dobry człowiek, lecz w obejściu tak nadzwyczajnie powolny, że cokolwiek żywszych od siebie w niecierpliwość wprawował. Chód i mowa jego szły w parze z charakterem, kroki mierzyl powolnie i troskliwie, a gdy po długim namyśle ozwał się przecie, mówił tak leniwo i szczegółowie, że nigdy końca doczekać się nie było można. Z twarzy nawet jego sama wyglądała powaga, oczy miał wielkie i nieruchome, czoło pochyłe niskie i zmarszczone i wąż zawieszisty — resztę twarzy golil starannie. — W charakterze jego i to jeszcze było godnem uwagi, że gdy po długiem rzeczy rozbiorze stanął na jakim *ultimatum*, żadna w świecie siła moralna nie mogła mu z głowy wywindować jego przekonania, przy którym stał uporeczywie, choćby go to cząstkę nawet życia kosztować miało. Zdawało mu się bowiem, że gdy więcej od innych łożył czasu na rozmyślanie o każdej rzeczy, miał prawo znać ją lepiej od tych, którzy ją tylko mimochodem zaczępili.

Do niego to prosto z pogrzebu posunęli się studenci wszyscy ze zwykłym krzykiem, którego jednak cokolwiek poskromiło zbliżenie się do mieszkania osoby, której się więcej od samego króla lękali; bo tamtego władzy bezpośredniej nie czuli nad sobą, tego zaś ciągle mieli przed oczyma i na umyśle.



Pan Mikołaj grał na ówczas w szachy z towarzyszem swoim Aleksandrem Glinką, który podobnyż w innym szkół oddziale miał obowiązek. Było ich bowiem kilku seniorów; Mikołaj Szatkowski szeroki plan rozpoczynawszy i zgromadziwszy wszystkie siły swoje na jeden punkt z tej strony króla, z której królowa w początku gry nie stoi, zabrawszy mniej uważnemu przeciwnikowi wiele działających figur i postawiwszy króla w szachu, z którego jeden był tylko krok i ten do matu prowadził — cieszył się już wygraną, gdy nagły krzyk zbliżających się studentów zwrócił uwagę jego przeciwnika.

Zaczęto nareszcie pukać do drzwi.

— Spojrz no Waszmość kto to tam tak łomocze? rzekł gospodarz do kolegi — pewnie studenci.

Pan Aleksander cały w szachach i niefortunnej grze swojej, nieruszając się z miejsca odezwał się tylko.

— Idź Waszmość sam, bo ja *ultimus spiro* i namyślić się muszę.

— Tylkoż ostrożnie Waszmość, żebyś mi tu co nie poprzewracał, bo czasem umiesz kręcić.

— No! no! bez tych podejrzeń! a kiedy-żem się tego dopuścił?

Mikołaj Szatkowski wstał powoli wyciągając nogi i mało bacząc na hałas powiększający się w sieniach, splunął, potarł czoła i dopiero ze wszelką formalnością drzwi otworzył. Tu pokazały się sieni pełne studentów, których głowy jedna nad drugą wyglądały. — Na proździe stał Lew Maciejowski, który ukłonem witał seniora i ozwał się:

— *Laudetur Jezus Christus!*

— *In saecula saeculorum.* Mospanie — mój skoczek stał na białem, jużes go przestawił!

— *Mehercle*, nie, tak się Waszmości zdało. Lew nie śmiał zaczynać.

— *Incipe*, odezwał się senior, ciągle po łacinie. *Quidnam?*

— Nic nowego, ani dobrego, odpowiedział Lew po polsku, przybyliśmy wszyscy prosić was i błagać o jedną łaskę.

— *Optime!* rzekł senior, odwracając się kolejno ku szachownicy którą niespokojnem okiem mierzył i ku niemu. — Byle nie względem owej sprawy o zabójstwo.

— Właśnie o to rzecz idzie.

— O tem i słyszeć nie chcę, rzekł senior powoli, dużoście już Waszmość narobili i król na was słyszeć mocno zagniewany, ja się w to mieszać nie będę.

— Waszmość-że to nas opuszczasz, zawołał student zbliżając się z drugimi ku niemu, któryś z nami był w dobrem, w złej-że nas porzucisz doli? Alboż Waszmość nie czujesz całej okropności tego zabójstwa, na które się wszyscy wzdrygają?

— *Optime!* Rozwahałem nad tem Mospanowie, długo nad tem myślałem, a omacawszy rzecz ze stron wszystkich, zdecydowałem żeście nadto popędliwie we wszystkim postąpili sobie.

— Ale.

— Proszę chwilę posłuchać. *Pro primo* należało (mój chłopek nie tu stał, panie Glinka, cóż to znówu?) *pro primo* należało się przedewszystkiem udać do sądu, a gdyby ten po rozprawie z jakiegokolwiek przyczyny owej sprawy nie przyjął, na ówczas dopiero, z uszanowaniem i łagodnością, wyuczywszy się oracji — iść błagając do króla; ale nie takim tumultem i wrzaskiem, który



króla mocno slysze rozniewał. *Summa summarum* w tę się sprawę nie wmięszam, raz że to nie jest moja rzecz i świadkiem tego nie byłem, a zatem sądzić nie mogę kto winien — powtóre (posunął Waszmość oczywiście chłopka panie Glinka — ja grać nie będę), powtóre że Waszmościom moja prezencja mało pomoże, a mnie wiele zaszkodzić by mogła. Wszystko rozważyć wprzód trzeba niżeli się robić zacząć, tak tedy.

— Nie spodziewaliśmy się tego nigdy po Waszmości, rzekł Lew, abyś to mógł uczynić. Chyba może jesteście przyjacielem zbójcy tego Czarnkowskiego.

— *Notabene* zbójca zwać kogoś, bez *scrutinium* i przekonania, nie godzi się; powtóre ksiądz Czarnkowski znany i mnie i wszystkim, że tego ani robić, ani rozkazywać nie mógł; na ostatek wiadomo że to słudzy jego pobroili, na cóż jego obwiniać?

— Jego słudzy, słudzy! — krzyknęli wszyscy.

— Jesteś Waszmość źle uprzedzony, rzekł Lew, wdziliśmy oczyma swemi, jak krzyczał i zachęcał aby nas bito — któż go nie zna?

Ksiądz prawda wielkiego rodu, ale czyż ród jest tarczą od występku? — popytajmy się księży jak go w nienawiści mają.

— Nic dziwnego, księża mają swoje przyczyny — rzekł senior (Boże mię skarz! ty tam znowu figlujesz lewą ręką od rogu) księża go nienawidzą że się cnotami swemi prędko wyniósł, bo zwykle tych niecierpim, którym sprostać i zazdrościć nie możemy. Jest tu wnet i pozór dla księży w tem niewinnem obwinieniu; będą nań walić góry, ale ja umygam ręce.

— Pożałujesz tego Waszmość, jeżeli to zrobisz — rzekł Lew, Waszmość bronisiz księdza Czarnkowskiego

tożby nas przecie bronić przystało, nie tego co aż nadto ma obrony, choć jej nie wart.

— Waszmość prędko, popędliwie a bez rozwagi rzecz bierzecie.

— Żal nie zna uwagi...

— *Optime*, ale cóż ksiądz winien że się Waszmość powaśnili, że was pobito. Żałuję ja mocno tych co polegli, znałem ich dobrze, choć ubodzy, ale pięknych nadziei chłopaki.

Wieczny im pokój.

Amen! zawołali wszyscy.

— A Waś ciągle przedstawiasz szachy — krzyknął znowu pan Mikołaj — panie Glinka oznajmuje — że się ta partja nie liczy. Toż moją królową oczywiście postawiłeś w szachu — ona tak nie stała. — Co się tyczy tej sprawy panie Maciejowski, jakem już raz mówił ręce umygam.

— Aleć my Waszmości nie odstąpić tak — zawołali wszyscy i Lew przed niemi, Waszmość z kolegami sprawę naszą przyjąć i popierać musisz. Któż nam pomoże jeśli nie wy, my dzieci, sieroty — ty bądź ojcem naszym.

I hurmem sypnęli się do izby i padli przed nim na kolana. Na tak niespodziane błaganie cofnął się pan Mikołaj podejmując tego, który ukląkł najbliżej i rzekł:

— Fe! fe! nieprzystoi Waszmościom padać przedemną, ani myślcie aby to upokorzenie, któreście mi dobrowolnie uczynili, na mnie co wpływać mogło. — Podnieście się z ziemi, ja jakem raz rzekł, a wiadomo, że nie rad zmieniam zdanie, tak i teraz go nie odstąpię.

— Posłuchaj nas jeszcze, zawołał Lew nagle chwytając go za połe u sukni, nie waż lekce tego zabójstwa.



Odpowie za krew niewinną Polska cała i król także jeżeli je plazem puści. — Z tobą lżej nam będzie wspomnieć się swego, tyś starszy od nas i znasz świat lepiej i ludzi, na ciebie większe będą mieć baczenie, jak na liche dzieci sieroty. Jest tuż sędzia, zbrodzień, król, Samuel w tąż biskup, szkoły obrońca pod bokiem, ujmiście się tylko Waszmość śmiało z kolegami, a Bóg sam plazem tego zabójstwa nie puści.

Cóż jeśli się ociągać będziemy, albo na łaskę Czarnkowskiego się zdamy? — w ówczas wszystko się uciszy; ale my tego nie zniesiem dłużej, i nie pozostaniam tu aby nas lada pachol na ulicy miał zabijać, aby się ludzie śmiali żeśmy próżno ujeli się za swoich i odepchnięci zostali, jako sprawiedliwości nie godni. Któż jest tak nędzny i lichy ktoby na nią nie zasłużył? Żebyśmy i zbrodniarze byli, ukarać by nas potrzeba, ale i tych razem co nam przewinili. Jeżeli i Waszmość z kolegami odepchniecie nas tak jak wszyscy, niech na głowę księdza Czarnkowskiego spadnie krew niewinna, a my pójdziem ztąd. Nie nam nauki, kolegja i szkoły, rzucim wszystko, pójdziem z Krakowa kędy nas oczy poniosą. A cóż Waszmość w ówczas poradzicie, co życie z dozoru, gdy nikt wam pod dozór nie zostanie?

— *Optime!* ale to próżne słowa — Waszmość tego zrobić nie możecie, żebyście i chcieli. — Żal się ukoj, pójdą rzeczy jak zwykle a zbrodniarze ukarani zostaną i pokój wróci.

— Nigdy! nigdy! zawołali wszyscy — będziemy mogli chodzić z zimną krwią po ulicy, gdzie się lała krew braci naszych niepomszczona — pójdziem, pójdziem w świat.

— *Optime* — jednakże zważcie Waszmość jeśli możecie,

że byleście do tej sprawy z należytą powolnością i rozważą pilną przystąpili i bez nas tam się obejdzie, a wszystko się szczęśliwie ukończy.

*Primo.* Sąd wyszuka zbrodniarzy i ukarze.

*Secundo,* tem samem wystepeć będzie pomszczony.

*Tertio,* przekonacie się Waszmość że ksiądz Czarnkowski nie w tem nie winien, jeno tylko tyle, że jego słudzy to uczynili, chociaż on samby najmniej w tem nie był, ani im nakazywał.

— I ty na nas! i ty nasz nieprzyjaciół! nie nasz kto broni księdza Czarnkowskiego, on winien, on odpokutuje!

— *Optime,* a ja od tego umyвам ręce i siadam grać. Ustawiam *de noviter* panie Glinka.

— Niech was Bóg broni, abyście tem gardzić mieli i opuszczać nas, zawołał Lew, pożałujecie tego mocno kiedyś.

— Więc mi Waszmość grozisz?

— Grozę karą Boga i ludzi, bo kto się za niewinnym nie ujmuje, sam winny jest. — Pan Szatkowski namarszczył brwi jakby się rozgniewał, ale on nie miał gniewu w sercu, kiwnął tylko potę głową powolnie i rzekł:

— Nie więcej groźbą jak prośbą zrobicie na mnie, wiem ja co począć.

— Jeżeli się nie ujmiesz Waszmość za nas, będziemy wolali że cię za seniora nie chcemy, ciebie i twoich kolegów. Toż to dozorca i pasterz pilny, co swe owieczki patrząc wilkom daje na pastwę!

Pan Szatkowski namarszczywszy się znowu powstał i rzekł: Idźcie Waszmości odemnie — żal was bezrozumnymi czyni, przyjdziecie jak ochłodnicie z niego.



Ja wam ani przyrzekam, ani odmawiam. Pójdziem z panem Glinką naradzić się u innych kolegów, co czynić należy; lecz nie myślcie, by to groźby wasze zrobiły. Czuje sam sobą że potrzeba rzecz tę rozważyć jeszcze należycie. Jeśli się zaś kolegom i mnie okaże rzeczą przyzwoitą wziąć obronę waszą, choćbym ja *in persona* nie stanął, oni dopomogą ile będą mogli. Wiecie dobrze, że nie bez pomiarkowania nie czynię. *Dixi*.

Chwilkę jeszcze stali studenci, lecz widząc nieporuszonego seniora i znając jego nieprzełamany charakter, poszli nareszcie narzekając i roznosząc żal swój po Krakowie.

Dwaj gracze usiedli do nowej partji, wśród śmiechu pana Glinki a milczenia Szatkowskiego, niewiadomo czy o szachach, czy o owej sprawie rozmyślającego.

## VII.

### Drugie posłuchanie u króla.

Król jawnem przypozwaniem — studentów na zamek przywołuje i mówi im przed sobą dozwala....

Kronika Orzechowskiego.

Któż nie słyszał o sławnej posłuchalnej sali w zamku Krakowskim, w której Zygmunt August porobić kazał owe głowy mówiące do siebie, nad którymi przedniejsze maksymy mędrców starożytnego świata ponapisywane były? Dziś śladu jej nie pozostało, ledwie znaczne otwory w których głowy siedziały, one zaś wzięte ztąd, za pamiątki, rozerwane po świecie, ulają się milczące świadki najpiękniejszego wieku dziejów naszych. Z nich to jedna, jak głosi podanie, miała się odezwać do króla z przestrogą wierszami łacińskimi rymowemi — aby sprawiedliwie sądził. Piękny to był wiek, kiedy głowy drewniane uczyły ludzi i to jeszcze wierszami. Dziś wiele ludzkich głów mniej umie czuć sprawiedliwość, mniej ma życia i mowy w ustach, jak owe drewniane.

W tej sali zebrany był tłum liczny na posłuchanie, które król dawał studentom. Stali oni w oddaleniu ale cicho i spokojnie, czas rozwagi żal ich ukoił, milczeli



i czekali cierpliwie, póki im nie będzie dozwolono wylać się ze skargami i narzekaniem.

Król posepny był i gniewny, na twarzy jego bladej malowała się niespokojność, palce trzymał w ustach i co chwila brwi marszczył i czoło. Obok niego stali Samuel Maciejowski bisk. Krak. i w. kanclerz, Mikołaj Grabia podkanclerzy, Stanisław Maciejowski, Jan Tarnowski, Ocieski i mnóstwo pralatów, biskupów, senatorów i księży, wszyscy odkryte mieli głowy i król także, a na stopniach podniesionego nieco, lecz nie wytwornego tronu leżał mały jego kapelusik z piórami, którego obwódka sznurem z pereł otoczona była.

Zda mi się że opisywać króla było by to wedle wyrażenia jednego rzymskiego poety, drwa nosić do lasu, tyle go już razy malowano; lecz że królowie są zawsze przedmiotem ciekawości, a Zygmunt August był niepospolitym królem, wiele zapewne osób ciekawych najdrobniejsze szczegóły, zechce wiedzieć, jeżeli nie wie, jak wyglądał.

Król August był jeszcze dość młody, twarz miał pociągłą, bladawą, oczy podłużne, niewielkie czarne, ale pełne życia i wyrazu, brwi bardzo regularne nie wysoko nad oczyma umieszczone. Nosił wąs długi i bródkę podwójną. Czoło miał wysokie i gładkie — szczegóły rysów nie w sobie doskonałego nie miały, składały jednak całość przyjemną i żywą. Obraz jego na zamku w Warszawie, malowany gdy już był w wieku, szczątki tylko ówczesnej jego okazuje twarzy. Spodem miał król suknię jedwabną ciemnozielonego koloru, u szyi krezę dużą, na wierzchu drugą suknię podbitą lekkim futrem. Nosił też łańcuch złotego runa, a na palcach miał kilka pierścieni z wielkimi długimi kamieniami.

Stali koło niego jakeśmy już mówili liczni dygnitarze; z jednej strony sali ks. Czarnkowski ze świadkami swemi, to jest z ks. Wojną, jego bratem i dwoma bernardynami, z drugiej studenci.

Gdy się za wejściem króla uciszyli wszyscy, dano znak studentom, aby sprawę swoją przełożyli, z których jeden wystąpiwszy w te słowa rzecz począł.

— Miłościwy królu i panie!

Jako słońce (była to mowa wyuczona, którą jak mówią, pisał jeden z seniorów). Jako słońce na najpiękniejsze świata cuda i najplugawsze świeci robaki, tak sprawiedliwość królów, nie uważając na małość i mizerność ludzi, przyświecać im powinna. Z sercem przejętem żalością i smutkiem przyszliśmy pod tron twój Najjaśniejszy Panie, do łaskawego ucha twego przełożyć żale nasze na przytomnego tu plebana księdza Jędrzeja Czarnkowskiego.

Król spojrział na obwinionego surowo, ale na jego twarzy nie prócz cierpliwości i spokojnej rezygnacji znać nie było. Mowca rzecz dalej prowadził.

— Dzień temu trzeci N. Panie, jako z wieczora prowadzono wedle szkoły naszej kobietę znaną całemu miastu z obrzydliwości i niecnoty swojej. Niektórzy z nas naśmiewać się z niej poczęli, a gdy krzyżeć i nawzajem lżyć nas zaczęła, z pobliskiego domku usłyszał te wrzaski ks. Czarnkowski.

Nie nasza rzecz wchodzić z kąd miała początekliwość owa, którą nad tą bezwstydną pokazał, toć tylko pewna, bo miasto całe prawie swemi oczyma widziało, że przykazawszy sługom swoim bronić jej i nas rozpedzić, gdy oni wzięli się do wypełnienia rozkazów jego, sam wyszedł na próg domu i jawnie, w obliczności



wszystkich, widząc nas pobitych, rannych i rozpierzchnionych, a nie czując litości, jeszcze nas gonić i bić przykazał. Ilu nas tam wówczas nieszczęśliwych i pogrzebionych było, tylu na to świadków. Ludzie owi zabijawszy czterech z naszych, raniwszy śmiertelnie kilku, którzy gdyby nie litość ludzi pospolitych i niskich co się ostatkiem chleba swego z nami podzielił, może by na ulicach marnie poprzepadali — naigrawawszy się z nas bez litości, dopiero odeszli.

Cóż N. Panie, jeżeli zuchwalstwo ludzi, pod bokiem twoim i oczyma prawie, takich się będzie dopuszczać bezprawów? w co pójdzie moc królewska, jeżeli im to przepuścicie? Przyjdzie może do tego, że nas potem sieroty na śród ulicy codziennie kamienować będą.

I za co?

Lecz jeżeli przewinienie tak jawne i wielkie ujdzie kary pójdziem ztąd pewniejszego szukać miejsca dla nauk, które w ciągłej bojaźni i swarach ostać się nie mogą. Racz pokazać N. Panie, że by najwyżej zbrodnia stała, twoją jest rzeczą pchnąć ją z tej wysokości i przyzwolicie dla przykładu świata ukarać. — Gdyby się to co nam, i sługom tylko jakiego możnego pana stało, byłaby sprawiedliwość, a myż nędzniejsi jesteśmy od sług i pachółków, dla tego żeśmy ubodzy i nikt za nas przemówić nie chce? Tyś ojcem sierót N. Panie — tyś nasz sędzia, innego znać nie chcemy. — Wysoka twoja mądrość dójdzie winnego, a sprawiedliwość go ukarze.

Dokończywszy mowca skłonił się nisko, a król kiwnął głową. Przez cały ciąg mowy zwrócone miał oczy na obwinionego, chcąc wyczytać w poruszeniach jego twarzy to, co miał sądzić o przewinieniu; ale spokojne lice, którem nie poruszyć nie potrafiło, zrobiło go je-

szcze niepewniejszym względem prawdy, z której była strony.

Gdy studenci mówić przestali, nie odzywając się, ręką tylko dał król znak drugiej stronie, aby tłumaczenie swoje wyłożyła, a ks. Czarnkowski wystąpiwszy nieco naprzód, ozwał się cichym lecz pewnym głosem.

— Niemniej N. Panie w sprawiedliwości Waszej ufam i jej się oddaje w tej sprawie, jak ci których obwinienia niesłusznego z chrześcijańską wysłuchałem pokorą. Ludzka rzecz pobłdzić w zdaniu i dla tego nie mam wcale za złe Ichmościom panom studentom, że uniesieni żalem zwrócili się z obwinieniem na mnie. Mówił ks. Czarnkowski ale go nikt nie słuchał, poprzednim wykładem sprawy wszyscy prawie ujęci i król sam nawet jak się zdawało, szeptali tylko i sądząc za niegodne uwagi to co ks. Czarnkowski mówił na obronę swoją, sami między sobą rzecz już tę wcześniej rozwiązywali. On nie mięszał się tem bynajmniej i spojrzawszy tylko po wszystkich, dalej mówił:

— Gdy się ów nieszczęśliwy rozruch stał podług mego domu N. Panie — nie było mnie tam.

— Jako? przerwali studenci, niebaczając na przytomność króla — jako? a to żeśmy wszyscy Waszmość widzieli. — Jak tego zapierać się możesz...

— Dajcież mi Waszmość dokończyć — przerwał pokornie książdź i niezważając na wzrastające znowu coraz głośniejsze szepty, które głos jego tłumili, mówił dalej:

— Przytomny tu ks. Wojna poświadczy N. Panie, że dnia pozawczorajszego byłem u niego z przytomnymi tu osobami na wieczery, i bawiłem aż do samego końca rozruchu.



— Jednak miałeś Waszmość czas jeszcze powrócić, aby nas kazać zabijać — przerwał mu znowu student popędliwie. Świadki wasze jak widzimy są w liczbie czterech, naszych tylu, ile nas tu w sali, ile mieszkańców podług miejsca gdzie się to działo.

Ks. Czarnkowski mileżał, król namarszczywszy się i wlepiając w niego oczy, zapytał:

— A Waszmość co na to?

— Niezem innem składać się nie mogę N. Panie, tylko tem com już mówił, nie było mié wówczas dom, na to i więcej świadków postawić mogę. Gdybym powrócił znalazłem tylko jednego pijanego sługę, który w sukniach moich leżał na łóżku. Wnet i inni powrócili, którzy przyszedłszy do mnie, opowiadać mi zaczęli, jako spełnili wolę moją i studentów pogromiwszy przepędzili.

— Utknął się! aha! a co! wrzasnęli studenci; on mówił dalej spokojnie:

— Ja z podziwieniem odpowiedziałem im, że tylko co do domu powrócił i przejrzałem do razu, że ów co w sukniach moich leżał, gdy w ciemności wyszedł na próg jak sam powiada i krzycząc towarzyszków zachęcać począł, wzięto go za mnie bez ochyby. Co, gdy im gromiąc, ich odpowiedziałem, załakłszy się pouciekali nocą. Świadkowie moi, że późno od nich powrócił poświadcza.

I obrócił się do świadków, ale spojrzawszy na nich, zobaczył na twarzach wszystkich jakąś niepewność, która dla niego źle rokowała.

Widząc ci albowiem, że przeciw ich nadziejom król nie brał strony ks. Czarnkowskiego, zalekli się zaraz i odmienili zdanie, sądząc że lepiej i rozumniej daleko

było, mocniejszej trzymać się strony. Lecz gdy już stawali za świadków i ich za takich ks. Czarnkowski ogłosił — jakże się było od dania za nim świadectwa wywinać? — chociaż wiedzieli jak ono źle przyjętem będzie i jak przyjdzie nie w porę opierać się opinii króla i wszystkich przytomnych.

Ujrzał więc obwiniony, że świadkowie pomieszani i niepewni zdawali się i poglądali po sobie z pod głowy, jakby się bez słów porozumieć i zgodzić w zdaniach chcieli. Uciszyli się wszyscy, ustały szept i gwar, król sam obrócił się z uwagą czekając zeznania świadków, lecz ci zwlekali, jak gdyby nie wiedzieli, który z nich miał zacząć. Studenci wyraźną okazywali niecierpliwość z tego ociągania się świadków a wszyscy w ogóle źle rokowali z tej zwłoki. — Sam nawet ks. Czarnkowski niespokojne rzucił na nich wejrzenie, jakby się czego obawiał; co wzięto za przestrach pochodzący z wewnętrznego przekonania o winie i bojaźni kary. Niewinność i cierpliwość ks. Czarnkowskiego na najprzykrzejszą próbę wystawiona została.

Król rozkazał mówić bratu ks. Wojny, który w cudzoziemskim przepysznym stroju stojąc, starał się ciągle być na przedzie, aby ściągnąć na siebie uwagę króla i dworu.

Ten skłoniwszy się nieco zgrabnie i prawie zalotnie z miną wykwintnisią, której się wyuczył w podróżach u francuzów, odchrząknął i stanawszy, jak by się miał bić na szpady, presto i prawą nogą naprzód, tak mówić zaczął do króla.

— W licznych i długich moich podróżach po cudzoziemskich krajach, N. Panie —

Zygmunt August przerwał mu nagle wołając:



— Nie o to Waszmości pytamy, czyś gdzie bywał, bo to łatwo poznać można ze stroju i zakroju, ale o złożenie świadectwa.

Przerwany w przygotowanej na prędce mowie zmieształ się pełen próżności dworak, stanął już lewą nogą naprzód i chcąc się w umyśle króla poprawić, a widząc że wszyscy wyraźnie studentów bronili, ozwał się natychmiast.

— Świadectwo moje N. Panie, krótkie będzie, nieznając sprawy i niczem w niej nie będąc, przebacysz łaskawie N. Panie, jeśli oddając je, pobłędę co, lub powiem nie wedle jego myśli. Król kiwnął głową nie dbale, a że kawaler ciągle się w niego wpatrywał, przypisując nieukontentowanie które widział na jego twarzy temu, że stoją świadkowie popierać niemłą mu stronę, zaczął się sam z sobą męczyć, aby takie wydać świadectwo, które jeśli by nie zaszkodziło zupełnie ks. Czarnkowskiemu — przynajmniej by mu także nie nie dopomogło. Jakoż odezwał się spuszczać oczy w ziemię i lekko podnosząc ramiona:

— To tylko powiedzieć mogę N. Panie, że był razem z przytomnym tu ks. Czarnkowskim na wieczery u mego brata. A co się tyczy jego uczestnictwa w tym rozruchu, o tem, tak ani owak powiedzieć nie nie mogę, bo nie wiem kiedy był rozruch. Być może że miał czas powrócić jeszcze ks. Czarnkowski na samo rozbiecie Ichmości panów studentów.

Tryumfowali młodzi, szepty i krzyki nie tłumione już powagą króla, ozwały się zewsząd radośnie. — Cóż kiedy własne jego świadki nań świadczą? — pomyśleli wszyscy i rzucili jednogłośnie pogardliwy wzrok na księdza, który zarumieniony tylko trochę lecz nie zmie-

szany stał w milczeniu. Jeden biskup Samuel, nie zmienił twarzy i bacznie tylko na obwinionego poglądał. Student jeden wyrwał się z grona i z zapaloną twarzą występując zawołał:

— Cóż N. Panie, kiedy właśnie jego świadki przeciw niemu świadczą?

W milczeniu powszechnem oczekiwano odpowiedzi obwinionego, który uporeczywie milczał. Król zachmurzał czoło coraz bardziej i poglądał na biskupa Samuela, jak by chciał mu dać do zrozumienia, co myślał o tej sprawie.

Ten zaś co oddał tak niesłuszne świadectwo, bezwstydnym wzrokiem wiodąc tu i owdzie po sali, rzucał czasem ukradkiem spojrzenie na wykwintne suknie swoje, czyli na nim tak leżały, jak sobie życzył. Ksiądz milczał.

Wystąpił z kolei świadek jego drugi, ks. Wojna, ale zeznanie jego brata i dwóch księży którzy przed nim jeszcze w kilku słowach rzecz opowiedzieli, jego zdanie zmieniło. Po niedługim wahaniu, nie chcąc zaprzeczać w brew swoim i gniewać króla, broniąc widocznie potępionego w oczach wszystkich księdza, tyle tylko powiedział:

— Nie mam nic więcej do przyłożenia N. Panie, do tego co mój brat miał szczęście złożyć do ucha W. K. Mości. Było tak, żeśmy wieczerali z ks. Czarnkowskim; lecz co się stało po wieczery nie wiemy, bo i czas rozruchu niewiadomy.

— Za pozwoleniem W. K. Mości, odezwał się nareszcie obwiniony. — Ośmielam się przypomnieć księdzu Wojnie, że w pół prawie wieczery przybiegł chłopak oznajmując co się dzieje około WW. Świętych, że tam lud jakieś rozruchy poczyną.



Było to wpół wieczery jakem mówił, a wieczerza trwała blisko godzinę — rozruch zaś nie przeciągnął się i połowę.

Oczywista zatem rzecz, że gdym wyszedł z tamtąd nie mogłem zastać początku rozruchu, chyba nabiedz na jego ukończenie — jak się też i stało.

— Prawdaż to księżę Wojna, odezwał się król, że wieczerza trwała godzinę?

Kawaler z cudzoziemskich przybyły krajów odezwał się z uśmiechem:

— O tem N. Panie, ani ja, ani żaden ze świadków sądzić nie może, bo zegarów u nas nie ma, a w rozmowie, która była żywa i wesoła, bicia wieżowych nie słyszeliśmy.

— Nie przypominasz-że sobie Waszmość, przerwał ks. Czarukowski, że gdyśmy siadali 23. była prawie godzina, o czem właśnie mowa była, że się opóźniła wieczerza, i zegaru bicie słyszeliśmy stojąc w oknie. A gdyśmy odchodzili do domów, zatrzymywaliście się Waszmość, mówiąc że jest ledwie dwódziesta czwarta godzina.

— O tem, z uśmiechem prawie szyderskim odezwał się pierwszy świadek wpół do króla, wpół do obwinionego, mówiąc, o tem z przeproszeniem Waszmości nie całkiem przypomina mi pamięć moja.

Ksiądz milczał, król usta wykrzywił, wszyscy stronnicy studentów widząc oczewiste ich zwycięstwo, nagrać się po cichu zaczęli w obliczu króla z obwinionego, który się nawet nie odzywał.

Zdawało się że król chciał niby dopomódz księdzu obwinionemu, lecz każde jego pytanie nowy cios na księdza sprowadzało.

— Gdy więc obrażeni uporczywie przy tem stoją, żeś Waszmość był sprawcą tego zabójstwa, a ze świadków żaden się pożytek nie okazał, — trzeba było przynajmniej przywieść tu owego sługę, który, jeżeli pomnę dobrze, jakieś Waszmość mówił, w waszych sukniach wyszedł i za niego samego był wzięty.

Zwrócili się wszyscy, oczekując odpowiedzi niecierpliwie, król i studenci wlepili oczy w księdza, a on schylając głowę powoli i smutnie odpowiedział:

— Ten uciekł N. Panie.

Król głową i ustami poruszył, studenci rozśmieli się głośno, inni zdumieni stanęli. Ci nawet którzy znając dobrze ks. Czarukowskiego, nie mogli ani na chwilę myśleć żeby on był sam zabójcą lub motorem zabójstwa, zaczęli się już wahać i na stronę studentów nachylać, widząc jak się wszystko przeciw niemu składało.

Chwila przykrego milczenia nastąpiła w sali, a oczy wszystkich bezustanku spoczywały na obwinionym, który nie zmienił twarzy, nie okazał po sobie niespokojności i milczał.

Cóż albowiem miał mówić, gdy wszystko, nawet to co myślał że go obroni, przeciw niemu się zwracało. Król zdawał się chwilę namyslać, potem odezwał się z cicha:

— Sądowe *scrutinium* sprawy, w razach meżobójstwa używane, wyjaśni to, co my tu prędkim badaniem obejrzeć ani sprawdzić nie możemy.

— Gdy N. Panie — przerwał obwiniony, wszystko się na pozór przeciw mnie składa, jedynem mojem jest życzeniem, abyś W. K. Mość wyrozumicieliw mi ku tej sprawie wyznaczyć raczył, aby podejrzenia któremi mnie obciążają przed światłem sprawiedliwości zniknąć mogły.



— Stanie się zadość Waszmość — rzekł król — teraz do was się odzywam, dodał spoglądając po studentach. Wielce mnie na siebie mieliście rozniewanego za wasz postępek, który mi się wcale niepodoba — żeście uszanowania zapomniawszy z takim mnie onegdaj wrzaskiem naszli. Chociaż nie było przykładu dotąd by u mnie komu, najlichszemu i najmniejszemu znaczącemu trudno było o przystęp. Ztąd to poszło, że dla nauczania was na drugi raz rozumu, nie przyjęto w ówczas i nie przypuszczono. Teraz gdy wiem i uznaję sprawę, aby bez kary nie uszła, wielce o tem pomyślę. Ale ponieważ praesens ks. Jędrzej Czarnkowski nosząc suknię duchowną, do sądu naszego nie należy, dla tego całą tę sprawę roztrząśnienie i naznaczenie wyrozumicieliw polecam przytomnemu tu teraz biskupowi Krakowskiemu Samuelowi (ten powstał i skłonił się poważnie), pod którego władzą ksiądz Czarnkowski zostaje.

Przyjmujecie Waszmość księdza Samuela?

Studenci milczeli.

— A wy, prędko odezwali się, czy bierzecie to na siebie księża biskupie?

Biskup odpowiedział, że nie raz pierwszy użyty będąc do łagodzenia podobnych sporów, będzie się starał równie szczęśliwie ten ukończyć, jak wiele innych załatwił.

Przytomny tam Jan Tarnowski spojrzał na biskupa, jak gdyby sobie przypominał, że pozorną zgodę z Kmitą jemu był winien. Lecz studenci sta i cicho, a z milczenia i smutnych twarzy wnieść było można, że się im sędzia nie podobał, bo wszyscy wiedzieli w jakiej był przyjaźni z obwinionym.

Lecz nikt ozwać się nie śmiał, ani przecząc, ani

dziękując — powaga króla, wysoka dostojność Samuela i zachowanie jego u Zygmunta Augusta, wszystkim usta zamykały.

Nie czekając odpowiedzi, król natychmiast wyszedł z posłuchalnej sali.

Tłum studentów coraz głośniejsze szemrzając i narzekając, rzucając najdziwniejsze obelgi na ks. Czarnkowskiego, wytoczył się także, nie słuchając nawet jak biskup wzywał ich na dzień następny, aby się ku niemu stawili. Zaraz też umknąć chcieli świadkowie ks. Czarnkowskiego, aby uniknąć rozmowy z nim i wymówek na jakie sprawiedliwie zasłużyli, miał jednak czas obwiniony zbliżyć się do brata ks. Wojny i skłoniwszy się rzekł:

— Pozwolisz mi Waszmość podziękować sobie za trud jaki zadałeś przybywając aż tutaj, chociaż bytność jego, przeciwko nadziejom moim, więcej mi zaszkodziła niżeli pomogła.

Jak gdyby nie nie słyszał, skłoniwszy się tylko od niechcenia umknął szybko P. Hiacynt, a za nim co prędzej jak od zapowietrzonego wszysej świadkowie od księdza uciekli. Chciał nim odszedł także obwiniony zbliżyć się ku kilku znajomym osobom, które z biskupem rozmawiały, ale z podziwieniem ujrzał, że do kogokolwiek się przybliżył, każdy go zimno przywitawszy umykał pod różnym pozorem. Księża i panowie, którzy mu wprzód przyjaźnemi się być zdawali, cofali się teraz od niego i unikali zdaleka. To powiększyło jego żal i smutek, a niechcąc zrobić przykrości natretnością swoją, tym którzy mu posądzaniem swoim taką krzywdę wyrządzali — umknął także z sercem zakrwawionem i żalem ściśnionem.



Nieszczęście jego szło za nim i dalej. W kościele i na ulicy, znajomi których spotykał, odwracali głowy aby go nie widzieć, nie odpowiadali na jego powitanie, lub unikać niemogąc, zimno i prędko zbywszy, uciekali.

Przekonał się na ówczas ks. Czarnkowski, że uzależnia się studentów, a może i odgłos powszechny, iż ta sprawa źle poszła na jego stronę, uczyniły go pogardzonym i usunęły od wszystkich. Każdy teraz lękał się aby znajomość z obwinionym nie zrobiła mu jakiego kłopotu, nie zmusiła do wyznań, do stawania u sądu na świadectwo lub tym podobnie.

Biskup nawet Samuel, lękając się podejrzeń studentów, nie chciał się widzieć z księdzem Czarnkowskim, aby nie sądzono, że jego stronę trzyma i naradza się z nim o sprawie.

## VIII.

### Biskup Samuel.

Napomknęliśmy już nieco o Samuelu Maciejowskim biskupie Krakowskim, lecz wracamy do niego, przekonani, że o prawym człowieku nigdy dość, nigdy nadto mówić nie można. I tak przepada pamięć tych ludzi razem z wspomnieniem milionów ludu, którego tylko mogiły wskazują przejście przez ziemię ich wnuków, nie pytając u mogli kogo kryją, zaprzatnionym sobą i życiem. Wieluż to ludzi ginie, po których nie zostaje dłuższa pamięć jak po ściętem drzewie lub zgnieconym robaku; a przecież byli to ludzie, ludzie dumni z tego że się ludźmi urodzili! I każdy z nich za życia powtarzał prawdy któreśmy tu wypisali, a każdy także pochlebiał sobie w duszy, choćby był najlichszym, iż dla niego potomność zrobi wyjątek z wielkiej reguły zapomnienia.

Przykro jest marząc o ludziach przekwitłych dawno, wcielając się w ich życie, widząc ich przed oczyma duszy — w sile wieku; przykro przypomnieć potem, że ich nie ma i że nigdy nie wrócą! — Historia i bajka czemże są od siebie różne? — że w pierwszej szuka



człowiek dla swej dumy pokarmu, w drugiej dla ciekawości; — wolę jednak ciekawość jak dumę i śmieję się z historii, a bardziej jeszcze z tych, którzy całe życie poświęciwszy na wykopywanie z grobu popiołów dawnych ludów i wieków, zrodziwszy na nowo zapomnianą lub przekreśloną historję, sami idą spocząć tak daleko, że ich nikt nie odkopie.

Są to kozły w studni, po których grzbiecie wychodzi z jamy uwieszone zwierzę, a ich na swoim miejscu zostawia.

Biedni historycy, oni jak kopacze złota, oddawszy pamięci ludzkiej bohaterów i zbrodniarzy, sami zostają ubodzy w kopalni i giną uduszeni wyziewami, lub zasypiani ziemią. Przeciwnie ci co bajki piszą; ich bohaterowie rozplywają się w powietrzu, oni zostają na widoku. Jeśliby kto, nie słuchając powołania, chciał z rachunku obrać taki sposób pisania, któryby mu jego *ja* wyniósł wysoko, niechże się strzeże historii, bo zginie.

My wrócim od niezgrabnego *proludium* do rzeczy.

Samuel Maciejowski urodził się, powiada Orzechowski, z familji Ciołków a domu Maciejowskich, w województwie Lubelskiem, z ojca Bernarda. Lecz że następnie wielkiego miał na świecie dójsć znaczenia, każdy uzna, że nie mógł się urodzić jak się rodzą wszyscy inni ludzie. — Musiało jego przyjście choć małą jaką osobliwością się odznaczyć. — Orzechowski naśladowając w tem Plutarcha, który gęsto podobnemi sypie przepowiedniami, opowiada jak słyszał w późnej starości od ojca biskupa Samuela, że w tę noc w której żona zleżała, nie znajdując się w domu, miał być napomniony

we śnie, aby owo dziecię, które porodziła żona, Samuelem nazwał. Wybiwszy się zaś ze snu ojciec i wspomniawszy o żonie w ciąży zostającej i pologu bliskiej, czem prędzej do niej posyła z obwieszczeniem, aby jeźeliby powiła syna dała mu imię Samuel. Żona właśnie powiła syna i dała mu imię wedle życzenia mężowskiego. Dodaje Orzechowski, że do tego proroczym sposobem nadanego imienia całe się życie jego stosuje, czego my jednak pewno nie dojrzym przez kilka set lat, które nam je mroczą.

Dorósł w domu pod okiem ojca Bernarda młody Samuel i w tem co na onczas domowe wychowanie stanowiło, wyćwiczony został. A gdy lat doszedł takich, w których zwykle młodzi ludzie szukając szczęścia po dworach panów zwykli się byli rozbiegać, udał się do Piotra Tomickiego, biskupa Krakowskiego, gdyż nie do innego jak do duchownego stanu czuł powołanie. Tu rozwinał się korzystnie charakter i zdolności młodego jeszcze Samuela, który wielkie po sobie dając nadzieje i znacznie we wszystkim rówieśników swych przepisujać, w skutek tego wysłany został do Padwy, sławnej na onczas ze swej akademii, ze swoich murów, bastionów i z urodzenia Tytusa Liwiusza. Tu to nabrał on nauki i poloru, słuchając krasomowstwa pod nauczycielem Romulusem Amuzeusem, a filozofii pod innemi niemniej pięknych imion i sławy przewodnikami.

Tak już wychowany i świata nie mało obaczywszy, co na ówczas równo się z nauką ceniło, bo należało wnosić, że z podróży nikt bezkorzystnie nie wracał, Samuel z Padwy wrócił do Polski, a że go Tomicki lubił i protegował, umieścił go u króla Zygmunta za wielkiego koronnego sekretarza, gdyż języki doskonałe



posiadał i pisał równie wprawnie jak mówił.

Podobał się Samuel królowi — wprawny, pojętny, wyrozumiewający, w każdej rzeczy umiał znaleźć środek, zaradzić.

Znał także swoje powołanie i odpowiadał miejscu, a często i ciągle prawie ocierając się o króla, zyskał jego szacunek, przywiązanie, i wpływu nabył wielkiego na jego umysł. Zrobił go najprzód Zygmunt kościoła Krakowskiego dziekanem, a wkrótce potem biskupem Chełmskim.

Rósł dalej w lata Samuel, a z nim sława jego we wszelkich sprawach, do których się kolwiek brał, rosła. Wstąpił na podkanclerstwo koronne, które — jak powiada Orzechowski, nazwisko urzędu różni się w Polsce słowem tylko, a jest w istocie jednym co kanclerstwo.

Nie dość tego, że z biskupstwa Chełmskiego wszedł na Płockie, dodał mu jeszcze król kanclerstwo koronne — chociaż prawo dwóch razem dostojności takich jednemu sprawiać nie dozwalało, został jednak dla Samuela zrobiony wyjątek, za jednozgodnem stanów zezwoleniem.

Na biskupstwie Płockiem nie długo posiedział; — umarł ów sławny Piotr Gamrat nieprzyjaciel Maciejowskiego a ulubieniec Bony, który w naszym języku zostawił pamiątkę swego życia. Po śmierci styranego pijaństwem i rozpustą Gamrata, na biskupstwo Krakowskie wstąpił Samuel, nie zdając kanclerstwa.

Pozwólmy teraz Orzechowskiemu mówić o nim. —

— „Wstąpiwszy tedy na tak wielką dostojność Samuel, tak się sprawował, że świętobliwością między biskupami, dostatkami zaś między kanclerzami celo-

wał. Życie jego albowiem nadewszystko było wstydlive, spokojne i wstrzemięzliwe, do tego jeszcze przydały mu ozdoby piękne i kształtne obyczaje, w których żadnego w mowie naprzykrzania, żadnej zapalczywości, żadnej nie było srogości. Przytem cierpliwie znosił obelgi, wytrzymywał a nie mścił się; zawziętości, którą odebrawszy choć mu dojmowała, tak w sobie ukrywał, że z temi, którzy go obraźili, łaskawie jak gdyby od nich obrażony nie był, rozmawiał, a czasem idobrodziejstwa im świadczył. Ta dobroci i dowcipu sprawność jeżeli po inne czasy często-kroć, tedy najbardziej natenczas, w owej zawziętości na postanowienie królewskie w oczach stanęła — \*) gdy rozumiano iż przyczyną jego był Samuel, co jednakowoż za świadectwem samego króla inaczej się miało.

Przetoż kiedy go niewinnie dla tej przyczyny rozmawiać ludzie słowy i pismami szarpali, on wiedząc którzy byli, na żadnego nie miał gniewu, ani się mścić chciał i wszystko cierpliwością i łagodnością zwyciężał. — W mowach poważnym, w sądach łaskawym był, a ludzi luterskiego związku bardziej ustraszwał groźbą, niż karmił surowem karaniem, z kądem niektórzy sądzili, że u siebie w swem biskupstwie lutrów przechowywał; ale się to nie sprawdziło, bo nie co od religii odstępowało katolickiej nie cierpiał. — Zgoła pokazuje się że był światobliwy a jednak umiarkowany — co się rzadko zdarza. Albowiem widzimy często pobo-

\*) Bardzo przepraszam, ale to tłumaczenie Włyńskiego, który z pięknej łaciny Orzechowskiego zrobił bardzo chropowatą polszczyznę.



żność zlewającą się z fanatyzmem i surowością, lub powolność zbytnią w grzech przeciw stanowi duchownemu przeradzającą się.

On wszystko umiał pogodzić. W pochwały te można by było nie wierzyć Orzechowskiemu, który sam potrzebując pobłażania, pobłażających mógł chwalić, gdyby wszyscy inni pisarze też o nim nie powiedzieli, Łukasz Górnicki mianowicie, który długi czas u niego zostając, zbliża mógł go poznać.

Ten zaś ostatni wiele o nim dobrego napisawszy, i to nakoniec dodaje — że świątobliwością żywota był równy tym, których kiedy bez męczeństwa kanonizowano. Najdziwniejsza jednak była, iż z tej świątobliwości nie przyszedł nigdy do fanatyzmu, było to prawie cudem w owym wieku, kiedy rosnące herezje podwajały surowość duchowieństwa, albo go ku sobie pociągały, kiedy księża żenić się zaczęli, król otwarcie różnowercom sprzyjał, a senatorów wielu błędy Lu-tra było przyjęło.

Co się tyczy wymowy i stylu, w tych niemniej cenił. Powiadali współcześni o nim, że gdyby w zgromadzeniu Bogów chciał mówić od Jowisza Merkurjusz, nie inszym kształtem i nie inszym mówił by językiem tylko Samuela Maciejowskiego. — Niepospolicie wysmażona pochwała!

Opowiada także na jego zaletę Orzechowski, że tak wytwornie i pięknie pisał po łacinie, iż Hieronim Giuncikardynał Seneński, który był w Rzymie kanclerzem, powiadał mu, iż z nikąd tak pięknie pisane do Rzymu listy nie przychodziły, jak z Polski za kanclerstwa Maciejowskiego. Im bardziej się rozpatruje życie jego, tem mocniej mu się dziwować potrzeba, że nigdy, o ile

wiemy, władzy swej ani wpływu na złe nie użył, ani swoim wywyższeniem wynosił. Głośna była za jego pośrednictwem uczyniona zgoda między dwoma owego wieku sławnymi ludźmi: Janem Tarnowskim kasztelanem i Piotrem Kmitą wojewodą Krakowskim. Ci, gdy z różności zdań w sprawie kraju ciągle się swarzyli między sobą i od siebie stronili, ubolewał naprzód, że ze szkodą Rzpltej wielcy dwaj ludzie ciągle się różnią i nienawidzą, a oni dla niego trzeciego oba nie małą powolność i szacunek okazali, gdy za sprawą jego i pośrednictwem z sobą się zgodzili. — Taka jednak zgoda długo nie trwała, dumny Kmita znalazł co zarzucić, niemniej o godność swoją dbałemu Tarnowskiemu — znalazły się zdania, w których się różnili i przygasła nienawiść wybuchła na nowo.

Gdy zaś znowu dalecy byli od siebie i o zgodzie słuchać nawet z ust Samuela nie chcieli, trzymali się naówczas biskup tak, żeby ani jednego, ani drugiego nie obrazić i stać w średniej mierze. I nie łatwa to rzecz była, jak cytowany pisarz uważa, obydwom pokazywać przychylność, gdy się oba nienawidzili; — niebezpieczna nawet, bo mógł stracić przyjaźń obydwu.

Lecz czegoż rozum oparty na doświadczeniu i umiarkowaniu, charakter łagodny i nie cierpiący wybuchów, jakim był Samuela, czego nakoniec cierpliwość nie dokaże?

Doszedł do tego zwykłemi łagodności sposobami biskup, że ich nawet nieraz do pozorów przyjaźni wprowadził, chociaż te nie długo trwały.

Na ostatnim sejmie Samuel stojąc z Tarnowskim ze strony króla przeciw posłom i Kmicie, popierał sprawę jego ożenienia dowodząc, że ono krajowi nie



złego przynieść nie mogło, a jednak przez to miłości powszechnej u postów nie utracił a u króla więcej jeszcze zachowania pozyskał.

Górnicki który w kronice swojej przywodzi oprócz pochwał należnych jemu, mowę Przerębskiego, przy oddaniu po jego śmierci pieczęci królowi, sam u niego do końca zostawał.

Widzieliśmy że jemu król naznaczył rozeznanie sprawy studentów z ks. Czarńkowskim, które on przyjął, lecz młodzież szemrała, że w przyjaźni z nim zostając, mógł go zażądać bronić. Niesłuszne to jednak było posądzenie, bo biskup, acz z nim był w przyjaźni, jednakże widząc ogólne na niego wszystkich zniechęcenie, a raczej przekonawszy się że wszystkie pozory winy ciążyły na ks. Czarńkowskim, przygotował się do rozeznania tej sprawy tak ściśle i ostro, aby mu przeciwna strona nie zarzucić nie mogła. Skutkiem tego wszelkie podejrzenia chcąc usunąć od siebie, dał znać ks. Czarńkowskiemu, aby przez czas sprawy u niego nie bywał, iżby to pochopu złym ludziom nie dało do mówienia, że się oba znoszą i zmawiają. Lecz posłaniec biskupi, który dość już późną porą z takowem pismem do ks. Czarńkowskiego chodził, nie zastał go doma i zostawiwszy je poszedł. Pleban zaś, nie wiedząc nic o liście, bo do domu nie wstępując, swoim zwyczajem i potrzeba powodowany, wkrótce udał się do niego.

W oknach biskupiego domu błyskały światła, a słudzy w dziedzińcu pijący lub grający w kostki oznajmywali jawnie, że był w domu gospodarz. U drzwi służalec jeden przeciw zwyczajowi, z miną zafrasowaną

zbliżył się ku niemu i prosił go bardzo pokornie, aby nim wejdzie zaczekał na chwilę, aż zbieży dać znać o tych odwiedzinach biskupowi.

Poszedł, a ksiądz u drzwi pozostał i słuchać musiał, udając że nie słyszy, przycinków zgromadzonych pacholków i sług, którzy sobie jego sprawę opowiadali, powtórnie i szyderski wzrok rzucając na niego dość głośno powtarzali straszny wyraz — zbójca! — On stał i czekał. — Służalec wrócił i nie nie rzekłszy, drzwi mu tylko otworzył, on wszedł, a z nim do sali wszedł także ten dolegający wyraz zbójca ciężący na jego sercu, które sobie śmierć muchy lub robaczka chyba mogło mieć do wymówienia.

Na salach czekały go inne jeszcze przykrości i upokorzenia, na salach czekał go biskup kanclerz, dawny przyjaciel, który dziś witał go oziębło i prawie pogardliwie, sądził bowiem że list jego był odebrany, że ks. Czarńkowski spiesźnie i gwałtownie ciśnie się ku niemu i czując się winnym, potrzebuje i przychodzi żebrać pobrażania i pomocy.

Biskup znał ludzi i uważał zawsze zdaniem swego wieku, że wielka ich liczba mylić się nie może, usłyszawszy przeto w koło szmer niepomyślny dla księdza, który w skromnej sukni swojego stanu wszedł w zgromadzenie najznacniejszych państwa osób, złem okiem poglądających na niego, jeszcze się w swoim podejrzeniu ugruntował.

Tu czekały księdza Czarńkowskiego wszystkie próby jakich się spodziewał i nie spodziewał, widział dawnych przyjaciół, którzy nań patrzali jakby go nie znali, słyszał lub odgadywał szept, które się rodziły gdzie się tylko pokazał, widział jak usuwano się i uciekano z miej-



sca w które szedł, jak nikt go słowem, ani skinieniem nie witał, widział w całej okropności wyrok, jaki na niego wszyscy wydali, patrzył niewinny i milczeć musiał i cierpieć. — Niepodobna nawet opisać cierpienia, których istota nie da się pochwycić, ani dotknąć — ten pot zimny, ten żar który nagle głowę rozpala, potem dreszcz znowu, potem niby lzy które niedojrzałe wpływają do powiek i wracają nazad do serca, to milczenie okropne, które inni biorą za strach i wyznanie winy, a które jest tylko zdumieniem i żalem. W tym stanie duszy jedno przyjaźne słowo otwiera niebo dla człowieka, lecz któż je wyrzec zechce?

Obwiniony próżno szukając, do kogoby mógł przemówić lub zbliżyć się, przypatrzywszy się swemu nieszczęściu z bliska, wyszedł z mieszkania biskupa ze łzami w oczach, bo nie mógł dłużej ścierpieć żywego widoku swego potępienia niesprawiedliwego, który mu serce rozdzierał. — Lecz cierpienie, wyszło z nim razem i wyraz — z bólem — którym go przywitani słudze kiedy przechodził, trącając go zuchwale, mieniać go niższym od siebie i nie ustępując mu drogi.

Tuż za mieszkaniem biskupa ujrzał ks. Czarnkowski postać jakąś czarną i małą, przemykającą się blisko, która śmiejąc się złośliwie, krzyknęła mu do ucha:

— Wracasz od biskupa, czy ci przyrzekł że będziesz niewinny?

Postać znikła i znowu pot zimny oblał mu skronie i dolegające cierpienie ścisnęło go za serce, bo widział że z jego przyczyny posadzono nawet biskupa.

Wróciwszy do domu znalazł w nim nowe przykrości, przeczytał list który nań czekał, i stanął osłupiały załamując ręce i powtarzając sobie:

— Czegożem tam chodził!

Wnet wytłómaczył sobie zimne przyjęcie biskupa Samuela, i gdyby umiał, byłby swój los przeklinał, który go gnał w najprzykrzejsze wypadki. Lecz przekleństwo ust jego nie skalało, ukląkł i modlić się zaczął. Wspomnienie przeszłych rzeczy wmięszało się i do modłów, przerwały się pacierze, on klęczał i z załamaniem rękoma, z okiem bez wyrazu wlepionem w obraz swojego patrona wiszący nad łóżkiem, myślał o przeszłości, drżał nad swym losem. — Bo gdzież były dowody niewinności przeciw tylu pozorom że był winien? Pierwszy raz w życiu nie dokończył modłów wieczornych, padł na łożo i utrudzony cierpieniem zasnął.

We śnie widział znów tych słudze, których spotkał przed mieszkaniem biskupiem, urągających mu się okropnie, widział jak na nim darto suknie duchowne, jak ścierano cegłą z czoła święte oleje, jak go wiedziono na rynek, na plac kary pamiętny śmiercią Malcherowej, czuł jak go piekły płomienie, jak go dusił sznur i zimny miecz chodził po jego szyi, czuł jak go cięto w kawalki i słyszał śmiechy ludu i naigrania. Straszny był to sen, sklejonny z najszykaradniejszych wyobrażeń mąk i upokorzenia, a on przetrwać go musiał tak mocno, jakby żył na jawie, bo wypadki które go sprowadziły, były świeże jeszcze a urażenia nie zatarte.

Zbudził się gdy dniało, sen plątał się jeszcze po jego mózgu, ale chwila modlitwy rozbila jego resztki i poszedł do kościoła mszę odprawiać. — Nie znalazł nikogo ktoby mu do mszy chciał służyć, a pobożni słuchacze gdy wyszedł do ołtarza z kościoła uciekli.

Przed offertorium jeszcze przyniesiono mu do ołta-



rza rozkaz, aby kapłańskie obowiązki do czasu oczyszczenia się zupełnego z winy zawiesił. Z pokorą i smutkiem zszedł niekończąc mszy ze stopni i widząc odjętą sobie ostatnią pociechę publicznych modłów i ofiary, rozebrał się z ornata, odstawił kielich, który zakrystjan szybko na bok usunął, i w ciemnym zakątku tegoż kościoła, w którym niegdyś celebrował nieraz, wznosząc z mnogim ludem modły do Boga, nie mogąc dziś nawet mszy odprawić, jak gdyby ręce jego kalały ołtarz pański — padł kryżem na zimnej podłodze i z twarzą wlepioną w marmur, wylał łez kilka, łez których nikt nie czuł i nie widział, które za chwilę zarzecz miały pogardliwie nogi przechodniów.

A gdy tak leżał przyszły mu na myśl spokojne dziecinne lata, kiedy był nieczem tylko szczęśliwym. Wspomniat matkę i dom i rodziców, braci i siostry, a potem ogień poszedł po jego głowie, gdy sobie dzisiejszy stan swój przypomniał. — Długo, długo kryżem leżał — i tak lud omijając go, naigrawał się mówiąc, że umyślnie to robi, aby się pobożnym pokazać. Wstał nareszcie, poszedł i zamknął się u siebie. — Lecz i tu z ulicy dochodziły go słowa, które przechodzący w okna jego domku obelżywie rzucali.

Ciężki to był krzyż do zniesienia!

Tegoż dnia przywołano go do ks. biskupa Samuela na sprawę.

Tu znalazł ks. Czarnkowski seniora Mikołaja Szatkowskiego i jego kolegów, a żadnego ze studentów.

Biskup chodził żywo po komnacie i znać było z jego twarzy że się gniewał. Witającemu go księdzu zimno odpowiedział, a po chwili odezwał się do seniorów głosem, który się starał ułagodzić a w którym pomimo

tego przebiegał się cień nieukontentowania.

— Przynieście mi Waszmość pismo od studentów, które kogo innego jak mnie silnie by oburzyło. Co znaczą te płoche wymówki studentów, dla których niby stawić się nie chcą do mnie na sąd? Są to zasłony, pod którymi się ukrywa to, iż mnie posadzają o zмовę z ks. Czarnkowskim. Takie posadzenie innyby na mojem miejscu srogo ukarał, lecz znacie mnie Waszmość, żem sam człowiek i Bogu tylko karę zostawuję. On świadkiem moim, że bratu bym rodzonemu nie darował, gdyby się winnym ukazał. Odtąd jak ks. Czarnkowski srogo obwinionym został aż do czasu w którym się usprawiedliwi, zerwałem z nim wszelkie dawne zażyłości stosunki.

Spytajcie go sami Waszmość, czyli nie odebrał ode mnie pisma, w którym go prosiłem, aby dla uniknięcia podejrzeń do końca sprawy bywać u mnie poprzestał? Nie ja winien jeśli się próżbom moim zadosyć nie stało, jeśli ks. Czarnkowski lekceważąc spokojność moją, rzucił na mnie nowe szmery i podejrzenia wczorajszą swoją w moim domu bytnością.

— Raczysz W. P. M. wybaczyć mi ten krok, odezwał się obwiniony, bom naówczas nie jeszcze o liście który mnie w domu czekał nie wiedział.

Biskup nie już nie odpowiedział, siadł tylko, list studentów rzuciwszy przed sobą na stół, podparł się i milczał chwilę. Potem odezwał się:

— Powiedźcie Waszmość im, że daruję nieroztropnej młodzie, że się na czas naznaczony nie stawila, jakem przywykł za Boskim przykładem wszystkie przebaczać obelgi.

Senior z kolegami stał cicho i rozważał zapewne



nieśmiejąc się ani słowa odezwać, widząc ks. Samuela przeciw zwyczajowi swojemu poruszonym i nieukontentowanym.

Potem ks. biskup rozpoczął sąd i nazначzył od siebie z między księży wyrozumicieli, a chcąc aby go w wyborze ich nie posądzono o stronność dla obwinionego, wybrał takich, którzy osobiste mieli powody sądzenia na stronę studentów, bo z zazdrości lub pochlebstwa nie cierpieli ks. Czarneckiego.

Obwiniony zaś niechcąc, aby odrzuceniem wyrozumicieli rzucić na siebie większe podejrzenie, aby go posądzono że się ich lękał, zezwolił na nich i na liczne przykrości i niewyrachowane skutki sądu, który składać mieli osobiści jego nieprzyjaciele.

Ufał niewinności swojej.

Naznaczano więc dzień i godzinę na scrutinium, gdzie obie strony świadków sobie postawić miały i sprawę tę jak najpilniej roztrząsać, gdyż od króla i biskupa zalecono było, aby nie opuszczać na obie strony i bez żadnych względów według najściślejszej sprawiedliwości rozebrać.

Odeszli uspokojeni seniorowie, gotowali się księża mający zasiadać w sądzie, a Czarnecki milczący i smutny, niosąc w pamięci surowe obejście się wprzód tak przychylnego mu biskupa, wrócił do samotnego mieszkania walczyć z myślami swemi.

## IX.

### Sprawa.

A wszakoż inkwizycja tak o rany przeznaczona jako i o głowę i scrutinium ostateczne pod przysięgami od szlachty i od innych ludzi wszelakiego stanu, onego miejsca gdzieby się to stało sąsiadów, przez tenże sąd ziemski, zezwawszy każdego z osobna i osobiście pytając, żeby drudzy nie słuchali. Gdy będzie jeden każdy z nich pytan, któryby o przerzeczonych rzeczach jaką wiadomość mieli, ma zachowano być: a to p. zeto, aby niewinny za winnego nie był obwinion i winy odnosił.

Ekscępta a zwyczaję Wdztwa Mazowieckiego o. Sejm r. 1576.

A tak rozpoczęła się sprawa bez zwłoki. Między wyrozumicielami zasiadł ksiądz Jan Przerebski proboszcz i administrator biskupstwa Krakowskiego, człek we Włoszech wyćwiczony w wymowie i chytrności, który na księdza Czarneckiego od dawna złym okiem patrzył\*). Inni częścią także niechętni ku niemu, częścią okolicznościami nakłonieni, aby o nim źle sądzili, zaj-

\*) Znacznie później dopiero pogodzili się i zaprzyjaźnili.



mowali ławy. Stawali od studentów na popieranie sprawy seniorowie z kolegami i kilkudziesiąt świadków, już to ze studentów już z mieszczan uproszonych, ks. Czarnkowski sam jeden stał od siebie a z nim zmaglani sądownem wezwaniem pierwsi jego świadkowie. Świadców prowadzono po jednym i wyprowadzano, gdy drugi przychodził.

Na przód wysłuchano świadectwa kilkunastu studentów, którzy rzecz jak była opowiadali całą i piorunowali na ks. Czarnkowskiego, dowodząc że w ciągu całego wypadku stał we drzwiach domu z kijem, i ludzi wysławszy na ich pobicie, jeszcze ich do tego zachęcał jestami i słowy.

II. re. Wysłuchano naoczego świadka Filipa Sawickiego, który opowiedział, jak z okna swego własnego domu widział wszystko i że z tej przyczyny zaczętego różańca dokończyć nie mógł. Mówił ten także że żonie swej pokazywał ks. Czarnkowskiego, stojącego na progu domu. A żona pani Filipowa przytomna skłoniwszy się zasiadającym i przystąpiwszy pod sam nos zasiadającemu z fartuchem podniesionym do twarzy, toż samo potwierdziła. Rozumie się że jej świadectwo tylko jako dopełnienie mężowskiego się uważało.

III. cie. Płatnierz Mateusz Duda opowiadał, że pracując w płatnerskiej kuźni swej, wyleciał był z niej na hałas który się zrobił w ulicy i widział studentów uciekających i rozpierzchnionych, a koło niego przebiegali dwaj ludzie którzy bili studentów, a potem trzeci.

— Ten trzeci, mości sędziowie, rzekł płatnierz wpatrując się w kogoś stojącego w kącie, zdaje mi się że ten jest.

I wskazał palcem na sługę, który stał za panem

Hiacyntem Wojną z twarzą czerwoną i gębą otwartą. Zrobił się szmer na sali, człowiek ten chciał uciekać i wcisnął się między ciżbę w drzwi stojącą, ale go u drzwi złapano i przyprowadzono wyrywającego się przed pytających.

Zrobił mu pierwsze zapytanie ks. Przerębski.

— Jak się zowiesz? — wiele masz lat? jakiego jesteś stanu?

— Jestem Tomasz Sosnowski, mam lat nie przypominam sobie wiele. —

— Jakiej jesteś religii?

— Tego nie wiem.

— Jakto nie wiesz?

— Nigdy o tem nie myślałem.

— Czy umiesz pacierz?

— Nie, nie umiem.

— Czy byłeś chrzczony.

— Może i chrzcili mnie kiedy, ale bardzo to dawno być musiało, bo nic nie pamiętam.

— Zkąd jesteś rodem?

— Nie wiem proszę Miłości Waszej! ale jak zapamiętam, byłem pastuchem gęsi u panów Wojnów. Potem wzięto mnie do usług do dworu i oddano starszemu paniczowi, jak jechał do Włoskiej ziemi, a potem raz i drugi, gdy wróciwszy z obcych krajów powtórnie wędrował. Teraz wróciliśmy obydwu.

— Nie jesteś więc katolikiem?

— Zapewne jestem, ale o tem nie wiem.

— Teraz u kogo zostajesz?

— U mego pana.

— Któż jest twój pan?

— Znajomy zapewne — ot tam stoi — i wskazał



palcem na pana Wojnę, przyszedł tu na świadki, to i ja się za nim wcisnąłem. P. Hiacynt zarumieniony usunął się nieco, a oczy wszystkich zwróciły się na niego.

— Z jakiego powodu znajdowałeś się między sługami ks. Czarnkowskiego?

— A bo ja to prowadziłem tę kobietę, o którą poszedł spór, i mnie to te szalone studenciska błotem tak brzydko obrzucali. Jak też ja zobaczyłem że ich bili, to i ja bić zacząłem.

— Czy ranileś, lub zabiłeś którego?

— Jak Bóg miły, pod mój kij nie patrzałem.

— Czy widziałeś że ks. Czarnkowski was zachęcał do bicia studentów, czy nie mówili ci słudzy, że z jego rozkazu to robili?

— Nie nie mówili, tylko jakeśmy już bić zaczęli, tak oni obróciwszy się ujrzeni, że ten oto ksiądz pono stał we drzwiach i kiwał na nich kijem, aby tłukli co wlezie.

— A tyż to widziałeś?

— A widziałem!

— Czy ten sam był ksiądz którego tu widzisz?

— Musi być ten sam, kiedy tak powiadają.

— Czy przysiężesz na to coś powiedział?

— Gotów jestem i przysiądz, kiedy tego będzie potrzeba, umiem ci i nauczyłem się po obcych krajach tyle przysiąg, żebym i za dzień cały nie wygadał.

— Nie jesteś więc katolikiem? przysiężesz na krzyżu i Ewanjelji.

— Przysięgnę i na ewanjelję!

— Wiesz-że co to jest ewanjelja? zapytał jeden z zasiadających.

— Słyszałem, jest to wielka książka w skórę oprawna z kłamrami.

Księża spojrzeli po sobie i ruszyli ramionami pytając się wzajemnie, jaką by mu przysięgę naznaczyć wypadło, on stał i wesa kręcił.

— Potrzeba jeszcze, ozwał się nareszcie jeden, abysmy wiedzieli w co wierzysz.

— W co Waszmość każecie, to ja będę wierzył, odpowiedział spokojnie Tomasz.

— Wierzysz, zapytał jeden, w zmartwychwstanie? w duszę?

— Wierzę, ale tego nie rozumiem, rzekł Tomasz.

— Wiara obojdzie się bez rozumu, — przerwał jeden z sędziów, żartując.

— Wiele jest Bogów? zapytał drugi ksiądz.

— Oto pytanie, śmiejąc się odpowiedział sługa, czy ja ksiądz żebym o tem wiedział — kto ich policzy?

— Co kościół, to Bóg. A tyle widziałem kościołów, osobiwie w Rzymie! Bóg wie, wiele jest Panów Bogów!

— Pan Bóg w wielu jest osobach?

— Pierwszy raz słyszę, że pan Bóg jest w osobach.

— Czy umiesz znak krzyża Świętego położyć na sobie — zapytano znowu.

— A którą ręką? — zapytał sługa wyciągając obydwie.

Ksiądz Przerebski po tej odpowiedzi rozkazał go pacholkom miejskim wziąć i odprowadzić do więzienia, pókiby dalszych względem niego nie uczyniono rozporządzeń.

Po IVte. Stawali jeszcze świadkowie liczni ze strony studentów, którzy wszyscy z małemi odmianami toż samo co poprzedni uznawali.



Przyszło nareszcie do strony ks. Czarnkowskiego i słuchano było? Naprzód jego zeznanie — powtóre księdza wikarego Wojny, jego brata i dwóch Bernardynów. Pokazało się z tego, że był pod ówczas ks. Czarnkowski u nich na wieczerzy, kiedy się ten rozruch począł, lecz w pędzie wyszedł, a nikt dla dojścia lepszego wypadku nie chciał czy nie umiał powiedzieć godziny, kiedy się to poczęło, i kiedy wyszedł ks. Czarnkowski. Przez oznaczenie bowiem czasu mógł się usprawiedliwić obwiniony i okazać, że natrafił już na samo rozpierchnienie studentów. Stało na tem, że świadkowie nic a nie mu dopomódz nie mogli.

V. Prosił ks. Czarnkowski, aby miejskiej władzy wyszukać rozkazano sługę owego, który, jak on dowodził, w jego się suknie po pijanemu przebrawszy, wyszedł na próg domu krzyczeć na swych towarzyszków sług i z przyczyny ciemności wzięty został za samego księdza.

VI. Odpowiedź dano iż zalecono zostało władzy miejskiej szukać go jak najpilniej.

VII. Z wielkiem podziwieniem wszystkich wprowadzono okutych w łańcuchy sług dwóch ks. Czarnkowskiego, którzy w owym rozruchu zabili kilku studentów. To ulżyło nieco obwinionemu, który zaczynał mieć nadzieję, iż się za pomocą ich uniewinnić i oczyścić potrafi.

VIII. Pacholkiwie miejscy złożyli doniesienie jakim sposobem owi słudzy uciekający do Wieliczki, gdzie rodziców i krewnych mieli, w drodze poznani przez jednego szlachcica zostali i za daniem wiadomości do wsi połapani i do Krakowa pod ścisłą strażą dostawieni.

IX. Przy nateżonej wszystkich ciekawości rozpoczęło się badanie dwóch służalców.

Pierwszy z nich zeznał wszystko, tak, jakieśmy to już nieraz opisali, a gdy przyszło do głównego zapytania, czyliby to czynionem było z rozkazu ks. Czarnkowskiego, odpowiedział:

— Gdy już studenci rozgonieni i pobici zostali, obróciwszy się ujrzelśmy, chcąc już wracać do domu, że na progu domu stał ks. Czarnkowski i machając kiem do dalszego bicia nas zachęcał.

Był-że to pewno ks. Czarnkowski? zapytał ks. Przełębski.

— Niezawodnie! odpowiedział sługa.

— Słuchaj, odezwał się w tej chwili ks. Czarnkowski, nicem ci w ciągu twojej służby u mnie nie przewinił, za cóż niesłusznem świadectwem pociągasz mnie za sobą do tak srogiej odpowiedzialności? Czyż, gdyście oba wrócili i gdyście mi opowiadali, żeście spełnili moje rozkazy, czyż nie pokazałem wam naonczas leżącego na łóżku trzeciego pijanego w sukni mojej i z kiem jeszcze obok, z którym do was na próg domu wychodził? Wy dopiero zobaczywszy, iż to nie ja byłem i nie rozkazawszy nic, bronić także nie myślę od kary za szkaradne zabójstwo, pouciekaliście ze strachu.

— Tego nie pamiętam — odpowiedział po cichu sługa odwracając się, a świadkowie studentów i przytomni studenci głośnym śmiechem napelnili salę. Sędziowie pospuszczały głowy; pisarz odpowiedzi badanych pilnie spisywał, tuż koło nich siedząc na ławie.

Wszystko szło na opak ks. Czarnkowskiemu, ale chciał jeszcze raz ostatni spróbować i zapytał sługi po chwili:



— Wszakżem przecie, jak sam wiesz, nie był domu pod początek tego rozruchu?

— Owszem, byłeś Waszmość, odpowiedział sługa bezczelnie. Sala sądowa zagrzmiała znowu śmiechami przeciwnej strony, a obwiniony jakby piekielnie cierpiał męczarnie, zakrył oczy rękoma z rozpacz, spuścił głowę i siadł.

Drugi sługa też samo zeznawał, prócz wszelkich szczegółów przeciw ks. Czarukowskiemu, niechcąc już zapewne przez litość nad dawnym panem położenia jego pogorszać.

Opowiadał że był pijany, że dopuścił się tego rozboju, nie będąc przy swoim rozumie, że nie jest pewien czy ta osoba co stała na progu był sam ksiądz. Zeznawał nareszcie że widział sługę pijanego leżącego w sukniach księży i kij obok niego, że nakoniec dowiedziawszy się z ust swego pana wspólnie ze swoim towarzyszem, iż nie on, ale ów pijany — wychodził ich zachęcać na próg domu, załakłszy się uciekł.

Zeznał jeszcze i oświadczył gotowość poprzysiężenia swoich dowodzeń, że pod początek rozruchu ks. Czarukowskiego nie było w domu.

Znowu nadzieja oczyszczenia się uśmiechnęła obwinionemu, odetchnął wolniej, że nie bronił dotąd przez nikogo, choć jednego człowieka miał za sobą i sprawiedliwością, lecz tę pierwszą chwilę rokoszną przewrwał szum na sali groźnej strony przeciwnej, który nawet nie dał dokończyć słudze zeznania. Studenci i ich świadkowie krzyczeli iż świadek był przekupiony, co pierwszy sługa potwierdzał także chcąc poprzeć zeznania swoje przeciw ks. Czarukowskiemu.

Nie dano nawet mówić obwinionemu, ani słudze opo-

wiadać dalej świadectwo swoje, i z wielkiem wykrzykiwaniem na przewrotność i niegodziwość księdza, na którego od strony przeciwnej spadały bez ustanku obelgi, śmiechy i urągowiska, resztę sądu na dzień następny odłożono.

Znalazł jeszcze czas ks. Czarukowski prosić na nowo, aby dolożono starań do wynalezienia sługi, bez którego uniewinnić się nie mógł, na co mu odpowiedź dano, iż król J. M. zdawna polapać tych wszystkich winowajców miejskiej straży polecił. Po czem oznajmiwszy świadkom przysięgę na dzień następny, dając im noc do namysłu, rozeszli się sędziowie i strony za nimi.

Nazajutrz gdy się znowu zebrano, doniesiono najprzód, że przypadkiem pijanego i przed ludem szablanującego \*) uchwyciono pod wieczór sługę, na którym były ostatki nadziei ks. Czarukowskiego. Uradowało go to nie mało, jak każdy wyobrazić sobie może, lecz prędko przyszły mu myśli insze, myśli smutne, wspomnienie wczorajszych bezczelnych zeznań pierwszego sługi wyraźnie nań namówionego. Słusznie po poprzednich wypadkach można się było lękać, aby i ten dla uniewinnienia siebie z przestachu nie wyznał fałszywych zupełnie rzeczy, i zataił to, o czem może dla pijactwa nie doskonale pamiętał, że przebrany w suknie księże stał naówczas na progu, gdy jego towarzysze trzeźwiejsi studentów zabijali. Myśl ta tem była bliższa prawdy, że sługa ów o nic więcej nie będąc obwiniony, mógł się i lekkiej ostatniej swojej winy wypierać dla zupełnego oczyszczenia się. Radość to więc była ze

\*) Żartującego, błaznującego. — Stary wyraz.



smutkiem połączona i przestraczem, a że mimowoli udreczenie jego duszy malowało się na twarzy, radowali się studenci sądząc, że pojmanie ostatniego sługi, a tem samem utrata pozostałej wymówki była strachu przyczyną.

Rozeznawcy sprawy przystąpili naprzód do przysięg, które wczorajsi świadkowie wszyscy na przygotowanym krzyżu i ewangelji wykonać mieli.

Uczynili to naprzód bez wahania prawie wszyscy świadkowie ze strony studentów, warując jednakże (co nie mało pomogło obwinionemu), że na to przysięgać nie mogą iż go widzieli, bo po ciemku łąco oczy zdradzić mogą.

Mimowoli zapisać musieli to zeznanie rozeznawcy, co zmieniło po części zdanie niektórych z nich mniej przeciw plebanowi uprzedzonych.

Przeszłego dnia nieumiejętny w wierze Tomasz, noc tylko przebywszy w ręku duchownych, stawiał się nazajutrz ochrzczony warunkowo, umiejac już główną modlitwę *Credo* i zasadnicze wiary prawidła, wyznając że jest katolikiem, a tem samem mogący już składać przysięgę zwykłą. Gdy więc po panu Wojnie na niego kolej przyszła, przysięgł sam jeden tylko ze wszystkich, że widział swemi oczyma ks. Czarnkowskiego i pewny jest jego współuczestnictwa w tym rozruchu. Szcześnie że on jeden tylko tak przysięgał, reszta usunęła z rotę wszystko, co jakiegokolwiek podpadało wątpliwości.

Z powszechną niecierpliwością oczekiwano wprowadzenia sługi, mającego rozstrzygnąć sprawę swoim zeznaniem, i albo ocalić plebana, albo go zgubić, chcąc siebie ratować. Milczenie powszechne panowało w sali, obwiniony polecał się Bogu w duchu, świadek sta-

nał na przeciw wielkiego stołu, któren otaczali zasiadający.

Z radością ukrytą ujrzał ks. Czarnkowski jednym rzutem oka, że sługa był pijany.

Wiedział z doświadczenia, że człowiek ten nie był złym, a przy odwadze jaką pijaństwo dodaje i prawdomowności, temu stanowi umysłu właściwej, mógł się spodziewać zeznań pomyślnych.

Zapytany opowiedział, klnąc i drapiąc się w głowę, jak się ubrał w suknie księże, jak wyszedł na próg domu pijany, słowem wszystko co tylko pamiętał; lecz w miarę jak mówił rosła niespokojność i nieukontentowanie przytomnych studentów, wielu z nich wykrzykiwało lub tupało nogami, inni odgrażali się na sędziów i łajać ich zaczęli, a ta okoliczność, sama z siebie mała, rozniewała ich i obróciła rzeczy w inną stronę. Czego sprawiedliwość i oczywistość wyjednać nie mogły, uraza osobista i chęć pomsty dokazała — pogrożki studentów i obelgi dotknęły ich do żywego.

Wysłuchano do końca zeznań sługi, przywiedziono go do przysięgi i zbiwszy w jedno wszystkie dowody za i przeciw, okazawszy godzinę i miejsce, które dla ks. Czarnkowskiego pomyślne się pokazały, dodając że nikt prócz Tomasza nie przysięgł na to że go widział, że sługa zeznał iż sam stał na progu, że nakoniec pierwszy sługa, który dniem przedtem dowodził, jakoby to był ks. Czarnkowski, i że się podczas rozruchu w domu znajdował, nazajutrz na to przysiędź nie chciał, zważając że Tomaszowa przysięga, dla złych wyobrażeń o jej ważności, za nic się liczyć może — ogłosili formalnie na zasadzie poprzednich dowodów: że *scrutinio facto* ks. Jędrzej Czarnkowski pokazał się niewinnie



w zapale obwiniony, a rzeczą samą, bynajmniej do niczego nie należał.

Zaledwie ten wyrok przeczytano, w którym uznano sług za jedynie winnych i karze według całej surowości praw podlegających, sala zagrzmiała okropnym wrzaskiem, hukiem, tupaniem, piekielna wrzawa rozległa się w około, zadrżały od niej okna.

Powstali zasiadający, lecz próżno starając się zgłębować ten uspokoić, wyszli a studenci rozsypali się z tymże krzykiem po mieście.

Pospólstwo, ciągle ich stronę trzymające, wtorowało im wszędzie, i nie słyhać nie było tylko narzekania w tłumie, w domach, na ulicy, a nawet po kościołach.

Studenci, powiada Orzechowski, po staremu, ponieważ raz winnym zabójstwa Czarnkowskiego ogłosili, na opaczem wyrozumieniu przestając, owych więzionych sług winować nie chcieli.

Ksiądz pleban, jak gdyby mu życie oddano, poszedł spokojny, lecz nim do domu nadażył, wstąpił jeszcze do najbliższego otwartego kościoła, a tam padłszy krzyżem ze łzami Bogu dziękował, że go z tak przykrych wyrwał ostateczności.

Lecz jeszcze wiele zostawało mu do cierpienia, bo któż z tych tłumów był przekonany? — Lud wszystek obwinił go jeszcze, lud uporeczywy w raz powziętem zdaniu jednogłośnie go potępiał, jeszcze za nim wszędzie brzmiały ulice obelgami, leciały wejrzenia pogardliwe i pogróżki. Cierpliwość tylko i niewinność stawiał przeciw temu wszystkiemu.

Nazajutrz sąd miał się przed króla wytoczyć, a studenci wołali: że gdy zostanie bez kary, oni opuszczą Kraków, akademią, szkoły i pójdą wszyscy w świat.

Dla dogodzenia im, przekonania i uśmierzenia musiano jeszcze zbierać dowody i sprawę dalej ciągnąć.

W wieczór przybył do księdza Czarnkowskiego posłaniec od biskupa Samuela z prośbą, aby się ku niemu stawiał.



X.

Rada studentów.

{ Czemu nie pamiętacie, żaki, że  
macie dwoje uszu do słuchania, a jedno  
usta do mówienia?

*Nauczyciel do uczniów.*

Tegoż samego wieczora, w domku na ulicy Kano-  
nicznej zebrali się studenci. Pełne ich było podwórze,  
pełne mieszkanie i ulica. Narada odbywała się w śro-  
dku domu, na podwórzu i ulicy, wrzaskliwa, pełna  
kłótni i swaru. Czasem uciszali się na chwilę, wystę-  
pował mowca, krzyczał, przeklinał i płakał w swej  
dzikiej mowie, wymowniejszy jednakże bez wątpienia  
od wielu owego czasu suchych, długich, usypiających  
oracyj, bez których się nie mógł obejść pogrzeb ani  
wesele, chrzciny, zaręczyny i biesiady.

W środku domku byli ci, którzy wiekiem i uwa-  
żeniem między swemi celowali, tam nie rozumiejąc  
sami siebie wszyscy sobą zajęci huczeli razem, usiłu-  
jąc próżno nawzajem nakłonić siebie do milczenia i  
słuchania.

— Bracia! odezwał się jeden z pomiarkowańszych

wstępując na stół — posłuchajcie mnie chwilę, pro-  
szę o głos! cicho! panowie bracia!

— Nie nowego nie powiesz! zakrzyknięto ze stron  
wszystkich — stare biedy tylko będziesz powtarzał, lecz  
czy możesz dać nam radę?

— Dam — odpowiedział mowca trąc dumnie ręką  
po czole — dam, posłuchajcie chwilę.

— Chwilę! — krzyknęli wszyscy, słuchamy! Mo-  
wca powiódł z góry wzrokiem po słuchaczach i tak zaczął:

— Mówicie Waszmość wszyscy że nie ma już dla  
nas ratunku, ja zaś tego nie widzę, bylebyśmy chcieli  
czynić wszystko z pomiarkowaniem i powoli.

— Powoli? przerwał jeden, nim słońce wejdzie ro-  
sa oczy wyje. Czego czekać? żeby i resztę nas pobili?

— Dajże mi kończyć, zawołał mowca. — Nie chcia-  
łem abyście czekali, ale też wymagać nie można aby  
spieszac się dla nas ze sprawiedliwością, połamano zwy-  
czaje i prawa.

— Przekupiony! krzyknięto w tłumie.

— Cicho! odezwali się inisi, niech mówi, co ma po-  
wiedzieć.

— *Scrutinium* i rozeznanie sprawy, mówił dalej stu-  
dent, zrobiono jak się należało. Bo choć my prawa  
nie znamy, mówili ci, co na tem zęby zjedli, że rzecz  
szła porządnie. Pokazało się oczywiście że ks. Czarnko-  
wski jest niewinny i żeśmy go niesłusznie oskarżyli.

Ledwie miał czas tych słów dokończyć, wrzaski  
dalej mówić mu nie dały, zakrzyczano ze wszystkich  
stron, że był ujęty i przekupiony.

— Jakto niewinny? silniej od innych zawołał je-  
den bliżej stojący, alboż my oczu nie mamy? czyśmy  
go wszyscy nie widzieli?



— A jednak, rzekł mowca, nikt na to przysięgać nie chciał. Można się pomylić, panowie bracia, ale nie ma wstydu, a raczej cnota obaczywszy się w błędzie, poprawić. Książd jest niewinny, słudzy jego uwięzieni ukarani zostaną.

— Przekupiony! wrzasnęli wszyscy okropnie — nakazano ci tak mówić, kazano! precz z nim! przez okno go! zawiązać mu gębę niech drugich nie psuje!

— Słuchajcie! zakrzyczał mowca głośniejsze.

— Na rany Boskie wam przysięgam, na zbawienie moje, że to co mówię z własnego przekonania. Słuchałem i patrzyłem na wszystko nie tak jak bym był obrażony, ale jak z boku obojętny i sprawiedliwy człowiek, przekonałem się.

— Cicho, cicho, przekupiony! zagłuszyli go wszyscy.

— Pokażcie mi tyle złota, niezrażony mówił dalej student, tyle złota, choćby w nowym świecie gdzie nim pono rzeki płyną, któreby mogło odmienić zdanie moje. Wiecie, że w ostatnim rozruchu straciłem krewnego brata, i myślicie że mi jego krew choć jedną noc dała przespać spokojnie? Nie — nie — nie dam, nie dałbym się przekupić. Lecz posłuchajcie i rozważcie sprawę zimnym umysłem, a sami to poznacie co mówię, i zamiast czynienia rozruchów, wróćcie do nauk spokojnie, czekając aż król ukarze winowajców.

Lecz już mimo wysileni dłużej mówić nie mógł, tłum otaczający go, tak był daleki od dzielenia z nim zdania, że niektórzy plwali na niego tupając i wrzeszcząc, aby prędzej mówić przestał. Trudno im jednakże było dokazać tego, póki jeden z zapaleńszych nie pochwycił za nogę stołka na którym stał i nie wyrzucił ich razem. Mowca stojący na nim padł i trawiwszy nie-

sześciem głową o krawędź bliskiego okna, rozbił sobie do krwi skronie. Na widok krwi odskoczyli wszyscy na bok przestraszeni spoglądając po sobie, krzykliwy tłum zamilkł, jakby czarami zmuszony do uciszenia się, a mowca nie zważając na ranę, porwał się szybko i krzyknął z większym jeszcze zapalem:

— Zbieracie się pomścić za krew sierot naszych, a jednego ze swoich zabijać chcecie?

— Nikt cię nie chciał zabić, odezwał się jeden, upadłeś przypadkiem.

— Widziałem przecie ja i wszyscy, jak ten oto co tak kryje twarz, stołek wyrzucił podemną.

— Ale o to mniejsza, rany moje nic nie znaczą! większy wstyd temu, kto na swoich podstępami wojuje. To mówiąc mężnie otarł się suknią i stanął spokojnie patrząc na nich. Drugi wystąpił natychmiast i znowu zawołał:

— Słuchajcie! milczeli wszyscy, on brew namarszczył, ręce wyciągnął i zawołał:

— Kłamie kto mówi, że ks. Czarnkowski winnym nie jest. Pytajcie o to całego miasta, całe miasto powie że winien — wszyscy prócz jego przyjaciół, którzy się zapierają sprawiedliwości dla dogodzenia jednemu człowiekowi, prócz tych co zamykają oczy na łzy i ucisk biednych.

— Możecie powiedzieć, wy obrońcy Czarnkowskiego, że głos tego ludu jest fałszem? nieznacież upoważnionego wiekami przysłowia — *Vox populi, vox Dei*?

— Cóż są za dowody jego niewinności? że przysięgać nie chciało? A toć sługa jego przyjaciela przysięgał, widzieliście sami jak go przed królem jeszcze odstępowały własne świadki i wezwani na pomoc przeciw nie-



mu świadczyli? Kłamie więc kto mówi że jest niewinnym, a gdy tak jest na cóż się ociagać, dobra sprawa nie potrzebuje powolnego postępowania. Zły niech się namysla co ma robić, my idźmy się domagać sprawiedliwości, póki nam jeszcze nikt tego nie broni.

— A jeśli jej nie odbierzem?

— Jeśli jej nie odbierzem, pochwyć drugi z zapalem, pójdziem ztąd, opuścim nauki, opuścim Kraków i Polskę. Nie tyle świata co w oknie, pójdziem dalej. A zacz tu naszego co zostanie, poczembyśmy plakali, którenże ma kogo żałować, lub takiego co by go żałował? Co nas tu trzyma? Pamiętacie jeszcze może ten wiersz który nam niedawno tłómaczył ks. Adalbertus w poetyce:

*Omne solum forti patria est, ut piscibus aequor.*

— Co znaczy jeśliście zapomnieli, że mężnym i stałym kaźden kraj jest ojczyzną, jak rybie woda. Gdzie pójdziem wszędzie lepiej nam będzie jak tutaj. Niech pustkami stoją kolegia, niech nauki wyglądają napróżno ktoby przyszedł po nie, wszędzie jest litość i chleb dla biednych — wszędzie są nauki — pójdziem w świat!

— Pójdziem w świat! powtórzyli wszyscy, tak! pójdziem! — Powiemy im to w oczy, powiemy samemu królowi, że jeśli nas sprawiedliwość ominie, noga nasza nie postanie tutaj. — Zgoda?

— Zgoda!

— Bodaj przepadł marnie kto słowa nie dotrzyma.

— Bodaj przepadł! W świat! w świat!

— W świat! powtórzyli wszyscy.

I jeden z nich stanął w oknie i odezwał się machając ręką na znak aby się uciszyli do tych, którzy stali na dziedzińcu i podwórzu.

— Słuchajcie!

Uciehły wrzaski, i szmer tylko jakby mruczenie fali ulatywał po nad głowami tłumu.

— Słuchajcie!

Czy przyrzekacie jeśli nam sprawiedliwości na ks. Czarnkowskiego odmówią, czy przyrzekacie opuścić wszystkie razem miasto, kraj i nauki?

— Pójdziem! wrzasnął tłum jednogłośnie. Pójdziem choć na koniec świata, pójdziem ztąd!

Mowca słuchał chwilę tego krzyku rozlegającego się długo w około, potem machnął ręką i zszedł z okna uradowany. — Teraz, — zawołał, zostaje nam tylko panowie bracia iść znowu do króla i domagać się póty o karę na księdza, póki nam jej zupełnie nie odmówią.

— Tak! tak!

— A potem —

— W świat! — krzyknęli wszyscy — Bóg nas nie opuści. — Mowca znowu wlaź na okno i machnąwszy ręką czekał póki ucichli i odezwał się:

— Do domów, panowie bracia, dość wrzasku i krzyku, jutro reszta sprawy a potem w świat.

— W świat! w świat!

Z tym krzykiem głuchym a przeraźliwym, złożonym z kilkuset różnorodnych głosów, cienkich, wrzaskliwych, grubych i cichych, tłum powoli rozplywać się zaczął w różne strony. Widząc to mowca zszedł z okna, pożegnał jeszcze skinieniem ręki kilku znajomych i powoli, powoli mało kto znalazł się na ulicy, przechodnie mijali się tylko i cichość powróciła.

A z krat jednego okna mieszkania biskupa Samuela ktoś zatrzasnąwszy za sobą okno usunął się szybko. Był to sam biskup, który słuchał wszystkiego.



XI.

**Kurka i kogut.**

Powiem wam bajkę.  
Niańka do dzieci.

Ksiądz Czarnkowski, jakśmy już mówili, odebrał wezwanie, aby się do biskupa Samuela stawił na wieczere. Miło mu było to wezwanie, bo w nim widział jawnie niewinność swoją i powrót przyjaźni kanclerza, który przekonany wedle doniesień rozeznawców od siebie naznaczonych, że ks. Czarnkowski był niewinnym, lekki na sumieniu, że się to wedle jego myśli, życzeń i nadziei stało, chciał mu pokazać tem zaproszeniem, że widząc uniewinnionym rad go będzie oglądał u siebie, a nikt już robić ztąd wniosków o pomoc lub zmowę nie będzie mógł, bo sprawa tak jak ukończoną była. Punkta, wedle których sądzić miano, podpisane i pieczęciami rozeznawców wzmocnione, były już gotowe.

Lecz skutkiem dawnych upokorzeń i strachu, choć całe niewinny, drżał jeszcze ks. Czarnkowski, choć już bojaźń kary na to przeleknięcie wpływać nie mogła. Stugębny lud, młodzież, obwiniali z jego przyczyny króla, biskupa, sędziów, świat cały choć lekki na su-

mieniu, mógłże w takim razie zupełnie być spokojnym ks. pleban przed ukończeniem sprawy? Nie, zapewne — samolub jaki na jego miejscu, widząc oddalone własne niebezpieczeństwo a nie zważając na frasunki, jakie to drugim jeszcze sprawić mogło, byłby się radował, że sam biedy uniknął. Lecz daleki od tych uczuć pleban niespokojny, ledwie się ośmielał czasami z pokorą i spuszczonej oczyma przebiegać ulice, milczał, nie narzekał, nie radował się i modlił się tylko Bogu. W modlitwie, dla duszy która do niej przywykła, która w niej szuka nagrody za swoje cierpienia, znajduje się wszystko: nadzieja szczęścia lepsza od samej szczęśliwości, ufność w Boga i obojętność na złe, które jak wszystkie rzeczy tej ziemi koniec musi mieć.

Jeszcze się nie zmierzchało, gdy ks. Czarnkowski wybrał się do biskupa, obwinięty suknią swoją, z utuloną twarzą, aby lud nie zastępował mu drogi krzykliwie.

Przed biskupiem mieszkaniem jak wprzód stali słudzy liczni, trzymający konie wierzchowe, pilnujący bogatych wozów i kolebek pańskich.

Ukazanie się jego w pośród nich, mina posępna i pokora wypiętnowana na całej postaci, sprowadziła znowu biednemu księdzu obelgi, szeptu i zuchwałe potrącania służalców, ale on nie obrócił się nawet, jakby nie czuł i nie słyszał, i stanawszy u drzwi ujrzał, że tą razą sługa nie biegając jak wprzód pytać pana, puścił go natychmiast kłaniając się nisko.

U ks. biskupa mnóstwo było osób: brat jego ochemistrz, Stanisław Grabia, Tarnowski, Kmita, ks. Przełębski, Adam biskup Krakowski, biskup Chełmski i biskup Poznański, mieszkający naówczas przy królu, i wiele osób znaczących już to z dworu, już przypadkowo



znajdujących się w mieście, różnego stanu i wieku.

Jak tylko wszedł ks. Czarnkowski, szmer dał się słyszeć, wszystkie oczy zwróciły się na niego i goście spojrzeli na gospodarza, jak gdyby nie wiedzieli jak do niego przemawiać i jak się z nim obchodzić.

Była to chwila niespokojności, ustąpiono mu z drogi; biskup przywitał go poufale i mile, posadził niedaleko siebie i zaczął z nim rozmowę w języku łacińskim, który oba doskonale umieli. Jak tylko to ujrzeni przytomni wróciła dawna wesołość, rozpoczęły się na nowo pourywane rozmowy, wszystko poszło jak wprzód. Obejście się gospodarza przekonało wszystkich, że ks. Czarnkowski był niewinny, lub przynajmniej w tym domu za niewinnego powinien być uchodzić. Nikt już nie uciekał przed nim, a chociaż w rozmowie czuć było jakiś niemięśmak i niepewność ze stron obojga, wszystko szło jednak jak najlepiej na pozór. Ci co go dawniej unikali, wstydziły się tylko, że nie rozpatrując rzeczy, nie polegając na jego charakterze, dali się uwieść odgłosom ludu, posadzili go niesłusznie i upokorzyli. Im się zdawało, że to chwilowe upokorzenie stało jeszcze w umyśle plebana, ale on uraz nie pamiętał i cały oddany radości, że go choć teraz mniej zimno jak dawniej witają, chętnie o przeszłości zapominał.

Nie było już nikogo kto by stronił od niego, przyjaźne słowa biskupa ukończyły wszystko.

Miało się już ku wieczery, gdy ktoś nowy wszedł do komnaty obszernej, w której znaczna część gości zgromadzona była.

Był to mężczyzna chudy, blady, z czarnymi oczyma, w dziwnym pstrokatym różnokolorowym stroju, którego krój również był jak barwa osobliwy. Włosy miał roz-

pierzchnione po głowie, a na wierzch tego odzienia ułożoną opończę czarną i zbloconą. Wszedł i nie przywitał nawet nikogo, tylko prosto poszedł do biskupa i całując go w rękę rzekł żartobliwie i wesoło:

— Zajrzawszy że się u Waszej Pasterskiej Mości kurzy w kominie, przyszedłem i ja tu. Niedarmom dworak, znam jak cudzy chleb smaczny.

— I dobrześ zrobił Stańczyku, rzekł biskup powolnie, żeś tu przyszedł, przynajmniej może rozweselisz nas nieco, bo wielu bardzo mileczy i siedzi pospuszczawszy głowy. Powiedz nam co wesołego.

Stańczyk ruszył głową, mrugnął oczyma i odezwał się do biskupa:

— Nie moja to już rzecz terażniejszych panów rozmarszczyć czoła, dziś ja nie ten com był dawniej. Stara গেśła z porwanymi stronami nikogo nie rozweseli.

To mówiąc powiódł ręką po czole i westchnął, ale to westchnienie tak było niezgodne z jego wesołym i niedbałym charakterem, że się z niego wszyscy rozśmiali, jak gdyby co najweselszego powiedział.

Stańczyk albowiem był to sławny błazen królewski, jeszcze nieboszczyka króla Zygmunta, a następnie jego syna. Przy poniżającym na dworze królów urzędzie jakiego sprawował, był na swój wiek dziwnym człowiekiem. Wyuzdany w mowie, jak powiada Orzechowski, wesołego humoru i wielkich zdolności; posiadał bystre pojęcie, które dopomagało jego dowcipowi do pochwycenia zawsze rzeczy z tej strony, z jakiej się ona najśmieszniej, najdziwniej wydawała. Przywykły do tego, tam gdzie inni widzieli żale, interesa, zajęcie — śmieszność tylko widział. Nie był to jednak dowcipniś jak inni sławni błaznowie królewscy. — Stańczyk śmiał się czę-



ściej z politowania niż dla wzbudzenia cudzego śmiechu. Lecz ludzie, nie rozumiejąc powodów które twarz jego suchą i pomarszczoną krzywiły, śmieli się, niewiedząc że się często sami z siebie śmieli. Stańczyk niedbając o łaski, zasłoniiony swoim urzędem, śmiało wszystkim w oczy gadał co mu na myśl przyszło, bo się nikogo nie lękał. Cóż mu kto mógł zaszkodzić? co dopomódz? on nie dbał o nie.

Zimny widz, z prawdziwie filozoficznym politowaniem śmiał się z tego co drudzy robili, a sam szedł drogą życia spokojnie z uśmiechem na ustach, z pogodą w duszy, bez nadziei, bez obawy. Życie jego ograniczało się na tem, iż patrzył na drugih; jak roślina pasożytna, przyczepiona na cudzem życiu, ssal z wypadków innych ludzi swoje życie, swoje zabawę, pożywne soki, które go utrzymywały.

Stańczyk choć błazen, wszędzie bywał przyjęty. Było to jednym z przywilejów jego, że mógł wejść wszędzie i wszystko widzieć. Ponieważ sam nigdy nie robił, tylko patrzył na drugih, pozwolono mu zato patrzeć wszędzie, patrzeć bez braku, patrzeć gdzie się podobało i mówić co mu ślina do ust przyniosła.

Któż by się nań śmiał obrazić, gdy król sam znosił co powiedział? — musieli znosić wszyscy drwiące słowa, a gorszy jeszcze uśmiech, gorsze jeszcze przeszywające wejrzenie Stańczyka.

Dla niego nie było wzbronnego miejsca — kościół, zamek, pokoje króla i panów, rynek, sądownia, wszystko było mu otwarte. A on z uśmiechem, który jak strój wyłączny jego stanu nigdy mu z ust nie schodził, szedł prosto, bez zastanowienia i przeszkody wszędzie. Gadał z każdym, choćby mu był nieznajomy, śmiał się

z każdego, każdy głupi należał do niego, każda śmieszność była jego własnością, chwycił ją, niósł i rzucał jak pastwę tym, którzy nie wiedząc z czego się śmiać będą, śmiać się jednak chcieli.

Stańczyk był niepospolitym błaznem, jego życie spędzone na próżniackim wpatrywaniu się w ludzi dało mu ich poznać. Nieraz z rozpoczętego słowa, kiedy się kto zatrzymał w mowie, wyrwał mu z duszy resztę myśli i okrywał rumieńcem tego, czyją myśl cudownie odgadł.

Ze swoją pstrokatą suknią, z kołpakiem uszatym, z pokorno-zuchwałą miną, może był największym filozofem swojego wieku, bo najwięcej zastanawiał się nad wszystkim, a najmniej dbał o wszystko.

Nie żartujmy z Stańczyka, Stańczyk był wielki człowiek, tak wielki przynajmniej jak jego współczesny Pszonka.

Przyszedszy, jakeśmy powiedzieli, Stańczyk usiadł na ziemi koło biskupa, schylił głowę na ręce, ręce złożył na kolanach i w tej półnachylonej postawie, bawiąc się końcem swego kołpaka, poglądał zwyczajem swoim po zgromadzeniu.

— Wiecie Waszmość, odezwał się po chwili, że Tarnowski z Kmitą mają minę psa i kota, którym kazano pochować pazury i bawić się razem? — Patrz Waszmość jak przyjaźnie z sobą gadają. Dydka bym nie dał za to, że jutro będą wyrzekać na siebie, że nawet teraz jeden drugiego w duchu obelgami zarzuca.

Biskup spojrział na Stańczyka z podziwieniem i trochę niechęci i odpowiedział:

— Daj im Waszmość pokój, dzięki Bogu że są już w zgodzie!



— Że są w zgodzie? pochwycił Stańczyk, tego Wasza Przewielebność nie mów, a spojrz raczej na twarz Kmita jak się czerwieni, błednieje, marszczy i wypreża, jak mu oczy latają, jak wąs skacze z wargami — ta mina na zgodę nie przystała.

Biskup spozrzał i zobaczył, że w istocie żywa była rozmowa między wojewodą a kasztelanem, a chcąc ile możności uwagę wszystkich od tego odwrócić, kiwnął głową, kaszlnął i rzekł:

— Cóż nam powiesz nowego a wesołego Stańczyku? Lecz Stańczyk nie słyszał tych słów biskupa, bo zaczawszy z ks. Czarnkowskim rozmowę, do niego się obrócił.

— Jak się masz męczenniku, rzekł — czy żyjesz jeszcze? czy cię jeszcze nie ukamienowali studenci — i jak się ma twoja sprawa?

Pleban chcąc uniknąć odpowiedzi, zarumieniony kiwnął tylko głową, a Stańczyk ze zwykłą gadatliwością mówił dalej:

— Dziwną masz sprawę na księdza — zaczęła się od niecnoty, a Bóg wie na czem skończyć się może! — I król biedny nie wie co w tem począć, i chciałby on i studentom gębę zamazać i Waszmości złego nie zrobić. Słyszałem dziś jak nasz ks. biskup zdawał królowi sprawę z tego.

— A gdzież był naonczas? odezwał się biskup.

— Gdzie byłem? zwyczajnie — poddrzwiami podsluchiwałem. Mnie to nie grzech, mnie i księdzu na spowiedzi wszystkiego słuchać wolno. Czy uważałeś ks. biskupie, że się król cieszył jakżeście mu pokazali niewinność ks. plebana? Bądź dobrej myśli, nie uważaj na nic i niczem się nie frasuj, niech ludzie gadają co

chcą, byle nie sumienie nie gadało.

— Ty jak widzę, rzekł biskup, mówiąc tak, słowy protestujesz się przeciw ubiorowi i urzędowi swemu. — Godzisz się Stańczykowi tak poważne rzeczy puszczać z ust swoich?

— Przepraszam, odpowiedział Stańczyk, jeśli mi się czasem zdarzy poważnie co powiedzieć, to choć się po wierzchu nie śmieję, dusza moja sama się z siebie śmieje.

Gdy tak rozmawiali przystąpił ku nim Kmita z czerwienioną, gładząc na przemian łysinę posiwiąłą i wąs czarny.

— Do pioruna! rzekł zaraz do Stańczyka, gdybym był twoim królem, kazałbym ci klęczeć na grochu za to, że przyszedłszy tu siedzisz jak dziad kościelny z kwaśną miną i nikogo nie rozweselasz. Wiedz Waszmość, że na cudzą przyszedłszy wieczerzę, za to że ją jeść będziesz, powinienbyś przynajmniej nakarmić nasze głowy. — No! do roboty! śmieję się i rozśmieszaj Stańczyku!

— Ba, odpowiedział zagadniony, od stóp do głowy okiem przebiegając Kmitę. Cała torba śmiechu nie rozśmieszyła by teraz Waszmość.

— No czemuż to tak?

— Boś zły, panie wojewodo.

— Zły? ja — zły? zapytał Kmita okiem ponurem rzucając na Stańczyka, gładząc wąsa zdziwiony że mu jego tajemnicę wyrwano z duszy.

Stańczyk nie uważał na jego pomieszanie i mówił dalej:

— Dobrze to śmiać się kiedy jest z czego i z kogo, ale dziś mało do śmiechu — płakać by lepiej.

— Nie żartuj tylko; odezwał się Kmita, ty byś się



gotów śmiać z rzeczy nad którymi byśmy plakali, bo każda rzecz ma dwie stronie \*).

— Są i ludzie co mają dwie stronie — rzekł Stańczyk prędkie rzucając wejrzenie przecięte mrugnięciem oczu na Kmitę i umilkł. Kmita poprawił pasa i spojrzał na bok.

Zbliżył się Jan Jastrzębiec Ocieski, nie młody, ale uśmiechający się, głośno mówiący, wesoly i strojny — ten wyciągnął rękę do Stańczyka i rzekł: — A ty tu także z nami?

— Gdzie tylko są głupstwa z których się śmiać trzeba, tam i ja jestem, rzekł szybko błazen.

— No! dobrze, odpowiedział Ocieski — wyrwałem ci z ust nie bardzo pochlebne nam słowo, ale się musisz za to wypłacić — i powiedziec nam co wesołego, jaką bajeczkę na przykład.

— Dobrze! dobrze! tak! niech co powie za pokutę, rzekł Kmita, a za nim odezwał się biskup.

— Stańczyku powiesz nam jaką bajkę, byle nie z tych, które przystojność obrażają.

— Czyście Waszmość małe dzieci, bym wam jak baba nad kołyską płótł bajki? Ale — zapomniałem żeśmy wszyscy dzieci, tylko stare.

Nie było się z czego śmiać, a jednak się wszyscy chórem jakby dla ulżenia sercu rozśmieli, a Stańczyk ruszył ramionami i milczał.

— No mów, odezwał się Kmita, dam ci za to na dzban wina.

— Mów bajkę! powiedz co wesołego, zawołali wszyscy cisnąc się ku niemu.

\*) Forma zarzucona liczby podwójnej (*Numerus dualis*).

— Powoli, powoli, przerwał błazen — naprzód panie wojewoda daj co obiecałeś.

Kmita trzosił wysunął z pod sukni, dobył sztukę złota i rzucił ją dumnie, aby wszyscy zobaczyli co dawał, na kolana błazna, który ją schował szybko, kiwnął głową i zamilkł.

— A wasza bajka?

— Myślę właśnie o niej — odpowiedział Stańczyk, jak się dobrze namyślę, to wam ją powiem na przyszły rok.

— Bez żartów, prosim o bajkę; bajkę zawołali wszyscy gromadząc się coraz bardziej około niego i czekając opowiadania tem niecierpliwiej, że Stańczyk sławny był ze swoich powieści.

— Mów, mów, słuchamy.

— Ba! ba! tak to łatwo, rzekł powoli błazen, nie mam ja ani garbu w którym siedział dowcip Ezopa, ani jego głowy, ani ust jego, zkąd tak prędko uprząść wam nową bajkę z niczego?

— Cokolwiek! cokolwiek!

— No, dobrze, powiem wam o dwóch przyjaciółach i o oponczy.

— Słyszeliśmy ją wszyscy.

— O starej babie i o kocie burym!

— Mówiłeś ją sto razy.

— O przyjaciółach królewskich!

— Stara.

— O dziewczynie i wężu!

— Wiemy ją, wiemy — trochę nieprzystojna.

— O Aleksandrze Wielkim i jego błaznie?

— Odwieczna gawęda!

— O Marchołcie.



— Fe! fe! co nowego, co nowego.

— Cóż u licha znaleźć wam nowego rzekł Stańczyk. Chyba wam opowiem bajkę którą dziś słyszałem od jednej starej baby, opowiadającej swemu piastunkowi.

— A o czym? odezwał się Kmita.

— Bajka warta mędrca — Mości wojewodo, bajka o kurce i kogutku. — Rzekłbyś słysząc ją że się wyległa w mózgu Ezopa, tak mądra, a jednak słyszałem ją od starej baby.

— Mów ją, mów.

— Proszę tylko o cichość — żeby mi nie przerywano, rzekł Stańczyk — a W. Pasterska Mość niech pozwoli dać kubek wina, bo mi w gardle zaschnie nim ją dokończę, jeśli się czem odkrapiać nie będzie.

Podano wina, Stańczyk napił się, utarł głowę i wasy, odkaslnął, spojrział po wszystkich i zaczął z uśmiechem i pozorną niedbałością \*).

Bajka Stańczyka o kurce i kogutku.

Nie wiem gdzie i kiedy był sobie dawniej kogutek i kurka, oboje młodzi i piękni oboje; nie dziw też że się serdecznie kochali. A choć kogut tyle miał żon ile widział kur przed sobą, jednak na jakiś czas przywiązał się do tej tylko srokatej kurki. Piękna była kurka, ale jak nie jedna z kobiet, pokrywała ślicznymi połyskującymi piórkami brzydkie wewnątrz serce i duszę. Była ona tak żywa i płocha jakby dzisiejsza mieszcza, popędliwa jak wiele żon, głupia i szczebiotliwa jak

\*) Bajka ta przerobiona z osnowy dochowującej się do dziś dnia w ustach nianiek i dzieci, dziwaczością swego układu zdaje się poświadczać dawność swoją, może ona zająć, jeśli ją zechcemy uważać jako odłamek podań ludu.

wiele dziewczyn które kwoczkami nazywamy, a co najwięcej żarłoczna i łakoma jak nieboszczyk Gamrat. — Zapomniałem że o zmarłych źle się mówić nie godzi, aleć to nie straszny grzech być obżartuchem. Spytajcie pana Reja z Nagłowic, wiele się mieści w jego brzuchu, a jednak człek filozof. Kogut starając się aby go polubiła, nie odstępował jej na krok, i cały dzień musiał znosić dla niej co tylko mógł do jedzenia znaleźć gdzie i porwać smacznego. Głodniał i sechł biedny kogut z miłości i trudu, a kura tłuściła coraz okraglej, szczebiotła coraz głośniej. Jednego pięknego ranka, kiedy słońce świeciło a niebo było czyste jak mój kubek teraz, poprosiła kurka koguta, aby jej towarzyszył do lasu na orzechy.

— Oho! przerwał Kmita z miną oznajmującą coś ważnego — musisz Waszmość wiedzieć że kury orzechów nie jedzą.

— A wy, panie wojewodo, zapomnieliście że to bajka — rzekł Stańczyk. Poszli więc mówię do lasu na orzechy. Jak przyszli do lasu, kogut wlaź na leszczynę, zaczął trząść drzewem i wiele natrząsał pięknych i dojrzałych orzechów.

Głodny był i sam chciał się także pożywić przy tem zdarzeniu, ale jejmość pani kurka co tylko upadło, chwyciła prędko i łykała, łykała łakoma żeby się kogutowi nie zostało. A kogut trząsał ciągle sądząc że jak się naje, zostawi przecie na ziemi i dla niego kilka orzechów. Napróżno się nieborak mordował i potniał. Kura jadła i nic nie zostawiała. W tem orzech jeden większy gdy łykała trafiło się, że spieszenie chcąc go poزرzec....

— Jak to? z łupiną? odezwał się Kmita.



— Tak! z łupiną, odpowiedział powoli blazen, w bajkach panie wojewodo kurom wszystko wolno i poetom. Gdy łykała, mówiłem, orzech uwiązł jej w gardle wążuchnem, zakrztusiła się, udławiła i padła o ziemię trzepiocząc skrzydełkami. Kogut piorunem zleciał z drzewa i przypadł do niej. Leżała bez ducha, wyciągnięta miała śliczne żółte nóżki i zdychać się zdawała. Żal chwycił koguta za serce, chciał ratować ją, nie można było inaczej jak wodą. — Wody nie było w lasku ani kropli, trzeba iść było do morza. Poczeiwy kogut pobiegł do morza, biegł, biegł i przybył.

— Morze, morze, zawołał żałośliwym głosem przyszędłszy — daj wody!

— Komu wody? odezwało się morze zielone ogromnym głosem.

— Mojej kurce wody, kurka leży wedle drogi, ledwie technie.

— A w cóż ci dam wody?

— W co wody? odezwał się zafrasowany kogut, dąlipan anim o tem pomyślał biegnąc.

— Tak to wy zawsze młokosy robicie, odezwało się morze, sami nie wiedząc czego wam potrzeba. Idź, poproś wieprza niech ci kła pożycz, nabierzesz w kiel wody i zaniesiesz.

Kogut pobiegł znowu prędko. Przychodzi do wieprza. Wieprz wylegał się na barłogu do góry brzuchem, bo słońce świeciło mu i grzało, kogutek przybiegłszy ukłonił mu się po francusku i odezwał:

— Bądź Waszmość łaskaw pożycz mi kła na parę minut.

— Ja, kła? odezwał się wieprz ponuro mruczając — ja, kła? ja, kła? Cóż to znowu? za co, na co, po co

ja mam Waszmości kła pożyczać? oto także!

— Ach, zmiłuj się, przerwał kogutek kłaniając się jeszcze niżej, — tylko sobie w nim wody przyniosę.

— Komu wody? odezwał się wieprz.

— Kurce wody, rzekł z westchnieniem przychodzień, kura, żona moja najukochańsza, leży udławiona orzechem, ledwie technie.

— A na cóż się było dławić? odezwał się wieprz; idź no wprzód do dębu i przynieś mi żołędzi, bo ja darmo kła nie pożyczę.

— Ach! zmiłuj się.

— Nic darmo — odezwał się wieprz — nogi za pas, jeżeli chcesz mieć kiel, idź do dębu po żołędzie. Kogutek pobiegł prędko, prędko — przybiegł do dębu. Dąb szumiał sobie stojąc wśród lasu i nie widział nawet, patrząc się dumnie w niebo jak wojewoda, że jakieś małe stworzenie zbliżało się ku niemu.

Kogutek wskoczywszy na najbliższą gałąź, zaczął go prosić o żołędzie.

— Na co ci żołędzie? rzekł dąb.

— Oj! to bardzo długo gadać o tem, rzekł kogut, ale proszę o nie wiele, czy mi pożalujesz?

— Muszę naprzód wiedzieć na co ci ich potrzeba.

— Mnie spieszno, zawołał kogut, żona moja zdycha. Wieprz nie chce dać kła póki mu żołędzi nie przyniosę, a kiel potrzebny mi na wodę, którą chcę ją ocucić.

— Dam ci kilka żołędzi, odezwał się dąb, ale nic darmo — pójdz ztąd niedaleko do lipy i przynieś mi od niej łyk.

— A na co Waszmości łyka?

— A tobie co do tego, drobne stworzenie? ofuknął się dąb — tak chcę, i koniec!



Kogutek reszty nie słyszał, bo już był w drodze i zbliżał się do lipy.

Skoczył na gałęź i pokornie o łyka prosił.

Lipa była w złym humorze, wiatr jej w nocy ze złości gałęzie połamał, skrzywiwszy się więc odpowiedziała: — Na co ci łyka?

— Zmiłuj się nie pytaj o to, rzekł kogut, strasznie bym wiele rzeczy musiał ci tłumaczyć, a mnie tak pilno.

— Musisz wprzód odpowiedzieć, odpowiedziała lipa, i kogut znowu zaczął swoją powieść.

— Kiedy tak, odezwała się lipa, uważam że nikt ci darmo nie daje — idź-że waszeć do krowy po mleko dla mnie, jeżeli chcesz łyk dostać.

— Na cóż Jejmości mleko?

— A dąb na co łyk potrzebuje — zawołała lipa, nie darmo, nie darmo!

Znowu leciał kogutek, prędko, prędko przez łąkę, przez płot, aż do obory w której stała krowa — depcząc pod nogami słomę.

Kogut siadł na żłobie i zaczął się kłaniać nisko.

— Prosiłbym o odrobinę mleka, rzekł cicho.

— Na co tobie mleka, wszak ty go nie pijesz? zapytała krowa.

Kogut rad nie rad musiał znowu opowiadać z końca w koniec całą swoją historją, drżąc aby się z pomocą kurze nie spóźnił.

— Nie darmo! zawołała krowa — przynieś mi wprzód siana od kosarzy.

— Ach! na co ci to siano, zawołał kogutek, na co ci to siano — zaraz ci go pastuch przyniesie.

— Nie darmo, powtórzyła krowa, miałałbym być

głupszą od innych i nie korzystać z tego zdarzenia? przynieś siana.

— Zkąd jej wziąć tego siana? pomyślał kogut i pobiegł zmordowany na łąkę. Na łące stali kosarze i kosili siano; kogut zbliżył się do pierwszego, prosząc o odrobinę siana.

— Na co ci siana? odezwał się kosarz stary.

Kogutek trzepiąc skrzydełkami wymawiał się bardzo usilnie od opowiadania historii, bo widział, że co raz później się robi, że słońce połowę już drogi swojej ubiegło; ale nie było ratunku! Człowiek od innych stworzeń okrutniejszym był jeszcze i ze śmiechem szyderskim słuchał opowiadania koguta, a nareszcie się odezwał:

— Nie darmo, mój mały, idź do panny Małgorzaty, niech nam da sera, a my za to damy ci trochę siana.

Kogutek zaczął się kłaniać i prosić, żeby go już dalej nie posyłano, kosarze śmiać się zaczęli — kogutek pobiegł do panny. — Panna szyła w krosnach gdy przybiegł, a koło niej siedział jakiś wysoki drab, który się jej uśmiechał; przyszedłszy uklonił się i zaczął prosić o kawałek sera. Panna spojrzała na niego z politowaniem i uważając że był na pozór dość tłusty, prosiła go czy nie może pozwolić się zarznąć — on w płacz.

Tymczasem panna zapatrzwszy się na chłopca upuściła igielkę, którą szyła, na ziemię.

Chłopiec schylił się szukać, ale nie mógł znaleźć długo, bo schyliwszy się nie patrzył na igłę, ale na pannę Małgorzatę.

— Jeśli mi znajdziesz igielkę, rzekła panna do koguta, dam ci sera — ale na co ci ser?



Kogutek nie śmiał się nawet wymawiać i znowu zaczął płaczliwie całą powieść opowiadać, a panna z chłopcem słuchając śmieli się do rozpuku z jego miłości ku żonie i z jego frasunku.

Po długiej męce znalazł nareszcie kogut igłę i uradował jak gdyby go z rożna zdjęto. Panna dała kawaleczek sera, zaniósł ser kosarzon, dał mu siana. Siano zaniósł krowie, dała mu mleka, mleko zaniósł lipie, lipa dała łyka, łyko złożył u dębu dąb strząsnął kilka żołędzi, z żołędziami poszedł do wieprza po kiel. Leciał jak mógł nóżkami i skrzydłami, lecz już słońce zniżało się ku zachodowi. Wieprz kła pożyczyl, przyszedł do morza, morze dało wody, i kogut trzepiocząc się i podskakując z niespokojności, pobiegł do leszczyny.

Przyszedł z wodą — ale kurka już nie żyła. —

— Otóż i moja bajka skończona, rzekł Stańczyk, bajka dziecinna, ale w niej jak w każdej innej jest trochę ukrytej prawdy. Widziemy w niej najprzód kobietę, jak wiele innych roztrzępaną, głupią i łakomą. — Potem widzimy człowieka który się dla niej jak mnóstwo ludzi głodzi, poci i pracuje — dla jednej kobiety z pięknymi skrzydełkami i buzią, która nie ma innej zasługi tylko że piękna — widzimy tu prawdę, wielką prawdę przyznaną na całym świecie — że nic darmo — moi panowie.

Łzy ani uśmiechu, politowania ani jałmużny — nic darmo! wszystko człowiek robi dla siebie nie dla drugich, z dumy lub dla wewnętrzznego ukontentowania. Kochamy dla tego że kochanie nam jest miłe, płaczem nad drugimi żeby się pochwalić że mamy łzy, żeby sobie prawo do cudzych łez po nas zamówić.

Dajem jałmużnę ażeby nas błogosławiono, jesteśmy

cnotliwi, jeżeli niemi jesteśmy, dla tego iż nas za to chwałą lub poważają, lub że nam to wewnętrzną czyni przyjemność.

Dzielimy się swoją radością żeby ją pomnożyć, dzielimy się smutkiem żeby go zmniejszyć, płaczem po umarłych, bo nam byli potrzebni.

Chrześcjan nie będąc samolubem nie może płakać tych którzy nie żyją. — Umarły godzien łez jest w niebie — na co mu nieba żałować? jeśli jest w piekle wart-że płaczu i żalu?

Tak! tak! płaczem nawet zmarłych nie darmo. W każdym człowieka uczynku, jeśli mu się zbliśka przypatrzysz, spostrzeżesz tę prawdę, którą dla sławy naszego imienia zataić było trzeba — że nic darmo!

I ja bym wam bajki nie mówił, gdyby mi pan Kmita nie zapłacił, ks. biskup nie dał wieczerzy, gdyby to mnie, równo jak Waszmościom przyjemności nie czyniło. — Nic darmo. Widziemy także w tej bajce chód całej sprawiedliwości i litości ludzkiej — o obie tak się trzeba dobijać jak kogutek o wodę, a często po mozolnym trudzie cudza rada przyjdzie za późno, sprawiedliwość pod wzniesiony miecz kata, litość do grobu. Wierzcie Waszmość temu, kogo nie wiem za co, chyba za mówienie prawdy, którą wy taicie, błaznem nazywacie, wierzcie mi że nie ma się co chlubić, żeśmy się ludźmi urodzili, ma człek rozum wyższy nad zwierzęcą zmyślność, lecz wiele tym rozumem źle użytym robi głupstw, których zwierzęta nie robią.

*Memorandum* że to co się mówiło, mówiło się ogólnie, a nikogo z osobna dotykać nie powinno. Teraz widzę czas już iść do wieczerzy. — *Sperate miseri, cavete felices!*

— Smutną nam bajkę, a przykrzejszy jeszcze jej wy-



kład, powiedziałeś panie Ezopie, rzekł biskup. Gdyby to prawda była, gdzież byś znalazł cnotę, gdyby to była prawda, jakżebyśmy śmieli jeden drugiemu spojrzeć w oczy. Jesteśmy więc wszyscy hipokrytami, albo bezwstydnymi być musim, jeżeli uznamy że tak jest.

— W. Pasterska Mość jesteś wyjątkiem, odpowiedział Stańczyk.

Biskup kiwnął głową.

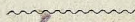
— Gdyby się o to kto inny zapytał, czy śmiałybyś Stańczyku odmówić komukolwiek tego wyjątku? Smutna bajka!

Stańczyk się uśmiechnął.

— Nie zawsze też, rzekł, śmiech na zawołanie przychodzi. Szczęśliwy kto jak ja ze wszystkiego się śmieje, wszystkim pogardza i niczego się nie boi!

— A śmierć, Stańczyku? zapytał Kmita z ciężkiem westchnieniem.

— I tego bać się nie warto, kiedy unikać nie można — rzekł błazen. Szczęśliwy niech się cieszy tem, że był szczęśliwym, nieszczęśliwy że się kończą jego nieszczęścia. Tymczasem — dodał, póki żyjem Mości panowie — trzeba jeść, idźmy do wieczerzy. Ze śmiechem potoczyli się wszyscy do stołu.



## XII.

### Trzecia bytność u króla.

Grzeszące strofuj przed wszystkimi, aby  
i drudzy bojaźń mieli.

*List Pawła Apostoła do Tymoteusza.*

Rozdz. V w. 20.

Powiedzieliśmy, iż oznajmiono było od króla, aby popierający sprawę studentów, ks. Czarnkowski i świadkowie stawili się do niego dla ostatecznego rozeznania sprawy. W dniu następującym po wieczerzy u ks. biskupa Samuela posłuchanie to odbyć się miało. Jakoż godziną przed południem zgromadzili się wszyscy na zamku, świadkowie, obżalowani i uwięzieni słudzy. Odczytano naprzód to co rozeznaney sprawy po pilnem jej roztrząśnieniu postanowili. Z tego pokazało się dowodnie, że zarzuty przeciwko samemu ks. Czarnkowskiemu płonne były. Nikt go bowiem nie widział, a godzina wyjścia jego od ks. Wojny późniejszą się pokazała od ukazania się postaci, za niego mianej, we drzwiach plebanii.

Miejsce i czas doskonale zgodzone zostały, powiada kronikarz, i posłużyły jedynie do wyjaśnienia niewin-



ności plebana. Lecz wszystkie te dowody nie przekonały jego przeciwników; bo cóż przekona tych, którzy uniesieni popędlivością raz wbiwszy sobie w głowę jak sądzić mają, nie słuchając przyczyn, przekonać się nie chcą, zatykają uszy na dowody, zamykają serce i duszę, byleby i na włos nie odstąpić od tego czego innym, prócz gniewu dowodem poprzeć nie mogą. Napróżno z pomiędzy nich samych starsi i rozważniejsi starali się reszcie okazać, jak dalece błądzili posądzając bezdowodnie tego, którego całe życie przeciwilo się zarzutom tak szkaradnym.

Widać było z twarzy i pierwszych słów króla, że mniemane jego przeciw plebanowi uprzedzenie ustało, a wykład sprawy wszystkich mu wprzód przeciwnych nawrócił. Starał się król powagą swoją nakłonić młodzieź, aby się dała przekonać, lecz mowa jego, głos biskupa i seniorów, którzy jak wiadomo szli jednak za ich stroną, żadnego nie zrobił wrażenia.

Upierali się zawsze przy pierwszym zdaniu swoim, nie dając nawet żadnych przezornych zasad swojej uprzedliwości. Ci, którzy od nich mówili, ośmielili się w obec króla obwiniać sędziów i biskupa, przypisując im zmowę z obwinionym i odgrażając się bezrozumnie, że jeśli ukaranym nie zostanie, wyjdą hurmem z Krakowa, opuszczą szkoły i gdzieindziej nauk, ojczyzny i sprawiedliwości szukać będą. Ani król jednak, ani nikt z przytomnych wierzyć nie chcieli, aby to ich postanowienie do skutku przyprowadzone być miało, sądząc, że nie tak łatwo im będzie ubogim i do miejsca przywykłym tak olbrzymiego zamiaru wykonać.

Widząc ku czemu się sprawa miała, niewierni świadkowie plebana lepiej już na jego stronę mówili.

Odzywał się król sam mieszając groźby i przyrzeczenie ukarania tych, którzy się winnymi okazali. Wszystko jednak napróżno — upor studentów na pochwałę za służyć nie mogąc, mocno jednak wszystkich zadziwił.

Jeszcze raz król głos zabrał:

— Pokazałem wam, rzekł, całą powolność moją, i chęć zaspokojenia żądań waszych. — Lecz zdaje się, że zły duch jakiś podusza was, abyście ani niczych innych, ani moich uwag słuchać nie chcieli. Młodości tylko waszej i niedoświadczeniu przypisać musim upór w błędzie, i darować to, coście urażliwego księdzu biskupowi powiedzieli. Ubogi i bogaty, znaczący i nikczemny równe u mnie mają prawo do sprawiedliwości. Uniewinnienie swoje nie znaczeniu i przyjaźni, lecz niewinności winien ks. Jędrzej. Dajcie się Waszmość raz przecie przekonać, będzie to z chlubą waszą, że się w zapalczywości upamiętać umiecie. Co się tycze sług, ci wedle prawa jako przekonani zabójcy przykładowie ukarani zostaną.

Ledwie tych słów król dokończył i powstał chcąc odchodzić, gdy się studenci z jednej strony sali, na której zgromadzeni byli, hurmem cisnąć ku niemu zaczęli.

— Jeszcze słów kilka chciej posłuchać Najjaśniejszy Panie, chciej baczyć na to, że bez powodu nie stali-byśmy uprzedliwie przy obwinieniu ks. Czarnkowskiego. Mniej to będzie kosztowna sprawiedliwość, jeśli dwóch nieznanych służalców zamożnego prałata pokutować będzie; lecz jeśli on sam ukaranym nie zostanie, my wyjdziem Najjaśn. Panie, tak, wyjdziem; prosim cię, błagamy na kolanach, chciej wejrzeć na lzy nasze i niewinną krew pobitych, sroższa będzie kara i więcej



dotknie osób, jeśli ją Bogu zostawisz Najjaśn. Panie!

— Ależ bo Waszmość dziwnych rzeczy chcecie? odezwał się król z wyraźnem nieukontentowaniem. Byłażby to słuszna abym niewinnego ukarał dla tego, iżby Waszmościom dogodzić?

Kończąc te słowa odwrócił się i chciał wychodzić, a wtem cała sala zabrzmiała jednym głosem studentów:

— Pójdziem w świat! pójdziem w świat!

Król zawrócił się raz jeszcze, na twarzy jego znać było gniew i niecierpliwość.

— Nie macie mnie już za króla, zawołał, że się w mojej przytomności takich krzyków zuchwałych dopuszczacie? Wasze groźby co znaczą dla mnie, kiedy mnie nie zmięczyły błagania? Możecie uniesieni gniewem myśleć o wyjściu, lecz nie ośmielcie się tego przeciw wyraźnej woli mojej dopełnić; a gdybyście nawet i wyszli, nie wielką bym stratę poniósł pozbywając się tak zuchwałych i nieposłusznych poddanych.

Znowu król odchodził, a na sali między studentami szmer już tylko głuchy dawał się słyszeć, śmielsi jeszcze odzywali się po kątach ponuro. — Pójdziem w świat!

Już po oddaleniu się króla zabrał głos biskup Samuel, lecz jego słuchać nie chciano. Wśród szmeru, który słowa jego głuszył, ciżba studentów powoli z sali wypłynęła.

Po tem posłuchaniu wracając do domu biskup i ks. Czarukowski spotykali wszędzie na drodze tłumy, które na nich głośno wyrzekały. Króla nawet w tych okrzykach ulicznych nie oszczędzano. Lud i mieszczenie, przyjaźni studentom a zawsze wierząc ich słowu, dopoma-

gali im do tego. Przez cały dzień słyszać tylko było wszędzie narzekania i żale. Jedni ze studentów szli tłumnie modlić się i krzyczeć na grobie pobitych braci. Inni zachęcając wszystkich do wychodzenia z miasta, sami się do tego czynnie wybierali. Gdzie kto miał znajomych lub łaskawych szli żegnać przygotowując do drogi mały zapas wyżebranych żywności i rzeczy. Tam i ówdzie widać było przemerkających się z garnkami, torbami, z miną niespokojną, zapalonem okiem, stukających do drzwi domu, żegnających się wśród miasta, lub śpiewających po ulicach smutne pieśni. Towarzyszyli im znajomi mieszczenie, których terażniejsze ich położenie mocniej jeszcze do nich przywiązywało. Widząc ich płaczących i skarżących się, chętnie wierzyli w ich niedolę i ucisk, chętnie z nimi razem przeklinali sędziów i obwinionego.

Któżby albowiem łzom i żalom nie wierzył? choćby nie trafiły do rozumu, trafią do serca — osobiście dziecinne, żale i łzy stworzeń słabych i bezbronnych, a przez to samo godnych politowania; żale wyrażające się z tym ogniem, z tą mocą i przekonaniem, z tą żywością właściwą żalom dziecinny i kobiecym. Wszystko oznaczało że odgrazanie się wistocie mogło przyjść do skutku, lecz przykazano srogo seniorom i profesorom, ażeby, jeżeli dostrzegą w studentach chęć wyjścia, dołożyli ze swojej strony jak najusilniejszych starań aby ich odwieść od tego. Jakoż cała reszta dnia upłynęła na napominaniu ze strony seniorów a wrzasku i narzekaniu ze strony studentów. Około godziny niespornej ruch na ulicach miasta bardziej się jeszcze pomnożył, place, kościoły i ulice pełne były młodzieży żegnającej po raz ostatni znajome i ukochane miejsca. Cały Kra-



ków tem się tylko zaprzętał; widział to zarówno ks. Czarukowski z okien plebanii i biskup Samuel z mieszkania swego na rogu Kanonicznej ulicy, naprzeciw którego najwięcej się studentów zbierało do domku gdzie Lew na dole mieszkał. Przekonawszy się tak z tego co widział, jak z tego co mu donoszono, biskup o wyborach do wychodzenia studentów, pośpieszył z wiadomością do króla.

Zygmunt August znajdował się razem z Barbarą u królowej Bony. Było to jedne z pierwszych odwiedzin młodej królowej, które August starał się przyprowadzić do pojednania matkę swoją z żoną. Lecz usiłowania te jak wiemy na próżno były — nie mógł znieść dumny Bony charakter, aby jedna poddanka śmiała stanąć między nią a synem, i wpływem swoim odebrać jej dawne pierwszeństwo i znaczenie.

Lękała się tego Bona, jak dziecko, które broni za zbliżeniem się obcego swoich zabawek, chociaż mu ich odbierać nie myślą. Łagodność Barbary, jej skromność, powolność, powinny były upewnić ją że się nie miała czego lękać. Biała, złotowłosa, niebiesko-oka Basia myślała tylko o sercu męża, o nowem swoim szczęściu, które ją z uścisków starego Gasztolda oddało młodemu ubóstwiającemu ją królowi, myślała o wszystkim prócz władzy — nie miała dumy — miłość była jej życiem, była jeszcze młoda; lecz Bona z siebie o niej sądziła i lękała się.

Gdyby nawet miała władzę jaką, Barbara oddałaby ją chętnie całą, byle nią tylko okupić spokojność i ukończyć spory nieznośne z królową matką.

Gdy biskup wszedł, siedziała Bona w oknie, nie patrząc na syna i Barbarę, podparta na rękę, z brwią

zmarszczoną i przymrużonemi oczyma. Za nią stały kilka pań jej dworskich i ochmistrz jej dworu — ten między młotem i kowadłem, nie śmiał nic począć aby Bony nie rozgniewać, i lękał się znowu, aby mu jego milczenia król gniewny nie miał za złe.

Przy powitaniu widać było, jak niechętnem okiem poglądała Bona na biskupa Samuela, a gdy ten opowiadać królowi zaczął za czem przyszedł, słuchała go skrzywiona pogardliwie.

— W. K. Mość, synu mój — odezwiała się gdy biskup skończył, powinienbyś wziąć przecie na uwagę, że oni słusność mieć mogą.

Zygmunt August nieukontentowany już na matkę, z przyczyny zimnego jej obejścia się z Barbarą, powstał z siedzenia i rzekł:

— Wiem ja prócz tego co mam począć.

— Lecz — przerwała mu Bona, może ci fałszywie donoszą? Ten ksiądz mając przyjaciół w sędziach, łatwo ci się przez ich usta mógł czystym pokazać.

Widocznem było, że te kilka słów wyrzeczone tonem szyderskim, miały na celu upokorzenie biskupa. Uczuł to Maciejowski, nie nie odpowiedział, zimno i poważnie odwrócił się do króla i zapytał go o rozkazy.

— Idźcie i bądźcie spokojni, odpowiedział August, przykazaliśmy już mieć ich na oku, a wam tyle ufamy, że słuchać nawet nie chcemy, gdy wam kto zarzucać co ośmieli się.

Te słowa były choć nie prostą, lecz wyraźną odpowiedzią Bonie na jej pierwszą uwagę. Ona obróciła się znów do okna, potrząsając głową a król mówił dalej do biskupa:

— Widzieliście iżem się szczerze starał pogodzić to



wszystko, przykażcie tylko jeszcze aby seniorowie stali się szczerze upór ich pokonywać. — Wiem ja, że z tych wszystkich zapędów pewnie nic nie będzie.

— Jednakże, przerwał biskup — ja bym sądził, patrząc na ten ruch i krzątanie się ich, że jeśli się temu nie zapobieży gotowi swego dokonać.

— Próżne wasze strachy — rzekł król, młodzież łatwo się zapala jak słomiana strzecha, ale też prędko i gaśnie — upamiętają się oni i do nauk powrócą spokojni.

— Daj Boże — rzekł Maciejowski, pożądanym by to był pokój, bo by i ze mnie niesłuszne podejrzenia zrzucił. Jeśli by co nowego zaszło, dodał żegnając króla, z oznajmieniem przyśle.

Nie spodziewam się, aby tego było potrzeba, rzekł król żegnając biskupa, a potem dodał: przywileje do waszej pieczęci chcecie wygotować na jutro.

Bona kwaśno i niechętnie skinęła głową biskupowi, a Barbara ze zwykłą łagodnością rękę ku niemu wyciągnęła, król poważnie i przyjaźnie odprowadził go oczyma aż do drzwi.

### XIII.

#### Kościół św. Franciszka.

Zwołują studentów do kościoła  
S. Franciszka.

Orzechowski.

Z rana dnia następnego rozeszła się wieść po Krakowie, iż studenci zebrawszy już co kto mógł, natychmiast wyruszyć myślą. Jakoż okazywał się jawnie ten nie tajony ich zamiar, bo ulice pełne ich były wszędzie z garnkami, torbami, z kijmi wyłamanymi na drogę, z żalem w sercu, z narzekaniem na ustach żegnali znajomych i zebrali jałmużny tem usilniej, że jej na długą i niepewną podróż wielce potrzebowali.

W kościołach, w domach pełno ich było, a na ulicy Kanonicznej i przy bursie WW. Świętych zbierały się tłumy, aby razem ztamtąd wyruszyć. Widząc te niechybne przygotowania do drogi, ks. Samuel nie posyłał nikogo, lecz sam poszedł znowu do króla z oznajmieniem.

Jak skoro wszedł do osobnej komnaty a nim usta otworzył, już się król żywo odezwał:

— Wiem, księże biskupie co mi masz powiedzieć — studenci wychodzą.



— Przynajmniej skutecznie biorą się do drogi.

— Uparta młodzież! zawołał król. — Rady z niemi dać sobie trudno; gdybyć so starsi zrobili, znalazłbym na to inny sposób, lecz z młodemi nadewszystko powoli trzeba i łagodnie.

— Cóż kiedy powolność i łagodność nie nie nada?

— Ufam że się to jeszcze wszystko zgodzi.

W tej chwili posłałem po pana Tarnowskiego, a że tu niedaleko szczęściem bawi na wsi, prędko przybędzie. Jego i wasza księże biskupie wymowa ułgodzi wrzące umysły.

— Sobie nie śmiem pochlebiać Najjaśniejszy Panie — straciłem bowiem, jeżeli jaką miałem władzę nad ich umysłem, przez to, że mnie o znowę z obwinionym księdzem Czarnkowskim posadzają, kasztelan prędzej eo wymoże.

— Zapewne, odpowiedział król, lecz wy, jako szkół obrońca i protektor, potrzebni tu jesteście koniecznie. Tymczasem nim ujrzym pana Tarnowskiego, posłać kogoś trzeba odemnie, aby się zebrali do kościoła św. Franciszka, niepodobna albowiem dla natłoku pospółstwa mieć z niemi rzecz na ulicy.

— Ja pójść mogę Najjaśn. Panie?

— Nie, nie! odpowiedział król, ani wiek, ani godność wasza nie pozwalają, abyście i tak już tą sprawą utrudzeni, mieli sobie dla nierozumnych młokosów tyle zadawać mozołu. Jest tu pan Lasota podobno, niechaj idzie ku nim.

Potem obróciwszy się do służbowego pokojowca, który stał u drzwi, rzekł:

— Panie Kostka, idź powiedz odemnie Lasocie, aby poszedł niemieszkając ku studentom i rozkazał im

odemnie wszystkim zgromadzić się do kościoła św. Franciszka. Niech tam czekają na przybycie biskupa i tego kogo im tam przyszlę od siebie.

Pokojowiec wyszedł.

— Ja, rzekł król, gotowem sam udać się do nich.

— To być nie może Najjaśn. Panie, przerwał biskup, nadełaby się w pychę młodzież, widząc że ku nim sam wychodzisz Najjaśn. Panie. Śmiało by naówczas najdzikszych rzeczy domagać się mogli. Nie trzeba im obliczności twej Najjaśn. Panie pokazywać i powiedzieć, żeś najmocniej rozgniewany za ich zuchwalstwo.

— Zdaję się na waszą radę, księże biskupie, lecz pozwólcie mi przynajmniej, abym ukryty na chórze mógł być świadkiem wszystkiego.

— To od woli Waszej Król. Mości zależeć będzie, rzekł biskup — byle tylko pan Tarnowski niebawem przybył.

— Za chwilę go tu zobaczymy, odpowiedział August, wiecie że wieś jego ledwie o pół mili stąd oddalona a odmówić swego przybycia nie zechce. Jużby nawet być powinien, lub za lada chwilę.

Potem król przechodził się po komnacie i coraz wysyłał pokojowców dowiadywać się o przybycie kasztelana.

Po półgodzinnem oczekiwaniu wszedł do komnaty Tarnowski i natychmiast uwiadomiony o wszystkim od króla, razem z biskupem udał się do kościoła. Król tymczasem w krytej lektyce uboczną drogą nieść się kazał do tegoż miejsca, a przybywszy witany pokornie od księży usiadł w chórze poza wielkim ołtarzem, z kądem za kratą nie poznany mógł wszystko widzieć i słyszeć co się dziać miało.



Kościół pelen był studentów i ciekawych, którzy mimo ciżby jeszcze się do drzwi kościelnych cisnęli. Stali na przodzie seniorowie, a w tyle po kaplicach, ławach kościelnych, w najmniejszych zakątkach pełno było studentów.

Przybywszy biskup wszedł do stalii po prawej ręce ołtarza, a ksiądz Przerębski, ubrany w komżę i stulę, wyszedł z dwoma chłopcami zakrystyjnymi ku wielkiemu ołtarzowi, i tam odkrywszy puszkę z św. sakramentem zaintonował *Veni Creator*, na którego dawniej tak huczna ciżba studentów, dziś odpowiadać nie chciała i stała w ponurem milczeniu.

Po ukończeniu tego pierwszego obrzędu ukazał się na ambonie Jan Tarnowski, poważny starzec, wymowny, łagodny, wzięty u wszystkich — i natychmiast do studentów rzecz zaczął.

Mowa Tarnowskiego, ugruntowana na znajomości ludzi, przynajmniej na głównych jej rysach, zrećźnie raz pochlebiając młodzieży, to znowu ją gromiąca, słuchana była nadspodziewanie cierpliwie, i zdawało się, mówi kronikarz, że ich powoli zmiękczać zaczęła. W niej namawiał ich kasztelan aby uporu poprzestali, i upominał aby się takich rzeczy dopuszczać nie śmieli, którymby wspaniałość królewska obrazić się mogła. Okazywał im, że zabójstwo płazem puszczane być nie może, że winni siedzą i przykładnie ukarani zostaną, że na wszystko trzeba czasu i rozważa, a w takiej rzeczy inaczej jak wedle prawa postąpić sobie nie można.

Tymczasem zaś, powiadał, uspokoić się potrzeba pomnieć po do tu do Krakowa przybyli, lub przysłani od krewnych i powinowatych zostali — to jest dla

nauk — a czasu marno na rozterkach nie trawić. Tak zrećźnie wywyższając ich w umyśle własnym, i natychmiast władzy, którą nad niemi sobie jednał, na łagodzenie ich zażywając, zdawał się już nakłaniać do spokojności Tarnowski, i jeszcze raz kończąc przypominaniem kary zabójców, zszedł z ambony, a ciżba w ciichości stała i niepewna wahająca się umilkła.

Lecz zaledwie zszedł Tarnowski, biskup Samuel wstąpił na kazalnicę i szmer głośniejszy po kątach kościoła dał się słyszeć natychmiast. Czekali jednak cierpliwie póki mówić nie zacznie.

Przywykły do oratorskiego sposobu mówienia, którego wyszał od nauczyciela retoryki padewskiego Romulussa Amuzeusa, biskup gorliwy czciciel mów Cicerona i figur krasomowskich, przemówił do studentów zupełnie nie w ten sposób, jak do nich mówić należało. Bo z początku samego mowy, chcąc ich poruszyć i ucha nakłonić ku sobie, opisywać zaczął zabójstwo, przypomniał im krew pobitych niewinnie, uniósł się zapałem i tak dalece ten obraz silnie i dotkliwie odmalował, że młodzież uderzona nim, przypomniawszy sobie całą okropność występku, zażalona, poruszona, końca nawet pięknej mowy dosłuchać nie mogła. Szmer coraz stawał się głośniejszy, a nakoniec gdy ich żal za serce ścisnął, nie zważając na świętość miejsca, jednym głosem po szkolnemu wykrzyknęli:

— Do domu! do domu!

Ten odgłos właśnie zniszczył nagle to, co była mowa łagodna Tarnowskiego zrobiła, i niesłuchając już całe reszty, sypać się hurmem z kościoła poczęli, powtarzając jedni — do domu! drudzy — w świat!

Widząc biskup że już ciżba odpływa, i że w hałasie



powszechnym nie da się im zrozumieć, rzucił ostatni raz okiem na uciekającą młodzież, i przykleknawszy przed wielkim ołtarzem zszedł z ambony.

Król tymczasem za krata świadkiem będąc wszystkiego, z natury żywy, niecierpliwił się widząc jak prędko zniszczonem zostało wrażenie mowy Tarnowskiego, i w zapale swoim już by był pewno sam wyszedł ku młodzieży, gdyby nagle ustępować hurmem z kościoła nie zaczęła, tak że wkrótce biskup tylko i kasztelan w nim pozostali.

Ci udali się do króla, który niechęć nie biskupowi powiedzieć, miał jednak minę niechętną i zamysloną; nie słuchając prośb księży i przełożonego, który gnąc się do samej ziemi i syjąc łaciną, do refektarza na posiłek go klasztoru zapraszał, powrócił do zamku.

Studenci tymczasem rozsypawszy się po mieście, widząc że za późno było i chcąc kilka godzin jeszcze w miłym pozostać Krakowie, odejście na dzień następny odłożyli. Pozostająca reszta dnia użyta jeszcze była od seniorów z rozkazu króla do wstrzymywania ich w mieście, chociaż sądząc ze złego skutku pierwszych usiłowań, mało się i po tych spodziewać było można.

Widać było tego dnia tłumy gromadzące się około mowców, zabierających głos wśród ulicy i uciekające przed ukończeniem pierzchliwie ze swoim krzykiem: w świat!

Pożegnania tylko, krzyki i narzekania słyhać i widać było wszędzie, cały Kraków ciekawy końca, gromadził się około studentów i do późnej nocy napelniał ulice.

#### XIV.

#### W y j ś c i e.

Komu w drogę, temu czas.

Bardzo tedy rano, jak jeno świt, wstawają, wspólnie się z sobą umawiają i w drogę gotują, mówi kronikarz.

Pospólstwo i mieszczenie dla przypatrzenia się temu osobliwemu widokowi obudzili się równo z nimi, chcąc ich pożegnać także, opatrzyć i wyprowadzić oczyma, póki oko zajrzeć może.

Nastąpiły z obu stron ostatnie odwiedziny mieszczan przyjaźnych, pokrewnych, znajomych, do których gdy każdy z płaczem przychodził witał i żegnał; — pytano ich gdzieby szli, a nikt odpowiedzieć inaczej nie umiał tylko — pójdziem w świat, pójdziem gdzie nas oczy poprowadzą. Żal było patrzeć na nich i widząc połowę między niemi dzieci słabych, małych, wynędzniałych, puszcających się tak na ręce losu, usiłował każdy przynajmniej kilku, bo wszystkich było niepodobna — namówić do pozostania w Krakowie. Ale naprożno — gdyż wspólną naradą i postanowieniem tak sobie myśli



te wbili, a żal przytomnych tyle im dodawał dumy, że niechcąc utracić nagle prawa do litości i zajęcia powszechnego, odpowiadali na namowy i przekonywania:

— Pójdziem w świat! pójdziem w świat!

Starano im się pokazać nędzę która ich czekała, powiadano im, że bez grosza, ubodzy i znużeni, może na drodze kawałka chleba nie dostaną. — Oni smutnie kiwając głową odpowiadali: — Znajdą się litościwi. — Bóg nas nie opuści!

Po długim wybieraniu, gdy nałogiem i przywiązaniem do osób i miejsc ciągnięni, po kilkakroć je żegnając, oddzielić się i oderwać od nich na zawsze nie mogli, dali nareszcie starsi z nich znak wyruszenia i cała gromada posunęła się ulicami Krakowa ku Kleparzowi, nucąc pieśń uroczystą:

— Idźcie na cały świat!

Pieśń ta bez wątpienia w XVI. wieku znajomą być musiała, bo Orzechowski pisząc o niej, cytuję ją jako znajomą; lecz nam z żalem wyznać należy, że mimo szczerzego starania, tego ciekawego zabytku nigdzieśmy między zapyłonemi szpargałami przeszłych wieków znaleźć nie mogli i za złe mamy naszemu kronikarzowi, że jej całej nie wypisał. Nie jeden z dzisiejszych czytelników, razem z nami, byłby zdania, że lepiej było umieścić w kronice tę piosenkę, niżeli dwie lub trzy długie mowy panów kasztelanów i wojewodów, którzy rozprawiali poważnie o pomyślności krajowej i formie rządu z ksiąg Cycerona i Rzeczypospolitej Platonowej, a sami stawali zawsze na przeszkodzie najlepszym zamysłom monarchów.

Dźwięki tej pieśni i gwar tłumu budziły tych którzy spali, a do okien i drzwi wzywały pobudzonych już,

każdy cisnął się ich zobaczyć, rzucano im po drodze pieniądze, chleb i żywność, żegnano znajomych, a panie mieszczki z bram domów kiwając smutnie głową, poglądały za niemi długo, ocierając oczy fartuchem.

— „Pełne było miasto narzekania i płaczu, powiada nasz kronikarz, uczciwi nawet mieszczanie, białogłowy i ludzie przystojni po przyjaźni i zachowaniu uboższym na drogę dawali, których z tłómczkami, torbami i owemi garczkami, z którymi pożywienia żebrali, pełno idących po drogach, napatrzeć się było (można).“

„Dawniejsi się zbywają, mówi tenże dalej, że nie żałośniejszego za ludzkiej pamięci nie trafiło się w Polsce. Uciehły szkoły, w żalu zostały kollegia, umilkły kościoły i świątnice i wszystkie miasta strony trapiły się na ich odejście. I jeden bowiem może z tego mnóstwa nie pozostał, coby albo w kościele kapłanowi do mszy posłużył, albo w akademii i szkołach pod nauczycielem czego słuchał.“

Trzeba przyznać, że w istocie pusto się musiało wydać miastu, kiedy tego ranka nie ujrzało po ulicach swoich snującego się gwarnie wesoło tłumu młodzieży. W owym wieku, który się mógł jeszcze szczątkiem dawnej pochlubić prostoty, żal być musiał każdemu jak własnych, tych dzieci puszczonej po świecie bez obrony i pomocy, żal być musiał profesorom kiedy ujrzeni puste ławy przed sobą, im co tak nałogowie przywiązują się do uczniów — żal być musiał księdzu kiedy wyszedł ze mszą do ludu i stary dziad posługiwał mu do niej kulejąc zamiast dwóch rzeskich chłopaków i liczego tłumu, którego dawniej za nim spiewał. Przeniósłszy się na miejsce i położenie tych osób, nie będziem się dziwować, że kronikarz tak żałośliwie nad



tym dniem ubolewa.

Z Krakowa wyszli wszyscy ze świtem i udali się na Kleparz. Tu zastanowił ich kościół św. Florjana otwarty jak zawsze dla mszy ranną porą bywa; a gdy kilku z nich wszedłszy do niego ujrzeli księdza przed ołtarz na primarję wychodzącego, zaproponowali reszcie swoich aby się w drogę Bogu uroczyscie polecieć — i wszyscy wspali się do kościoła.

Gorliwe tam modły być musiały, bo nigdy się szczerzej nie modlim do nieba, jak kiedy prosim go o co; nawet w dziękczynieniach mniej jest zapалу i szczerości. Z wielką tedy gorącością wysłuchawszy mszy świętej, prześpiewali znajomą pieśń:

Duch święty napęłnił okrag ziemi, — od której cały się kościół rozlegał. Potem jakby jedną myślą poruszeni, ze łzami, których sami nie wiedzieli przyczyny, padli wszyscy krzyżem na ziemię i wykrzyknęli razem:

Skrusz panie potęgę nieprzyjaciół kościoła twego.

Chwilę tam jeszcze pobywszy, a widząc że się czerwone i mgliste jesienne słońce ku górze podnosi, wyszli płacząc tem boleśniej, że już znajomych stracili z oczu, że nikt z niemi łąz nie dzielił i postrzegli pierwszy raz że są sami, sami jedni, na świecie!

A przed sobą widzieli pola i góry puste i ludzi, którzy przechodzili mimo nie troszcząc się o nich, widzieli zwierzęta i ptaki przelatujące koło nich, niepatrząc nawet na nich, na nich co tak usilnie zebrali liłości u każdego stworzenia.

Potem spojrzeli na wieże Krakowa, dachy jego domów, krzyże jego kościołów i wspomnieli wzdychając, że kiedyś spoczywali pod temi dachami, modlili się w tych kościołach, nie przewidując przyszłego swego losu.

Stały patrząc na miasto biedne dzieci, a każdy z osobna byłby wszystko oddał, gdyby mógł z niebezpiecznej rozpoczętej pielgrzymki wrócić do dawnej nędzy i życia, do spokojnych sal szkolnych, do kościołów gdzie śpiewali, lub spór wiedli o służbę do mszy. O! jak chcieli wracać a jednak nie mogli, bo każdy myślał o powrocie i każdy ciągnął swego towarzysza dalej a dalej do podróży. Pierwszy krok był zrobiony, wstyd powracać było.

Więc jedni dla dodania sobie serca zaczęli nucić wesołe pieśni studenckie — one im dawny pokój i życie przypominały, inni opowiadali baśnie, z którymi razem szło wspomnienie że się ich w Krakowie nauczyli. — W tej chwili jedyną ich myślą był ten Kraków — a jednak szli, szli coraz dalej niewiedząc gdzie idą, szli oglądając się za siebie i lękając się coraz, aby gdy się obejrzą, nie przestali widzieć już tych wież, tych dachów, aby im mgła nie zasłoniła, góry nie porwały z oczu Krakowa. Potem pomyślał każdy, kto miał jaki kąt i krewnych, aby pójść do nich i zaczęli się tłumami umawiać, gdzie iść w którą stronę mają. — Nie rozdzielali się jednak w pierwszej chwili żalu, gdyby jedni drugich jeszcze utracili, jakżeby to znieść mogli? Szli więc razem. Szli coraz dalej przez góry, przez lasy gdzie ich niesły oczy, szli w świat, prawdziwie w świat, bo nie wiedzieli dokąd szli i na jak długo.

Wiele lat minie, nim drugi raz świat ujrzy wędrownkę podobną, wędrownkę zapłakanych dzieci, bez żywności i grosza, bez celu, w której nikt nie pyta o drogę, o miejsce, idą i idą. Tak przynajmniej szły dzieci dzień pierwszy i drugi.

Niewiele uszli do południa, a już nogi nie przywy-



kłe do dłuższej wędrówki, jak z ulicy na ulicę, ustały, już słabsi i mniejsi niemogąc zdążyć, płacząc w tyle zostawać się poczynali.

Wszyscy na pierwszy odpoczynek po wyjściu zatrzymać się musieli. Tu co kto miał wydobył zapasów, i usiadłszy na ziemi rozprawując o swym losie, dzielić się i częstować nawzajem poczel. Nie patrzali na dalej, przywykli do nędzy, póki w swych torbach widzieli chleba kawałek, marzyli że im niczego nie zabraknie.

Kiedy ustało dokuczające znużenie i głód, każdy nie mówiąc obejrzał się w około, po okolicznych pagórkach i zaroślach, po wydmach piasku, po rozcho-dzących się w około drogach i westchnął niewidząc celu podróży, u której był samego początku.

W dalszej drodze ku wieczorowi spotykali wieśniaków wracających z Krakowa. Niektórzy z nich słabszych zgodzili się podwieść trochę, inni ubolewając nad niemi przejeżdżali mimo. Każdy patrząc na nich, przypomniał sobie, że oni wracali do domu, do swoich, a ów musiał iść, jeszcze iść i często niemając kąta, rodziny, szukać jej musiał. — Szczęśliwym nazywali tego, kto się spodziewał że go ktoś gdzieś przyjmie, przywita i utuli.

Wieczorem stanęli około wioski małej i rozłożyli się noclegować w stodolach wieśniaczych i żydowskiej gospodzie. — We śnie zdawało im się nawet że nogi utrudzone ruchem dnia całego, szły i poruszały się jeszcze.

Nad rankiem pobudziwszy się ze snu, posiłkiem pokrzepieni, wyruszyli znowu dalej.

Dzień był piękny, słońce z za mgły świeciło, szli

jedni mówiąc modlitwy poranne, inni pieśni nabożne śpiewając, inni rozprawiając o swoich nadziejach, inni nareszcie z niedbałością wiekowi swemu właściwą śmiejąc się i żartując.

Napróżno niektórzy jeszcze zawracali głowy, aby Kraków zobaczyć, dawno już widać nie było ani jego wież i bram czarnych, ani krzyżów kościelnych, ani dachów gościnnych pod którymi spoczywali, oczy ich nawet, obiegając w około górami obmurowany widnokrąg, nie wiedziały w której stronie szukać myślami ulubionego miasta.

Tak szli, gdy przed południem tumany kurzu ukazały się szybko za niemi posuwające na drodze. Zdawało się nawet, że wśród nich powiewały czasem białe chustki i wiatr donosił do ucha wędrowców jakieś krzyki. Droga rozdzielała się na trzy strony, patrzali, nie pojechali ani w prawo, ani w lewo, lecz ciągle ku nim, coraz bliżej i machali na nich białymi chustkami i krzyczeli.

Ten i ów obejrzał się, zaczęto szeptać, zastanawiać się, domyslać, niektórzy nawet zatrzymali się.



XV.

Spotkanie.

Gdy się ku nim coraz tuman drogą przybliżał, ujrzeli wkrótce wśród pyłu postacie kolas, wozów i jeźdźców, którzy obok nich pędzili. Rozeznali nakoniec z nie-małym podziwieniem na niektórych ubiór i barwę straży królewskiej i miejskiej, tych jednak, którzy w kolasach siedzieli, nie widzieli jeszcze.

Za kilka chwil kalwakata dognała ich i stanawszy w pośrodku zatrzymała się nagle, a z jednej kolasy zawołał głos silny: Stójcie!

Naówczas postrzegli dopiero ubiory księże wyglądające z powozów i kilka czapek bogatych z piórami. Stanęli wszyscy otaczając przybyłych i cisnąc się jedni po przed drugich ciekawie, aby ich zobaczyć. Bliżej stojący poznali w pierwszej kolasie księdza Przerębskiego, a w dalszych kilka osób królewskiego dworu, na koniach siedzieli dworzanie i draby ze straży przy-bocznej króla.

Strach przejął bezbronnych na widok błyszczącego oręża wasaczów, którzy wśród nich jak z nieba spadli,

spojrzeli po sobie, nie wiedzieli co począć i stali. Wnet w kolasach i wozach zaczęły się ruszać rozmaite osoby, a po chwili rozmowy między sobą powstał wyżej nad innych ks. Przerębski i machnąwszy ręką, zawołał:

— Słuchajcie! Potem obejrzał się i głośno krzycząc zaczął mówić następnie:

— Mości panowie! Znajduję Waszmościów nie tam wcale, gdziebyście posłuszeństwem i wolą rodziców być powinni. O kilka mil od Krakowa? ci, którzy go ani na chwilę nie powinni byli opuszczać? ci, którzy drogiego czasu, niezwróconego czasu młodości, nie na wędrówki krnąbrne, lecz na naukę używać by powinni? Dziwi to nie pomału mnie i wszystkich, a są tacy co płaczą nad waszem zaślepieniem, że się bezrozumnie puszczacie sami niewiedząc dokąd. Król i pan nasz wielce za ten zuchwały postępек rozgniewany, daje jeszcze Waszmościom chwilę namysłu i przebaczenie obiecuje, jeżeli powrócicie.

— Nie chcemy! nie chcemy! krzyknęli wszyscy.

— Jedź sobie do króla, dodał jeden z bliżej stojących, i powiedz mu od nas, że kiedy nie dał sprawiedliwości, nie powinien wymagać abyśmy tam siedzieli, gdzie nas lada dzień wybić mogą bezkarnie do reszty!

— Cicho! zawołał ks. Przerębski, cicho! i dalej rzecz zaczął prowadzić, a w około szmer, szepty i głośniejsze rozmowy ciągle mu przerywały.

— Nikt zapewne z Waszmościów, dodał ów podnosząc głos, nie pomyślał o skutkach tego nierozumnego kroku, bo ktoby temu choć chwilę poświęcił, pozostał by pewno na miejscu. Idziecie Waszmoście Bóg wie gdzie, bez przewodników i pieniędzy, ufając zapewne litości ludzkiej; lecz powinniście wiedzieć, że kto by chciał



uczynić litość jednemu, kilkuset jej zrobić nie potrafi. Powtóre, spuszczając się na jałmużnę ludzką łatwo pomrzecie z głodu, bo mało jest litościwych. Potrzecie, jeżeli wbrew rozkazom rodziców lub powinowatych postąpicie tak sobie, oni wielu z was bardzo nie zechcą pewno przyjąć do domu, widząc wasze tak zuchwałe już w tak młodym wieku postępowanie. Ściągniecie Waszmość na siebie gniew rodziców i powinowatych, gniew króla i gniew Boga, który przykazuje darować winy, nie mścić się ich. Znaście Waszmość ewangelją Chrystusa Pana o policzku i sukni, ona wam pokazuje, że chociażby winien był ten kogo obwiniecie, darować mu byłoby najlepiej. Oto z rozkazu króla oznajmujem Waszmościom, że wolno wam dziś jeszcze powrócić, że kto wróci za posłusznego i uczciwego mianu będzie, a reszta za krnąbrnych i zuchwałych, że raz ostatni przyobiecuję król i pan nasz łaskawy wymierzyć wam sprawiedliwość.

— Na ks. Czarnkowskiego? podchwycił bliżej stojący student, a za nim prawie wszyscy krzyknęli toż samo.

— Nie — gdyż ten niewinnym się okazał — odpowiedział ks. Przerebski, ale na sługach jego i słudze pana Wojny, którzy uwięzieni są i czekają wyroku.

— Niech ukarze księdza Czarnkowskiego odjęciem kapłaństwa i życia, zawołał student, a my powrócimy!

— To być nie może! — odpowiedział głos z drugiej kolasy — chcecież żeby dla waszej uporczywości niewinni pokutowali?

Wrzawa niezrozumiana w tłumie odpowiedziała na te słowa, potem nastąpiło milczenie, potem studenci zdawali się pilnie spierać między sobą.

Lew Maciejowski, który od początku drogi sercem

chciał wrócić do miasta i wzdychał oglądając się za siebie, pierwszy podniósł głos między swemi i zaczął ich nakłaniać do powrotu; lecz zaledwie z kilku słów jego zrozumieć było można do czego zmierza, krzyknęli studenci i mówić mu nie dali. Było jednakże i więcej takich, którzy z nim razem myśleli tylko jakby nazad powrócić, lecz nieśmieli i lekliwi odezwać się bali z takim wnioskiem wśród tłumu inaczej myślącego.

Kiedy się zaś Lew odezwał, ośmieleni tem zaczęli się jednomyślnie cisnąć ku niemu, i gdy jedni łajali go, grożąc mu, drudzy powoli obronę jego brać zaczęli. Ci którzy od króla przysłani zostali, w powszechnym krzyku nie mogli dać się słyszeć. Studenci zaś, nie zwracając na nich uwagi, zajęci byli sporem między sobą i dzielili się na dwie strony.

Jedna z Maciejowskim utrzymywała, że najlepiej było powrócić do Krakowa, druga przypisując niestałość w zamiarach, lekkomyślność i przekupstwo wnioskującym, spierała się, aby wszyscy szli dalej. Łatwo poznali przybysze o co rzecz chodziła, i ks. Przerebski wysiadłszy z woza z dwoma drabami dla bezpieczeństwa posunął się na miejsce, gdzie się gromadzili wszyscy i krzyczeli, chcąc powagą swoją i wymową poprzeć tę stronę, która za powrotem do miasta trzymała. Docisnąwszy się z trudnością w pośrodek nich postrzegł dopiero, że siedł napróżno — krzyk powszechny głuszył jego słowa tak, że sam siebie słyszeć nie mógł — cóż dopiero inni? — popychano go zewsząd — szturchano — ustąpić musiał i czekać.

Sprzeczką coraz żwawsza się stawiała, lecz jak się każdy domyśla, na słowach między wrzącą młodzieżą, której nikt nie hamował, skończyć się nie mogło. Bliżsi



wyrzuciwszy na się wzajemnie wszystkie obelgi i przekleństwa jakich ich pobyt w mieście wyuczył, porwali się do siebie, a że ci którzy chcieli powracać w bardzo małej liczbie byli, a reszta zajądła następowała na nich, Lew Maciejowski wołać zaczął nakoniec do przybyłych o pomoc.

Draby i straż ile ich było posunęli się w tłum, Lew rzucił się do nich — wrzaski, kamienie, piasek i błoto poleciały na małą liczbę tych którzy poszli za nim; ale to nie nie pomogło, nim się wszyscy około żołdaków zgromadzili, przybywało coraz z wielkiej gromady do małej po kilku chcących powrócić do miasta.

Ks. Przerębski poprowadził ich ku wozom, a reszta zagrożona szablami ustąpić musiała, miotając przekleństwa na Lwa, który z zapalonem okiem, cały w błocie, w poszarpanem odzieniu, bez czapki, drżąc od gniewu szedł za wozem, a za nim kilkadziesiąt słabych, małych, chorych, zapłakanych bębnow i drągałów wysmukłych, którym pobyt w mieście i przyjaźń pań mieszczek krakowskich smakowały. Reszta tłum rzucając z daleka kamieniami i przekleństwami, które po nad głowami pozostałym przelatywały, szła szybko drogą — dalej a dalej.

Przybywszy do Krakowa, powiedział ks. Przerębski królowi, iż małą tylko liczbę na drugim dniu podróży dogoniwszy, zawrócił i natychmiast po szkołach i akademii, choć dla małej liczby słuchaczy, dawne się kursa rozpoczęły.

Liczniejsza część druga poszła drogą dalej, poszła przed siebie w świat, nieznając świata, żebrząc po drodze, nocując na zimnie i deszczu pod gołym niebem, patrząc na mijające około siebie pola, góry, lasy, ludzi

i zwierzęta, widząc za późno jak mało kto o nich dbał, jak mało kto ulitował się nad niemi. — Wracać nie chcieli, nadto byli dumni, i szli, szli, szli ciągle niewiedząc dokąd i po co idą. Niektórzy starsi wrócili do domów i w nich pozostali, inni kąś rodzinny odwiedziwszy, poszli w obce kraje, inni podzieliwszy się na gromady i idąc ciągle znaleźli się prawie o tem niewiedząc za granicą. Tam rozsypując się ciągle i dzieląc, różnemi sposobami zarabiali na życie biedne sieroty, a nie jeden przeklinał, nie jeden błogosławił dzień wyjścia swego z Krakowa.

Dziwna rzecz iż roztropni nawet kronikarze utrzymywali, jakoby to wyjście studentów krakowskich było jedną z przyczyn późniejszego rozszerzenia się różnych sekt religijnych w Polsce, gdy niektórzy potem zarażeni herezją nazad wrócili i rozsiewali ją. Gdyby nawet tak było, skutek zaledwie mógł być znaczny; ale zkadinaż wiemy, jak, jakimi drogami, z jakich powodów reforma zasiała się w Polsce. — Biednych więc wychodźców o to posądzać nie można, i podanie kronikarzy (Orzechowskiego, powtórzone przez Hartknocha i innych) na żadną nie zasługuje uwagę.

Opisaliśmy ten wypadek jako jeden z najlepiej malujących usposobienia młodzieży w XVI. wieku. Któż w tych wrzących studentach nie pozna późniejszych silnych podpór anarchii, swawolnej szlachty niedającej się nigdy przekonać, zawsze upartej przy swoim i świecącej dumnemu uporowi, nawet częstokroć własne zapóźno przychodzące przekonanie wewnętrzne.

KONIEC.



18

14842

*El. Owsenkowa*

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom ośmdziesiąty ósmy.

Miejska Biblioteka Publiczna  
5109-50  
Białystok



# PAN I SZEWC.

---

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

---

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1. 10.

1875.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glucksberga.





Powieść ta napisana była dla Athenaeum, które przez lat dziesięć wydawał autor w Wilnie, chociaż zamieszkiwał na Wołyniu. Mieściła się ona w roczniku 1849 w tomach I. — II. i III. Osobno odbita w r. 1850, obrazek małych rozmiarów przeznaczonym był dla ożywienia nieco zbioru, w którym naówczas więcej prac poważniejszych się mieściło, bo Athenaeum z Biblioteką Warszawską było dla nich naówczas jedynem schronieniem... Pierwsza praca Wł. Syrokomli w niem pomieszczoną została... Do współpracowników liczyły się najzasłużeńsze imiona ks. Hołowińskiego, ks. Stan. Choleńskiego, M. Grabowskiego i wielu innych. — Jakaś tradycja, pochwycona z ust starego szambelana Płotnickiego, służyła za pierwszą osnovę powieści. — Podobnych podań u nas o dziwnych losach rodzin i stosunkach, które się z odrębności stanu szlacheckiego wywijały, mamy bardzo wiele... Krążą one jeszcze dziś z ust do ust podawane, tam gdzie do tradycji i opowiadań należyta przywiązują wagę. W nich, jeżeli nie prawda historyczna, to poczucia i kierunki myśli a ducha naszego żywo się odbijały.

Marzec 1875.  
Drezno.



Na Starem mieście w Warszawie, w kamienicy z pozoru starej, dziś opuszczonej i wedle dawnego zwyczaju noszącej na czele znak św. Jana, po którym odróżniano ją od sąsiednich domostw; chmurnego dnia późnej jesieni gromadził się w podwórzu, ciemnej bramie i dookoła w ulicy lud zaciekawiony.

Co chwila przybywali zwiększając kupę próżniaków, to chłopcy wysłani przez majstrów na miasto, to kucharki z kosztami na rękę, to żydowstwo czyhające na zysk tam nawet, gdzie nie ma do niego podobieństwa, ta hałastra odarta, która nie wiedząc co z sobą zrobić i gdzie się podziać, rada była, że miała powód czas jakiś tu postać w błocie pod kapiącą rynną, z rozziwioną gębą, pytając tych, którzy ją popychali i naciskali: co to się stało? co to takiego?

Nikt dokładnie o powodzie natłoku nie wiedział, żaden krzyk nie zapowiadał walki, żaden widok nie tłumaczył tego wezbrania ciekawości. Ścisk tylko we wrotach większy niż gdzieindziej wskazywał, że przedmiot ciekawy znajdować się musiał wewnątrz kamienicy. Ale i tam cicho było, i gwar tylko tłumu chwyciło wyteżone ucho nowo przybyłych. Jedni powiadali sobie po cichu, że w domu tym mąż zabił żonę; drudzy, że żona zabiła męża; inni, że mąż i żona potruili swe dzieci; inni nareszcie, że schwytano złodzieja itp. Nic nie wiedząc i niewiele widząc, ciekawi przybysze uparcie naciskali się przed kamienicą, oczekując sami nie wiedzieli czego, a oczekując z cierpliwością miejskich próżniaków, dla których sprawą najpilniejszą jest sprawa cudza, co by ich nie obchodzić nie powinna.

— A co? pytał gruby rzeźnik sąsiada swego szewca w skórzanym fartuchu — a co?



— A — poczekajmy no, to się coś dowiemy.

— Ale jak myślicie, co też to być może?

— Albo ja wiem! pewnikiem zabójstwo nowe. Bieda żeśmy przyszli tak późno, teraz się ani docisnąć, ani zobaczyć, ani dowiedzieć.

— A poprobujmyż-no panie bracie! idźcie no tylko za mną, dobre mam łokcie, będę kuksał, przedrzemy się taki do bramy.

To mówiąc rzeźnik, począł na prawo i lewo tak robić rękami, tak dusić i popychać, że kilka kroków naprzód się posunął; a szewc, korzystając z uczynionej próżni, popłynął za nim. Pierwszy odzywał się do tłumu łokciami, drugi ustami, wołając: puszczajcie no mnie, bom tam potrzebny.

Nie bez wielkiego mozolu dobrali się jakoś do samych wrót, które pominawszy, w gestszym niż na ulicy był ścisku, uwięźli. Rzeźnik już nawet rady dać sobie nie mógł. Szewc przyszedł mu w pomoc, odzywając się coraz głośniejszymi, ośmielonymi powodzeniem. — Co do licha! rozstapcież się! muszę przecie przejść!

Argument ten lepiej pomógł niż siła, i tłum uwierzywszy majstrowi, trochę się rozstąpił; znów więc w pocie czoła dwaj ciekawsi i niecierpliwszi posunęli się ku drzwiom niewielkim, roztwartym, wiodącym jak się zdawało do lichej izdebki, której jedno małe kraciaste okienko wychodziło w ulicę. Drzwi te otoczone były szczęśliwymi co najpierwsi przybiegłszy, to najlepszymi widowiskami miejsce zajęli.

Wspomagając się na przemiany, szewc z rzeźnikiem zbliżyli się do progu, a tu bez wielkich ceregielów usuwawszy przytomnych stanęli nareszcie u celu.

Izdebka, którą ujrżeli przed sobą, była ciemna i pusta; w początku ciężko nawet do mroku w niej panującego przywykające oczy rozeznąć nie mogły, co w niej tak ciekawość pobudzało. Aż nareszcie po chwili rzeźnik i szewc razem zobaczyli zbyt pospolitą nędzę, której widok nie wart był może tylu szturchańców i tylu wykrzykników.

W wilgotnej, sklepionej komórcie, jedno tylko w bra-

mę mającej wyjście, jedno szczupłe więzieniowe kraciaste okienko w grubym murze głęboko wyciosane; na mokrej i czarnej podłodze, potrząsionej słomą, leżał trup młodej jeszcze kobiety, która w okropnym cierpieniu życie skończyć musiała. Wypreżone ręce, skrzywiona twarz przedśmiertną boleścią, słupem stojące oczy, których nie było komu zamknąć, opowiadały o tej straszliwej godzinie, w której duch ciała bezsilnie opuścił. Znać było wielką walkę duszy, która musiała opierać się chorobie i śmierci, nim uleciała z tej nędzy na świat lepszy. Łatwo było odgadnąć, co tę kobietę trzymało przy życiu; bo tuż przy niej na posłaniu dwoje małych dzieciaków lichy odzianych, bledych i wynędzniałych, płacząc i tarzając się, wołały do umarłej: matko, matko! wstań! wstań mamuniu! chleba, daj nam chleba!

To dwójko biednych sierót zdawało się być jednego wieku, i twarze chłopiąt, podobne jak dwie krople wody, powiadały, że razem na świat przyjść musiały, Szarpali oni matkę budząc ją i płacząc, niekiedy poglądali na tłum stojący we drzwiach ściśnięty, jakby ten ich przerażał; wzrok odwracali z trwogą od progu i wołali coraz bardziej przenikającym głosem: matuniu! matuniu!

Przecucie powiadało sierotom, że tłum ten był zwiastunem ostatniego i największego dla nich, a niepojętego im jeszcze nieszczęścia.

Izba, w której się to działo, okazywała najostateczniejszą nędzę; nie w niej sprzętów, nie coby obiecywało chleb powszedni nawet na jutro. Słoma, na której leżała nieszczęśliwa matka, była nawpół przegniła; ubranie umarłej w łachmanach; dzieci lepiej trochę odziane, ale i ich sukienki ze szmat się składały pozszywanych tylko dla ogrzania. W kącie na ławie drewnianej wały się: miska czarna i próżna, garnek rozbity, dwie łyżki drewniane i nóż w prostej drewnianej oprawie, jakiego po wsiach do krajania chleba używają. Na ścianach po ćwiekach wisiały podarte szmaty odzienia okryte kurzem, rzucone na ćwiek z rozpaczą, bo już



się nawet na okrycie nie przydały. U pieca dawno zgasłego walał się wygrzebywany popiół, w którym ani jednego nie było już węgla; łupiny kartofli zgryzione do szczytu okrywały podłogę — w dzbanie wody nie stało, — leżał wywrócony i suchy.

Blade twarze sierót niewiele się różniły od złotego, straszego umarłej oblicza; wychudłe ich rączka, zbrukane włosy, zaczerwienione od łez oczy, rozповідаły o okropnej przeszłości. Sama jedna, bezsilna, z dwójgiem dzieci, biedna matka umarła ze śmiercią walcząc bez kropli wody, bez kawałka chleba! Żadne z małych chłopiąt do klamki nawet dostać nie mogło, żeby drzwi otworzyć i o ratunek zawołać.

Jakaż to straszna, jak straszna śmierć tu być musiała! Lecz wreszcie wśród jęku dzieci skonała uboga niewiasta, a jakiś promyk nadziei zaświtał może u łóża śmierci; bo wyprężona jej ręka trzymała krzyżyk moisiezy, wskazując że nie umarła bez nadziei w Bogu.

Szewe i rzeźnik w progę stanawszy, popatrzywszy, przeczytali sercem pocziwem tę kartę wydartą z wielkiej, niezbadanej, tajemnic pełnej księgi życia ludzkiego. Obu im łzy się zakreśliły na widok małych sierót, i różne myśli poczęły zwijać się po głowie; żaden jednak z nich nie miał jeszcze odwagi uchwycić w lot myśl dobrą.

— Co to za los czeka to biedactwo? mówił sobie szewc, oparłszy się o drzwi. — Wezmą gdzie może do jakiego szpitalu? dziad jaki wyuczy włóczegi, a strzeż Boże i wszystkiego złego!

— Pójdzie to w świat, myślał rzeźnik, i będzie żyło, biedowało, męczyło się, póki może podobna tej śmierć oczów nie zapluszczy.

— Tak to z nami!

Wtem szmer dał się słyszeć w ulicy, i pociśnieni od tłumy szewe i rzeźnik obejrżeli się ku wrotom.

Piękna karetą bombiasta usiłowała przebić tłum i minąć zbiegowisko, ale na próżno woźnica batem sma-gał, krzyczał, konie się spinały, lokaje rozpychali, nie było podobna przebrnąć to morze ludu ściśniętego.

Głowa pięknej kobiety ukazała się przez spuszczoną taflę powozu. Blond włosy pudrem śnieżnym okryte, w koronki, kwiaty, pióra i świecidełka ubrane, otaczały śliczną różową, białą, uśmiechniętą twarzyczkę z dwójgiem oczów niebieskich. Kolce perłowe z brylantami, piękny naszyjnik podobny, suknia gołębiego koloru jedwabna, strojna w różowe wstęgi, zdobiły piękną panią.

Spojrzała mdlejącymi oczkami na lud i szybko cofając się w głąb karety, spytała lokaja:

— Larose, dowiedz-że mi się co to jest? czemu nie jedziemy?

— Okropny ścisk JW. Pani! odparł Larose, zdejmując stosowany galonowany, jak suknia jego, kapelusz,

— Cóż to jest?

— Nie wiem, JW. Pani!

— Kiedy stać musimy, pójdź-że mi się dowiedz!

Larose posłuszny podskoczył, ale zanadto zaufał galonom swej liberji i potężnemu głosowi, którym starał się lud rozpychać. Musiał wreszcie użyć tego środka co rzeźnik, i nie łatwo za jego pomocą nawet dostał się do drzwi izby, która otwarta jeszcze wzbudzała tłumów dziwowisko. Tu rozpytawszy się nieco, powrócił co najrychlej do pani siedzącej w karecie i z nieukontentowaniem widocznym zagryzającej usta.

— Cóż tam? spytała.

— To JW. Pani głupstwo — rzekł Larose pogardliwie machając ręką; jakaś uboga kobieta umarła w tej kamienicy i dwoje chłopiąt bliźniąt zostawiła. Zwyczajnie hałastra się gawroni. — Ruszaj panie Tomaszu!

Ale łatwiej to było powiedzieć niż zrobić. Pan Tomasz z miejsca ruszyć nie mógł, jak wprzód. Pani posłuchała lokaja, podumała, poruszyła głową i zawołała: A cóż?

— Nie można przejechać.

— No, to zawrócić!

— Ba! gdyby można zawrócić, dawnobym to zrobił, rzekł stangret z mrukiem.

— Ale cóż z tego będzie? niecierpliwac się wołała pani Larose! rozpedźcie tych ludzi!



Larose z towarzyszem rzucili się w tłum, ale na próżno; każdy się wprawdzie tulił i ustąpić pragnął, ale nie było sposobu tyle miejsca zrobić, ile go powóz potrzebował; bo gdy z jednej strony lokaje trochę rozepchnęli ciekawych, z drugiej tłum się naciskał. Kilka minut ubiegły wśród niecierpliwych zżymań pani, która miała już podnieść taflę, żeby wilgotne powietrze nie rozpuściło jej pracowicie ułożonych pukli, gdy nowa postać zjawiała się u karety, wprost pięknej niecierpliwiej. Był to siwy starzec Kapucyn, który tylko co wyszedł z izby, gdzie leżało ciało umarłej i płakały sieroty. Zbliżył się on pod powóz i pozdrowił piękną panią pobożnem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to wy, Ojcie Serafinie? zawołała kobieta. — A! zmiłujcie się, czy nie potraficie mnie wyrwać z tej niewoli? — A! tak mi pilno! tak pilno!

Starzec popatrzał na nią zbladłymi oczyma, w których się łza kręciła, i odparł pocichu:

— Powinnabyś pani podziękować Bogu, który cię tu sprowadził.

— Za co? mój Ojcie!

— Masz sposobność zrobić dobry uczynek, który ci Bóg na wielkim i strasznym sądzie policzy.

— A! dam chętnie jałmużnę! odparła piękna pani, szukając woreczka, w którym jasne brzękało złoto; dam chętnie cokolwiek na te sieroty, ale mi pomóżcie wyrwać się z tego tłumu. Co za powietrze!

— Cóż tu pomoże twoja jałmużna? rzekł smutnie Kapucyn. Tu dwoje biednych sierót leży na zgniłej słomie, a nikt w Imię Chrystusa-dziecięcia nie poda im zbawczej ręki.

— Ale cóż ja poradzić mogę na to, Ojcie Serafinie kochany?

— Możesz wziąć sieroty! rzekł Kapucyn.

— Jak to?

— Jak? wziąć i wychować sieroty, powtórzył Ojciec Serafin. Piękna pani słuchała i zdawało się, że rozumieć nie mogła.

— A jeśli nie oboje, to jedno przynajmniej.

Na twarzy kobiety zarysowało się skłopotanie; odmówić nie chciała, posłuchać nie mogła.

— Opatrzę sieroty, rzekła ciszej.

Kapucyn zamilkł i westchnął.

— Chęcie, zawołał po chwili żeby wam Bóg pomagał; a gdy do was w postaci nędzarza, sieroty, Bóg zapuka, wy go zbywacie — złotem. Ej! pamiętajcie, pamiętajcie, że Bóg za wasze modlitwy może także złotem tylko zapłacić. Da wam bogactwo, ale odmówi szczęścia i spokoju duszy. To mówiąc chciał odejść, gdy piękna pani jakby nagle myśl lepsza przeszła jej przez utrefioną główkę, odwróciła się ku niemu wychylając:

— Ojcie Serafinie, zawołała — Ojcie Serafinie! Kapucyn spojrzał na nią i wstrzymał się.

— Przyszlicie do mnie jedno z tych dzieci — zajmę się jego wychowaniem i losem.

— A Bóg ci dobry uczynek w trójnasób zapłaci! odpowiedział starzec z uczuciem, i szybko posunął się ku drzwiom kamienicy.

W tej chwili jakimś trafem osobielszym, jak gdyby tłum czekał tylko na to, by się rozstać i zrobić miejsce powozowi, lokaje ujrzeni przerzedzający się ściśk, i konie same zwolna postępować zaczęły ulicą. Piękna pani podniósłszy taflę, pojechała dalej; Ojciec Serafin wszedł do ciemnej izby. Skupieni u drzwi zrobili mu miejsce z uszanowaniem. Tu już pocziwy starzec dwojga dzieci przed chwilą płaczących nie znalazł.

— Gdzie są dzieci? zapytał.

— Ot tu! ot tu! zawołały kilka głosów. — Jedno wziął rzeźnik Bartłomiej, drugie majster Maciej.

— Czekaście! czekajcie! wstrzymał ich siwy Kapucyn. Co myślicie robić z temi dziećmi?

— A co, rzekł naprzód szewc, całując w rękaw księdza, i tuląc dziecię, które miał na ręku — ja nie mam dzieci, Ojcie Serafinie; godzi mi się wziąć sierotę, bo to obraz Syna Bożego; — będę chował jak swoje.

— A Bóg ci zapłaci! rzekł Kapucyn.



— To już dość że dziecko będę miał, odparł szwec, drugie pan Bartłomiej bierze do siebie, choć to ma swoich kilkoro; ale jakże to biedactwo tak porzucić — toć to zginie marnie.

— Panie Bartłomiej! odezwał się Ojciec Serafin, a gdyby to dziecko, któreście wzięli, znalazło bogatszego i wolniejszego niż wy opiekuna?

— Gdzie? spytał oglądając się rzeźnik.

— Ja mu go wyszukać mogę.

— Alboż to u mnie z mojami dziećmi będzie mu źle?

— Uchowaj Boże! ale wam może być przyciężko, macie swoich kilkoro.

— E! gdzie się pożywi troje, pożywi się i czworo.

— Ale mu losu nie dacie?

— A któż mu go da?

— Widzieliście ten powóz, który tędy tylko co przejechał. — Pani go bierze na wychowanie.

Rzeźnik głową pokiwał. — To to państwo jakieś! Wiecie Ojcie na czym się to kończy pańska opieka nad sierotą? Ot, dadzą do kuchni i zwała się to w kącie; a u mnie z mojami dziećmi, to się wychowa jak moje własne. Losu to mu nie dam, ale go pracować nauczę.

— Nie chcę wam dobrej myśli odbierać, rzekł Kapucyn. Bóg chęci pocziwe policzy za skutek; ale któż wie? może tam dziecku lżejszy chleb, słodsze życie zgotowane. Chcielibyście stanąć losowi i Opatrzności Bożej na przeszkodzie?

— Panie Boże uchowaj! Jak chcecie i rozkazacie Ojcie Serafinie, jak się wam podoba. — Jeśli mi powiecie oddać, oddam dziecko; ale Bóg widzi że mi go żal. Pańska opieka oczy wypieka! Chleba mu i u mnie nie zabraknie; — ale jest coś droższego od chleba, pocziwość. Tej tam zkad mu będzie wiaść, kiedy go za oczy dadzą na płatne ręce? Zresztą, Ojcie, jak się wam widzi.

— Mnie się widzi, pocziwy Bartoszu, że ja tam sam, póki Bóg da życia, na sierotę naglądać będę, a choć to u panów różnie bywa, nie powinniśmy zmarnować daru Bożego. Pójdźcie no za mną z tem dzieckiem.

Szwec, który jak widać lękał się bardzo, żeby mu Kapucyn dziecka nie odebrał, nim się Ojciec Serafin rozmówił z rzeźnikiem, umknął zgrabnie, i przebiwszy się przez tłum posunął żywo ku domowi, tuląc sierotę do swego skórzanego fartucha.

Maciej był ubogi, ale pocziwy i pracowity; dostała mu się szczęściem równie dobra żona, której jedynem strapieniem było, że dzieci nie mieli. Przy pracy chleb choć nie najbielszy, był zawsze, w zimie nie marzli, odziać się przystojnie było za co, a jeszcze i w skrzyni zapaśnych kilka talarów w węzłku bywało; ale to wszystko nie cieszyło ich, bo życie płynęło bez celu, starość przychodziła straszna, samotna — dziecka nie mieli. Kilka razy ofiarowała się pani Maciejowa do Częstochowy, do Sokala, do św. Antoniego, zawsze napróżno.

Maciej więc, jak drogi dar Boży, przyjął sierotę, którą niósł żwawo spiesząc do domu. Wkrótce też stanął na progu, i ani się spostrzegł, że żona zwabiona w ulicę zgielkiem, czekała go w bramie. Dopiero natrąciwszy się prawie na nią, rozśmiał się na całe gardło serdecznie, pocziwym uśmiechem ubogich.

— A to co? zawołała Maciejowa, cofając się trochę przestraszona.

— A ot co jest! Pan Bóg nam dał dziecko!

— Co? zkad? jakie dziecko?

— Nieszczęśliwą sierotę — chłopczyka! Ale to potem o tem, naprzód trzeba tę biedotę nakarmić, napoić, ogrzać, odziać, bo to ledwie dycha.

Pani Maciejowa skwapliwie rzuciła się otwierać drzwi izby, nad której oknem wielka żółta tablica z czarnym butem i kutasem ogromnym wisiała.

— Pokaż-że no, pokaż, zawołała. — A! jak Boga kocham piękny chłopiec! Ale cóż to za nędzniatek! Chryste Panie! jaki żółty, by kość.

A gdy dziecko się rozplakało, porwała je namiętnie i przytuliła do piersi.

— Hej! krzyknęła na chłopca, żwawo Jacku po mleko, bo bułkę, po jaja — naści dwa złote.



Maciej śmiejąc się, wzięwszy w boki, stał przed swoją jejmością i szeptał:

— A co? prawda że dobrze zrobiłem, że ci to niebożatko przyniósł? he? a nie podziękujże — że mi jejmość?

— Niech ci Bóg płaci! daj ci Boże zdrowie! ściskając męża żwawo poczęła mówić majstrowa — ale powiedz — że no mi, wszakżeś go nie ukradł, chowaj Boże! gadajże jak to było?

Dziecię płaczące ciągle utulać się poczynalo pieszczołami szewcowej, a Maciej siadłszy na łóżku rozpowiadał wszystko jak było, i w jakim był strachu, żeby mu Kapucyn nie odebrał sieroty. — Nie prawdaż? do dał w końcu, że dobrze mi się udało!

— Dobrześ zrobił, i taki nie godziło się inaczej — przerwała zarumieniona od radości majstrowa. To cię tam Bóg posłał w dobrą godzinę. Nie mamy swojego dziecięcia, przybierzemy sobie sierotę. — A — patrz no — dodała, wszak to nawet nieszpetyny będzie chłopiec — czy niebieskie, nosek mały, i gdyby nie przy nędznienie, toby to nawet na coś pańskiego wyglądało.

Szewe zupełnie podzielał zdanie żony, i oboje usiadłszy na łóżku, na którym złożyli sierotkę, poczęli marzyć o niebieskich migdałach swojej przyszłości. Że też nigdy człowieka srogie nawet doświadczenie nie oduczy tych zawodnych rachunków na jutro. Bo kiedyż się pochwalić możemy, żeśmy przyszłość odgadli?

Z długiej narady wypadło, że szewe miał nazajutrz rano pójść się dowiedzieć, co to była za jedna ta niewiasta nieszczęśliwa, której się tak mizernie opuszczonoj zmarło.

Maciejowa całą noc nie zmrzuryła oka i siedziała nad dziećciem. Inaczej stało się z drugą sierotą, którego Bartłomiej z księdzem Serafinem odnieśli na Krakowskie przedmieście do pałacu pani starościnowej. Murgrabia żonaty i obarczony familją, poleconem miał sobie zająć się hodowlą dziecka, dla którego przybrana matka innego uczucia nad trochę litości nie miała. Płatne ręce zajęły się bez przywiązania, bez czułości,

opatrzeniem pierwszych potrzeb jego; a Starościna, niby obiecując los lepszy sierocie, zapowiadała, że za pierwszą zrzeczością na wieś ją odeszle.

Ksiądz Serafin krzątał się, jak mógł, koło nieszczęśliwych sierót i zmarłej ich matki. Złożywszy w bezpieczne ręce dwóch maćców, zebrawszy składkę na kosztą pogrzebu nieznamomej kobiety, sam się zajął ostatnią dla niej posługą.

Wysłał babki szpitalne, żeby ciało obmyły, ubrały i przygotowały do trumny, którą już zamówił u sąsiedniego stolarza; a nic, lub tak jak nic, nie mogąc się dowiedzieć o zmarłej, na wypadek późniejszego jakiego odkrycia, usiłował dzieciom przynajmniej pamiątkę ich pochodzenia i pokrewieństwa zostawić.

Na szyi kobiety znaleziony krzyżyk bronzowy, rozpiłowany wzdłuż na dwoje, jedną pamiątkę po matce, odniósł sam do szewca i murgrabiego, zawieszając je z błogosławieństwem na szyjach bliźniat. Więcej nie było ich czem dzielić. Uwinęte w czarną szmatkę papiery okazały, że dzieci chrzczone były imionami Jana i Marka; nazwisko nosiły tylko matki — a matka zwała się Tekla Lutyńska. Lecz z kąd pochodziła, dla czego przybyła do Warszawy; z czego się w początku utrzymywała, kto był ojcem sierót, kto ona sama? nie nie powiadało. Papiery w oryginale oddał ksiądz Serafin szewcowi, kopią ich poświadczoną wręczył Starościnie. Wychowawca szewca nazwano Markiem, dziećcie przez panią wzięte Janem.

Wychodząc z ubogiej izdebki szewca, zastanowił się w progu starzec i odwróciwszy do pocziwych rzemieślników na pożegnanie, rzucił im te wyrazy ostatnie:

— Moje dzieci, dobrze to bardzo, żeście przytulili sierotę; ale pamiętajcież, jak wielką na siebie odpowiedzialność, jak straszne w obliczu Boga bierzecie obowiązki. Wiecie co Chrystus powiedział o tych, co niewinnemu dziećciu stają się zgorzenia przyczyna? Poprowadźcie sierotę drogą pocziwą i nie dajcie jej się zepsuć, aby was całą później wieczność nie przeklinała.

Ze smutnie spuszczoną głową poszedł jeszcze starzec



potem do Starościnej. Tu przystęp był trudny; przecież wyczekawszy w przedpokoju, gdzie zblocone otarł sandały, puszczonej został do wnętrza. Winien to był wielkiej swej pobożności, sławie, jaką światobliwym żywotem pozyskał a może i niemiłej często prawdziwie, której się ludziom rzucić w oczy nie wahał. Starościna wybierała się w odwiedziny i stała przed wielkiem zwierciadłem, które całą jej zrezną postać odbijało; klęcząca sługa obciągała na niej i opinała suknię koronkami obszytą i sznurami złocistymi poprzewijaną.

Ujrawszy w zwierciadło siwą brodę Kapucyna, pani Starościna szybko odprawiła służącą, i wyrobiwszy trudny uśmiech na ustach, zbliżyła się ku niemu.

— A cóż Ojcie, spytała, kontenciście ze mnie, wszak już spokojni być możecie o waszą sierotę?

— Spokojni! o! nie pani, nie jestem o nią jeszcze spokojny, nie będę póki mi nie dacie słowa, że sami czuwać nad nią będziecie.

— Mój Ojcie — wszakże....

— Wszakże wzięliście ją, opiekujecie się — chcecie powiedzieć? Oj! to nie dosyć, mościa Starościno. Potrzeba na płatne ręce nie spuszczać się, nie zostawując za oczyma, dowiadywać się, pilnować i czuwać. Wzięliście na siebie cały przyszły los dziecięcia.

Starościna piękne usteczka zagryzła.

— Powtarzam ci Ojcie Serafinie, bądźcież spokojni.

— O sierotę to ja spokojny jestem; Bóg jej zginąć nie da; ale nie chciałbym wam, zamiast do dobrego uczynku, być powodem do grzechu. O was to mi chodzi — czuwajcie!

— Trudnoż żebym mu była niańką, mój ojcie.

— Bądźcie matką, to lepiej — odezwał się Kapucyn.

— A! dobrze żeście matkę wspomnieli, usiłując odwrócić rozmowę, zawołała Starościna, przecież dowiedzieć się musieliście, kto była ich matka, kto ojciec?

— Mało lub nic, rzekł smutnie starszek spuszczać głowę — matce było imię, Tekla.

— Tekla spytała? Starościna wlepiając oczy w Kapucyna — Tekla, a nazwisko jej?

— Lutyńska, rzekł Kapucyn.

Wzdrygnęła się piękna pani, lecz nie dając poznać, że ją co ubodło, poczęła ze spuszczoną głową rękawiczki naciągać.

— Ojca nie znamy, dodał Kapucyn. Imię dziecięciu waszemu Jan; drugiemu synowi, którego wziął pocziwy szewc jeden, Marek — metryki obu złożyłem w kopii u murgrabiego. Starościna nie już nie odpowiedziała; nie można było wytłumaczyć sobie, jakie nią uczucie zawiadło, bo spuściła oczy, udawała bardzo zajętą swym strojem, a róż i bielidło nie dozwalały przejrzeć, czy zbladła, czy się zarumieniła; widać przecie było jakąś w niej nagłą zmianę i jakby niepokój. Kapucyn mówił dłużej o obowiązkach opiekunów — milczała; nareszcie odszedł, a Starościna, na którą konie w dziedzińcu czekały, rzuciła się na kanapę i z osłupiałym wzrokiem poczęła dumać głęboko. Trzy razy dawano jej znać, że konie na nią czekają, trzy razy weszła służąca i dwa razy zajrzał lokaj; ona jeszcze siedziała nieruchoma, zamyślona. W ostatku porwała się żywo, spojrzała przechodząc w zwierciadło i siadła do karety.

Szewc Maciej wszystkie wolne od pracy chwile poświęcał dotąd próżnemu badaniu bliższych sąsiadów o nieznaną kobietę, po której w spadku otrzymał sierotę. Czuł on, że później dziecięciu winien będzie dać wiadomość o matce i klucz do tajemniczej przeszłości. Zrazu szły badania tępo i trudno; lecz silna wola czegoż nie dokaże? Powoli odrobiny wiadomostek poczęły się sklejać w jakąś porządną całość.

Dowiedział się szewc, że kobieta nieznaną przed rokiem przybyła ze wsi z dziećmi obojgiem; i choć od razu zdała się ubogą, przecież nie tak w początku nędzne, jak potem wiodła życie. Najawnszy mieszkanie na Starem mieście, w tej izdebce, w której życie skończyła;



przyjęła staruszkę do pilnowania dzieci i mieszkania, a sama często się oddalała zdając szukać czegoś; na-próżno zapewne, bo codzień powracając gorzko płakała. Szewc Maciej znał dobrze wszystkich swojej ulicy mie-szkańców, począł domyslać się, ktoby mógł być pia-stunką sierót, i doszedł, że stara Dorota, którą nazy-wano Pielgrzymką, bo zwiedziła z kolei wszystkie prawie miejsca święta w Polsce, Litwie i na Rusi, a nawet w Węgrzech i Szlązku. Ona to w istocie czas jakiś między jedną a drugą pielgrzymką służyła u zmarłej. Odszukać Doroty nie było łatwo: bo chociaż kiedy niekiedy powracała do Warszawy i ukazywała się na Starem mie-scie, to tylko chwilowo; wkrótce potem wzięwszy kij i tor-by na siebie, puszczała się znowu do którego ze wsławio-nych miejsc świętych. Za powrotem znużona i osłabła, zaprzysięgała się, że to była jej ostatnia podróż, mówiła o spoczynku, wybierała się do szpitala; ale zaledwie sił jej trochę wróciło, ktoś jej powiedział o cudownym obra-zie, i Dorota znowu w drogę. Maciej więcej trafem niż przemysłem znalazł Dorotę pod kościołem i zaprowadził do siebie, usiłując wybadać o nieznanym kobiecie. On i żona, napoiwszy (czego nie odmówiła) i na karminy pielgrzymkę, zaczęli ją wypytywać na wszelkie sposoby.

— Już to prawda, odezwała się wreszcie zażywając tabaki Dorota, że byłam u niej, ale żebym ja ją znać miała, nie powiem tego. Takie to było skryte, smutne, a harde! Mówię harde, bo choć z człowiekiem mówiła zdaje się od serca i pocziwie, a taki zawsze nie to co myślała. Co ja jej napytałam o nią, o dzieci, zkaż ona, kto? co? jak? Bywało jak się już rozplacze, to pocnie niby coś, i jak utnie, ani już słowa nie dopytasz więcej.

— Jakżeście uważali, co to mogła być za kobieta?

— Któż to wie? Zdaje się nie prosta, taki zapewne szlachcianka. I musiała być piękna, bo i była jeszcze niczego i nie stara wcale, ale to potem przynędziało. Mówiła czysto, a trzymała się z waszecia. Pracować to jej nie bardzo smakowało, chyba już z konieczności naj-większej, a dnie i noce wypłakiwała na czem świat stoi. Pójdzie bywało na cały Boży dzień w miasto, po-

wróci, siądzie, przytuli dzieci do siebie, i płacze ta i płacze, że słowa nie dopytasz; a powtarza nad głową niebożątek: — sieroty wy — sieroty!

Raz się jakoś wygadała, że miała siostrę w War-szawie w dobrym bycie, ale dla czego do niej udać się nie chciała, nie wiem; nie mogłam tego zrozumieć. Mówiła często: poszłabym do niej, gdyby była uboga jak ja! Miała w początku coś trochę pieniędzy, ale to prędko wyszło; miała różne kosztowniejsze sprzączki, to się po-sprzedawało. Już jak do tej nędzy przyszła, o której mówicie, tego ja nie widziałam; ale to się domysleć łatwo. Chodziłam wówczas do Myślenic. Ot i po wszy-stkiem.

— Ale z których-że stron była, jak miarkujecie? spytała szewcowa.

— Któż ją wie? Zdaje się z mowy, że może od Kra-kowa. Ja z początku wzięłam ją za Podlasiankę, bo mi się wydało, jakbym ją kiedyś widziała wstępując po do-mach po drodze do Kodnia do N. Panny; ale widzi mi się, że taki od Krakowa, bo często coś o tamtejszej stronie bąknęła.

— Nikt-że do niej nie przychodził?

— Żywej duszy. Ale mnie w drogę czas, dodała Do-rota zażywając tabaki, już taki dziś po mszy świętej miałam ruszyć do Kalwarji, dokądem się ofiarowała za dusze zmarłe; a otoście mnie zatrzymali. Bądźcież pań-stwo zdrowi i sierota także, a niech wam Bóg Chrystus Jezus błogosławi i najczystsza Matka Jego.

To mówiąc Dorota wychodzić chciała, gdy szewco-wa podała jej jałmużnę, wpuściła do torby bułkę i ka-wał sera, zapraszając, aby z powrotem od Kalwarji, za-szła ich odwiedzić.

— Bóg-że wam zapłać; a komu w drogę, temu czas. — I wysunęła się żywym posuwistym krokiem w ulicę.

Trudno opisać, jak czuła i prawdziwie macierzyńska opiekę miała pani Maciejowa nad sierotą, którą wkrótce po dziecinnemu, zapomniawszy matki, przyjęła ją za własną. Serce jej otwarło się raz pierwszy nieznanemu



uczuciu, gdy usłyszała słodkim dziecięcym głosem wyrzeczone te uroczne wyrazy: Matko! Matuniu!

Przytuliła sierotę ze łzami, z wdzięcznością do bijącego serca; bo gdyby nie ona, nie posłyszalaby w życiu tych słów tak wzruszających, nie poczułaby słodkiej macierzyńskiej miłości, która ze wszystkich na ziemi najczystsza jest i najświętsza. Majster Maciej od czasu jak mu do domu przybył nowy mieszkaniec, nigdy już nawet z najserdeczniejszymi przyjaciółmi nie oddalał się na Marcowe piwo; wieczory całe spędzał z panią Maciejową przy łóżeczku w takim humorze wyśmienitym, jakiego nikt nie pamiętał. Oboje układali wesoło, jaką to przyszłość mieli obmyśleć sierocie, i nie godząc się na jedno, zgadzali się przecie w życzeniach i gotowości na ofiary z siebie.

Poczęli nawet zbierać skwapliwiej grosz, rachując że go na wychowanie Marka potrzebować będą.

Pani Maciejowa, niegdyś służąca w uczciwym domu, z którego obyczajów wyniosła nadzwyczajną pobożność, tem się odznaczała od innych swojego stanu kobiet, że nie będąc wcale przesadną i przywiązaną zbytnie do drobnostkowych form religijnych; pochwyciła sercem wiarę, zrozumiała cały jej znaczenie w życiu praktycznym. Dla niej nabożeństwo było szczególnie w uczynkach; najlepszą modlitwą spełnienie obowiązków, których naucza wiara. Prosta, łagodna, dobra, stawiała się surową, stawiała mądrą, gdy chodziło o doprowadzenie bliźniego na drogę zbawienia; o nawrócenie obojętnego, o poprawę zepsutych. Jej sprawą mąż, w początku lekkomyślny i obojętny, począł życie pojmować lepiej i spełniać ochotnie surowsze jego powinności. Czeladź majstra obawiała się pani Maciejowej, ale ją szanowała, i po krótkim czasie pobytu dziwnie się tu prawie zawsze na korzyść swą odmieniała, lub wynosiła skoro od majstra Macieja. Słowem wszystko, co ją otaczało, co jej dotyczyło, ulegało wpływowi dobremu, jaki wywierała, nie chlubiąc się nim, nie przywiązując do niego innej wagi nad tę, jaką dla niej miała sprawa wiary. O sobie i o panowanie swoje nie

szło wcale pani Maciejowej; ale chodziło jej o to bardzo, żeby nikt z bliżej jej dotykających nie zwał się chrześcijaninem na próżno. Czysty, zdrowy rozsądek i dobre serce wcześniej jej objawiły tę wielką prawdę, że religja przedewszystkiem winna się okazać w uczynkach, które są najlepszym jej świadectwem. Umiała o tem, nie przykonywając słowy, bo tegoby nie potrafiła, przekonąć przykładem swoim, i głębokiem, jakie miała, przejęciem się widnem z każdego jej kroku.

W takie to ręce dostało się biedne chłopię, a w lepsze wpaść nie mogło. Nigdzie troskliwości więcej, nigdzie zbawienniejszych nie potrafiłoby zyskać zasad nad te, jakie mimowolnie, codziennie żywiły je tutaj. Dziecię też zdawało się zasługiwać na przywiązanie przybranej matki, i odżywszy z nędzy, zapomniawszy boleści, rozwinęło się jak kwiatek od słońca.

Na bladą jego twarzyczkę wystąpił rumieniec zdrowia, zaświeciły mu oczki, zaśmiały usteczka, zabiło weselej serce; złote włoski, obmyte z prochu, utrefione, same się zwijając w pukle, stroiły piękną jego główkę. Maciejowa, nie chcąc je uczyć próżności, nie stroiła, choćby to jej sercu dogodziło; ale ubierała czysto, schludnie i po prostu, a więc wdzięcznie. Kiedy sierotka stanęła trzymając się jej sukni w progu kamienicy, nie jeden przechodzień zatrzymał się, by spojrzeć na piękne dziecko i uśmiechał się do niego. Maciejowa naówczas czuła w sercu radość nieopisaną. Często godzinę długie spędzała z wychowawcem w bocznej izdebce swej w rozmowie dziecięcej; ucząc go tych najpierwszych wielkich zasad naszej wiary, które cudem niepojętym mieszczą się w głowie dziecka zarówno i zapełniają ogromem posiwała czaszkę starca. Pierwsze chwyta je jak pokarm pożądany i pożywa z rozkoszą, nie czując wielkości tego, co mu daje; może bliższe drugiego świata czystsza jeszcze dusza, nie przeczuwa, że w starości, nad grobem, też same prawdy, też same myśli, które młodość karmiły, wystarczą przestraszając ogromem swym i potęgą, nadgrobnym dumaniom. Tu Marek posłyszał wielkie a tak proste zasady wia-



ry: wszyścmy braćmi, wszystkich bez wyjątku uko-  
chać potrzeba, wszystkim i wszystko przebaczać; świat  
przejsć jak ciemne wschody, wiedące do jasnego przy-  
bytku, nie przywiązując się do uludnych jego przyje-  
mnośtek, które piętnuje cecha wszystkiego ziemskiego: —  
znikomość. W górze zobaczył po raz pierwszy w świa-  
tłościach Boga światów, Boga ludzi, do którego łona  
ojcowskiego dusza, po pielgrzymce bolesnej, poleci spo-  
cząć na wieki. Maciejowa językiem dziecinnym, który  
odgadła, opowiedziała sierocie, że aby się tam dostać,  
gdzie wedle starej naszej pieśni.

Króluja Anieli,  
potrzeba być czystym jak Aniol.

I dodała jeszcze co zbrukać może na ziemi — wszel-  
kie uczucie nienawiści, wszelkie ukochanie siebie.  
A dziecię choć nie pojęło w początku: to powtarzało  
i usiłowało zrozumieć, że życie winno być poświęceniem.

— Dla czego mówicie poświęceniem? pytał chłopak. —  
Jakże to człowiek święcić się może, to jest zostać  
świętym?

— Właśnie przez ten uczynek, który się zowie po-  
święceniem, moje dziecię, odpowiadała mu przybrana  
matka. Człowiek przezeń świętym się staje. — A po-  
święcać się znaczy, cierpieć dla ludzi, życie dać dla  
nich, jak je dał Chrystus dla świata....

Stary Maciej często, porzuciwszy kopyto i dratwę,  
które, choć majster, dla przykładu codziennie brał w rę-  
ce; szedł przysłuchiwać się żonie i wielbić jej wymo-  
wę natchnioną. Ruszał naówczas ramionami i powtarzał:

— Mówi jak ksiądz! a tak jej to idzie jak chleb  
z masłem zjeść. Jąc przecie toż samo myślę, a żeby  
mi przyszło powiedzieć, tobym się od pierwszego sło-  
wa poplątał. Już co kobieta! to kobieta!

I przysłuchiwał się i dziwił.

Gdy przyszedł czas oddawać do szkółki Marka, zgo-  
dzili się na to oboje, że mu nauki skąpić nie trzeba.  
Niech się uczy, mówiła pani Maciejowa, rzemiosło mu  
się przyda, ale i nauka przy niem nie zawadzi.

Jakoż oddano go do najbliższej szkółki, ale nie pu-

szczając samopas, Maciej sam odprowadzał i przypro-  
wadzał do domu swego wychowawca; a do zabawy, pa-  
ni Maciejowa obawiając się uliczników, sama dobierała  
towarzyszów.

Dziecię w ten sposób troskliwie pielęgowane, dzi-  
wnie odpowiadało oczekiwaniom rodziców. Jak twa-  
rzyczka jego piękna, tak dusza była anielska. Powta-  
rzane nauki Maciejowej tkwiły w dziecku silnie, roz-  
wijaly się nagrażając w dziesięcioro pracę podjętą;  
a majster i majstrowa tak się czuli szczęśliwi ze swe-  
go dobrego uczynku, że jednej tylko rzeczy obawiali  
się, to żeby ich jaki traf, odkrycie, jaki wypadek nie-  
spodziewany, tego kradzionego, jak je nazywali,  
szczęścia, nie pozbawił.

— Uważasz Jejmość, rzekł jednego wieczora pan maj-  
ster do żony, siadając na skrzyni przeciw niej — i po-  
glądając we drzwi (bo w pierwszej izbie bawił się  
w piłkę Marek z rozwieśnikami-sasiadami) — uważasz  
Jejmość, że to od tego czasu, jak my tę sierotkę wzię-  
liśmy do siebie, nie mówię, że nam jakoś na sercu  
lekkie i ochoczko żyć, ale nawet dalipan nie wiem jak,  
choć wydatek większy, grosz płynie lepiej. Tać to u mnie,  
dodał ciszej, sto talarów w skrzyni — czego nigdy  
przenigdy nie bywało. Jak to tak pójdzie dalej, no  
no! kto wie! to się i fundusina dla chłopca uzbiera.

Pani Maciejowa uśmiechnęła się i zapytała:

— A co myślicie robić z temi stu talarami?

— Niechaj sobie leżą, rzekł szewc, nie zgniją, choć-  
by zaplesniały; a jak człowiek widzi, że jest do czego  
przyrzucac, to raźniej mu zbierać. Juściż na procent  
nie oddam, bo to najczęściej przepada.

— Tylko no uważajcie, żebyście się zbytnie do swo-  
ich talarów nie przywiązali — dodała jejmość —  
boć chłopiec, aby zdrowe ręce, zdrowe serce i trochę  
opieki Boskiej, da sobie radę na świecie.



Zostawmy na chwilę Marka pod opieką majstrowej, a spojrzymy na los jego brata.

Starościna, jak wiemy, narzuciła sierotę murgrabie-mu pałacu; zwał się on Paweł Kurek, i liczną był obarczony familją, bo siedmioro dzieciak związały się w ciasnych dwóch izdebkach, które zajmował na tyle kamienicy. Był to człowiek już nie młody, od kilku dopiero lat żonaty, którego żona piękna, zalotna i wyszczekana, trapiła niemiłosiernie zarówno powiększaniem familji, kłótniowością i rozrzutnością.

Paweł Kurek, który za grzechy swoje ożenił się ze służącą Starościnej, skąpy był niesłychanie: nowe więc jego życie po ożenieniu stało się przy zwiększających wydatkach, nieopisaną męczarnią, a dom zawrzał nieustanną kłótnią i swarem nieznośnym. Panna Róża, dopóki starała się o pana Pawła, udawała tak ciche, potulne i skromne a oszczędne stworzenie, że podżyty murgrabia ani się domyślał, co go w przyszłym poży-ciu z tym aniołkiem czekało. Złakomiał się na kilkaset talarów posagu panienki, a może i podkochał trochę; dopiero po ślubie postrzegł, że sprzedał swoją spokoj-ność i kupił domowego prześladowcę. Pani Pawłowa bowiem dawszy mu siedmioro potomstwa, stała się sto-pniowo wprawdzie, ale niemniej niespodzianie, z anioł-ka szatanem wielonym. Całe dni kłócili się o każdy grosz, bo Kurek był niesłychanie skąpy. Pani Kurko-wa niewypowiedzianie przywykła do szastania groszem. A tu w dodatku, żeby odziać tylko jako tako i nakar-mić siedmioro piskląt w mieście, już nie mało kosztowało. Wyłysiał pan Kurek, a z ciągłej kłótni i niepo-koju poburzona żółć zalała mu oczy i poczerwiniła ko-niec nosa.

Pani Róża zaś jakby w swoim żywiole była, wy-piękniała tylko, wybielała i zdawała się odmładzać. Koło niej nieustannie kręcili się gachowie, co wieczora tańce, co dzień czegoś potrzeba, to do stroju, to do ge-by, to dla dziecka, to dla oka ludzkiego. Kurek się wściekał, ale wyklóciwszy przepotęźnie, wytargowawszy jak żyd, gdy mu oka zmrużyć i odetchnąć nie dawała

żona, wchodził w kompromis i padał najczęściej zwy-ciężony. Naówczas pogłaskała go pod brodę pani żona i do jutra dawała pokój. Pan Paweł zaczynał wyrzucać na oczy Róży jej zalotność, ona mu jego zazdrość i skąpstwo; on ją nazywał gadziną, ona jego szatanem i piekielnikiem; a tak nakławszy się, nałajawszy, na-szturchawszy czasem nawet, rozchodzili się na chwilę, by ku wieczorowi rozpocząć drugi akt dramatu, który się kończył późno w noc łataną zgodą do ranka.

Dzieci mając tak piękny przykład przed oczyma, wyrastały na wisieleców.

Trzema synami i czterema córkami cieszył się już pan Kurek; ale że matka i ojciec nie mieli czasu zaj-mować się niemi; niania, kucharka i ulica ich wycho-wywała. Wypędzano tę trzodkę jak skoro kto z gości przyszedł, pozbywano się jej pozwalając skrećć kark na wschodach i wałęsać po mieście, pani Róża bawiła się, pan Paweł grosz zamykał chowając klucz starannie, co nie zawsze pomagało. Działwa szalała gdzie chciała i jak się jej podobało.

W takie to ręce powierzyła pani Starościna sierotę, którą tylko kiedy niekiedy pokazywać sobie polecając, całkiem zdała na dawną sługę Różę. Pani Kurkowa przyrzekła, że sieroty pilnować będzie jak własnego dziecka, co też sumiennie spełniła, bo je puściła, jak własne dzieci, na opatrność Bożą. Ubierano tylko schludniej Jasia, gdy go do Starościnej prowadzić miano, co rzadko się trafiało; zresztą wołała murgrabina prze-znaczone sierocie suknie i wygodki własnym dzieciom oddać.

— Dobrze temu znajdzie i tak, mówiła; — niechaj Panu Bogu dziękuję, że ma chleba kawałek.

Mały Janek służył dzieciom pani Pawłowej za pie-ska lub kotka, które nieopatrzni czasem rodzice dają do zabawy swoim ulubieńcom. Męczono go co wlażło; na jego głowie uczyli się serów, na jego nosie pstrycz-ków, na jego bokach szturchańców. Gdy spał puszcza-no mu dym w nos, gdy jadł rzucano popiół do miski, a pani Róża cieszyła się dowcipem miłych swych dzie-



tek. Pan Paweł nigdy i nie spojrzał na sierotę, choć najregularniej dopominał się co miesiąc o kika talarów wyznaczonych na jego utrzymanie.

Przy najmniejszej zreczności, jak na przykład gdy Janek odważył się odepchnąć bijące go murgrabięta, ogromna różga brzozowa wznosiła się nad nim z przerażającymi swemi kościstymi kształtami. Czasem karano go głodem, czasem policzkowano dla prędszego wymiaru sprawiedliwości, lub targano za włosy.

Biedne dziecko oswoiło się z tem życiem męczarni, ale kosztem uczucia i głowy. Przybite, znędzniałe, smutne, dzikie, tuliło się w kącie podwórza samo jedno, aby uniknąć razów i bolesnych napomnień, i zasiadłszy gdzie pod rynną liczyło godzinami krople deszczu z dachu spadające. — Ale i tu wyszpigowany Janek, chwycony za rękę, ciągniony jak winowajca do pani, obity był za to, że się z dziećmi *bawić* nie chciał. Musiał więc wracać do milego ich towarzystwa.

Gdy przyszło Janka prowadzić do Starościny, co się trafiało mniej więcej raz lub dwa razy w roku, umyty, uczesany, i zagrożony sierota, przedstawiał się pani mileczący, ogłupiony, ale przynajmniej podobny do dziecka utrzymanego starannie. Pani Róża przysięgała się, że go sama czesze, myje, kocha niezmiernie, i swoim odejmuje dla niego, całowała go w przytomności Starościny, a chłopiec choć bał się jej jak ognia, musiał przyjmować te kłamane uściski. Starościna zwykle dawała Różę podarek, a dziecku zabawkę lub co słodkiego, wnet na wschodach odebrane przez troskliwą piastunkę.

Powróciwszy do mieszkania Róża rozbierała sierotę, chowała suknie, i wypychała ją za drzwi.

Teraz powiedzmy słówko o Starościny, którąśmy zaledwie postrzegli z daleka, a z którą bliżej zapoznać się musimy. Starościna Mylżyńska należała do liczby dość znacznej osób, które na świecie żywym doznały tak dziwnych losów, iż w powieści wydają się one prawie nie podobnymi do wiary. Każdy z nas czytając lub słuchając opowiadania, podziwia się w niem temu, co

w życiu spotkał nieraz, o co się otarł świeżo. Prawda najwięcej bywa nieprawdopodobną; — dla czego? bośmy do zbyt pospolitej prawdy przywykli; a ona jest tak rozmaita, tak dziwnie wielotwarzą, jak życie.

Starościna należała do tych, których losy zdają się bajką dla zabawki zmyśloną. Lecz nim poznamy ją bliżej, musimy powiedzieć coś o Staroście Mylżyńskim. — Jan Krzysztof Pobóg Mylżyński był potomkiem dobrej szlacheckiej rodziny, pochodzącej z Krakowskiego. Jak wiele innych, i ta pod koniec panowania Augusta III. zubożała była i zabierała się zniknąć z Herbarza, ostatni jej potomek Jan Krzysztof sierota, w niemowlęctwie został pod opieką dwóch wujów, największych łotrów, jakich świat widział kiedy. Najbliżsi krewni z prawa natury zostali opiekunami Jana Krzysztofa, któremu ojciec umierając zostawił majątność rozrzuconą, w procesach, długach, sporach i kwestjach nierozwikłanych.

Wujowie, którzy się nienawidzili wzajemnie jak bracia, których całe życie było walką zajądlności pełną, nie chcieli dozwolić jeden drugiemu zostać opiekunem wyłącznym młodego chłopca, którego szczytki majątkowe łatwą były zdobyczą. Oba przeszkadzając sobie, tyle uczynili, że ich oznaczono opiekunami; i Bóg chciał, by wzajemnie sobie na przekór robiąc, nic złego powierzonej sierocie zrobić nie mogli; owszem jak skoro jeden wyciągnął rękę po sieroce ostatki, drugi ją chwycił i wstrzymywał, tak, że co na zgubę służyć miało, ocaliło przynajmniej resztę majątności Jana Krzysztofa.

Dwaj wujowie wzajemnie się nienawidząc, w opiece znaleźli powód dojadąć sobie, czekając oba, by jednego z nich śmierć zabrała.

Ale śmierć ma to do siebie, że nigdy proszona nie przychodzi, najdłużej żyć zwykli ci, których trują i zabijają. Tak się i tu stało, oba panowie wujowie upatrując na sobie znaki blizkiego zgonu, dożyli do pełnoletności siostrzeńca i jeden drugiego pilnując, zdali rachunki ściśle Mylżyńskiemu, któremu Bóg z dwójga złych ludzi, utworzył cudownie doskonałą opiekę.



Opieki tej jednak cała doskonałość ograniczyła się zabezpieczeniem od rozgrabienia fortunki sieroczej i postawienia jej w daleko lepszym stanie, niż była za życia rodziców. Opiekunowie na wyścigi robiąc sobie psikusy, pokończyli procesa, popłacali długi i uporządkowali spadek, w nadziei, że gdy który z nich przeżyje brata, naówczas zagarnie sobie pozostałość z pod nosa sierocie. Pan Jan Krzysztof Mylżyński wielce opuszczony i zaniedbany pod względem moralnym, wychował się naprzód w domu własnym, gdzie mu dano nauczyciela; potem był niestrzeżony na łasce Bożej w szkołach publicznych w Krakowie; nareszcie doszedłszy pełnoletności, z dobrej woli zapisał się do wojska. Młodość jego była, jak zwykle ludzi zostawionych sobie i swym instynktom, burzliwa, pełna dramatycznych wydarzeń, hulacka i wesoła. Nie wiem jak się to stało, że na Sejm został wybrany Posłem, i mandat swój spełniając pojechał do Warszawy. Tu znalazł dalekich krewnych ojca na wyższych szczeblach towarzystwa, między tak nazwanymi Panami. Zmuszony zbliżyć się do nich w zetknięciu z nimi rozwinął w sobie panującą namiętność, która od tej chwili wzięła górę nad innymi — tą była żądza wzniesienia się. Kupiono jego głos i współuczestnictwo Starostwem; zawróciła mu się głowa, i dotąd marząc tylko o Kasztelanji, o krześle, o dalszych a dalszych honorach, Mylżyński począł twarzyć żywot dumnego, który się musi płaszczyć z jednej strony, by nadać mógł potem z drugiej. Małżeństwo było u nas zawsze jednym ze środków podniesienia się; ono wiązało solidarnie rodziny z rodzinami, zapewniało jednym sług, drugim protektorów.

Jan Krzysztof nadto znał świat i ludzi, żeby na nie wiele nie rachował; ale tu przeciwko jednej panującej namiętności, wystąpiła druga niemniej silna i potężna. Jan Krzysztof słabym był dla kobiet i łatwo go było piękną twarzą poprowadzić dalej niż chciał i powinien był pójść. Pojechawszy w Krakowskie do rodziny matki i majątku, spotkał w ubogim domku szlacheica zagonowego, dziewczę śliczne, miłe, zalotne, żywe, które,

wcale nie myśląc o ożenieniu, bałamucić począł. Było ich dwie córki u starego ojca bez matki; jedna piękna, figlarna Elżusia, druga smutna a piękna Tekla. Lutyński szlacheicę wiódł życie czysto szlacheckie, od zagona i pluga przesiadając się na koń, z konia zsiadając do procesu, proces rzucając dla sejmików i spraw publicznych. Rębacz, zawadja, gaduła, niewiele patrzył na córki, raz im powiedziałwszy, że broń Boże jakiej swawoli, łby im poucina, resztę zostawiał własnemu ich kierunkowi. Zawsze zajęty, wiecznie potrzebny wszystkim, chwytany na wszystkie strony, stary Lutyński, którego konopiaty wąs ogromnych wymiarów, dwa razy koło ucha się zakręcał, w domu był rzadkim gościem. Dwie córki gospodarzyły jak mogły, bały się go niezmiernie, szanowały i wdychając poglądały w świat, któryby smakował im, gdyby miały nadzieję kiedy wylecieć nań swobodnie. Ale stary mawiał, że starszej nie wyda rychło za mąż, bo mu dobrze gospodaruje, a młodziej nie puści przed starszą wedle obyczaju; nie spodziewały się więc rychło skosztować świata. Starsza Elżusia była prawdziwie piękną: nieporównany wdzięk dawała jej trzpiotowata żywość, dowcip, śmiałość, jakaś instynktowa ludzi znajomość, odwaga we wszystkich wypadkach i ufność w siły własne. Młodsza przeciwnie, nieśmiała, trwożna, smutna, w innym rodzaju była równie piękną, a może od pierwszej piękniejszą.

Dla Jana Krzysztofa, którego folwark graniczył z szlacheicą zagrodą, starsza musiała wziąć prym przed Teklą, zalotnością, śmiałością, wesołością i wyzywającą postawą, która się najlepiej ludziom namiętnym podobać umie.

Jan Krzysztof korzystając z częstych wycieczek Lutyńskiego, same zastając obie sieroty, począł dojeżdżać wieczorami do Elżusi. W głowie mu nie postało, żeby on, pan Starosta, jutro może choć drażkowy Kasztelan, mógł się z zagonowego szlacheica córką ożenić; bawił się i mówił sobie: — Co to komu szkodzi?

Ale zabawa z początku niewinna, stała się wkrótce niebezpieczną. Elżusia postanowiła schwytać pana Sta-



roście i umiała sobie radzić. Naprzód ośmieliła go, przyciągnęła, podnieciła, a uwinawszy dobrze w sidła, gdy już miarkowała, że się cofnąć nie potrafi, dała umyślnie do uszu ojca dójsć wieści o miłostkach z starostą.

Spodziewała się że ją ojciec wybiję, ale była pewną, że ją też za starostę wyda. Tak się właśnie stało: w pierwszym gniewu zapędzie potężnie ją bizunem wykropiwszy, co ona zniosła stoicko, siadł na koń pokrećwszy węża pan Lutyński i pojechał do Żalic. Tu stanawszy przed starostą powiedział mu z otwartością brata szlacheica, że jeśli się z córką jego, której sławę uszczerbił, nie ożeni, jak psu mu w łeb strzeli.

— I nie myślcie mi uciekać, dodał, znajdzie waszmości, panie starosto, w Warszawie, w Wilnie, w Kijowie i na drugim końcu świata, a jakim szlacheic, tak mi Boże dopomóż, w łeb strzelę jak wścieklej sobace. A co myślicie, że to córkę szlachecką podwieść nie? że to się zapłaci, zatrze, nagrodzi? Zjesz waść sto djabłów z ogonami — musisz się ożenić.

Panu starościu w głowie nie powstało, żeby się mógł ożenić z Elżusią, kazał nazajutrz konie zaprzadź i dmuchnął. Stary Lutyński wsiadł na siwosza i dalej za nim; dognał go na pierwszym noclegu, złażał okrutnie i tak nastraszył, że Jan Krzysztof dla kombinacji, jak mówił, zawrócił się. Ale kombinacja z upartym wążaczem była trudna.

— Jechał cię sęk! wołał, ja twojego majątku nie chcę, mam kawał chleba i nie potrzebuję datku. Kiedyś się miłował, to żęże się bestjo, a nie to ci w łeb strzelę, tak mi Boże dopomóż!

Starosta zobaczył dopiero, że nie przeliwki, i począł brnąć do namysłu; dano mu trzy dni. Próbował uciec, ale bracia szlachta Lutyńscy, których miał na zawołanie jako głowa domu pan Łowczyce wężaty, pilnowali go gdyby we łbie oka. Zgryziony, zły, wściekły, Jan Krzysztof rad nierad musiał się zgodzić na ślub. Sądził że obiecawszy ożenienie, potrafi zwlec, załagodzić tę sprawę i potem się z niej wypłatać. Ale Lutyński stary ani chciał słuchać o odkładaniu. Jan

Krzysztof widząc skompromitowaną całą przyszłość swoją, aż się rozchorował śmiertelnie. Wążacz przywiozł mu doktorów, sam u łóżka pilnował, i tak dobrze, że starosta musiał wyzdrowieć.

— Zje sto djabłów z ogonami, mówił kręcąc węża, nie umrze bestja póki się nie ożeni, to darmo.

Starosta z łóżka poszedł do ślubu, tak zgryziony, że się dał złapać, iż żał było patrzeć na niego. Elżusia przeniosła się do Żalic, a małżonek rzuciwszy ją w samotnym, opuszczonym dworze, uciekał do Warszawy. Tam już się wieść rozchodziła o jego dziwnem małżeństwie, i rodzina co go protegowała, osadziła zgubionym, jeśli się nie rozwiedzie. Na rozwód wszakże zezwolenia żony potrzeba było, a Elżusia nadto była piękna, zalotna, przebiegła, żeby dozwolić miała na to wypędzenie z raju, do którego gwałtem weszła. Żył przymem stary Lutyński, i na pierwszą o rozwodzie wzmiankę pojechał zapowiedzieć zięciowi znowu, że mu w łeb strzeli, i że zje sto djabłów z ogonami, jeśli potrafi dokazać, żeby się rozwiodł póki on żyje.

Nie było sposobu; starosta musiał się pogodzić ze swoim losem i cierpliwie czekać śmierci zawadjaki, na którą już jedynie rachował.

Tymczasem w ślad za nim przyjechała żona do Warszawy. Wielkie było podziwienie starosty, gniew, skłopotanie, ale naszamotałszy się napróżno, gdy widział, że jej nie wypędzi, uciekł w Krakowskie. Starościuina została w Warszawie.

Mężczyzna z niższego stanu do lepszego bytu i towarzysztwa podniósłszy się, rzadko potrafi zetrzeć z siebie cechy pierwszego życia; kobieta, zwłaszcza kiedy ją Bóg obdarza taką jak Elżusia zwrótnością, dowcipem, wdziękiem i chęcią zrównania się z nowem położeniem, zmienia się jak gasienica w motyla. Nie wiem jak do tego przyszło, lecz gdy wynudziwszy się w Krakowskim, pan Jan Krzysztof przybył do Warszawy, nie poznał swojej Elżusi.

Była ona już JW. Starościuina Elżbietą z Lutyńskich herbu Bróg Mylżyńską; wszyscy ją przyjmowali, męż-



kie towarzystwo unosiło się nad jej nieporównaną pięknoscią; wyuczyła się po francuzku, nabrała tonu wielkiego świata, słowem stała się inną kobietą.

Zdziwiony pan starosta powoli pogodził się z żoną, potem zazdrością pobudzony wrócił do pierwszych uczuć dla niej, nareszcie w ostatku dał się jej zawojować zupełnie. Dziwnym wypadkiem ta, która miała być przeszkodą do wzniesienia się dla starosty, obiecywała stać się narzędziem wielce użytecznem. W owej epoce w Warszawie wszystko lub prawie wszystko robiło się przez kobiety i pieniądze. Piękna twarzyczka jednała możnych przyjaciół, krzesła, ordery i honory; cóż gdy do bardzo pięknej twarzyczki przyłączył się dowcip cudnie rozwinięty, zalotność uroczą i zawsze gotowa dla wszystkich, zimne serce a gorąca głowa? Starosta podziwiał się żonie i nie pojmował, jakim sposobem on teraz wychowaniem, tonem, obejściem, stał daleko niżej od niej, i gdzie ona grała pierwsze role, ten za gburą prawie uchodził? Tak było!

Stary Lutyński, który dożył tej zmiany i Elżusia rączki całował, unosząc się nad nią, był jedynym kłopotem starosty. Odwiedziny jego przypominały mu jedną z najprzykrzejszych chwil w życiu i sprowadzały go do niskiego stanu, z jakiego wziął żonę. Ale i tym macającym pokój domowy ukazywaniom się ojca, Elżusia potrafiła zapobiedz, i tak starym władała, że się nie ukazywał w salonie, a ukazując niekiedy, przybierał przyzwoitą postawę. Nareszcie Lutyński umarł; a z siostrą Teklą co się stało, Elżusia albo nie wiedziała, lub udawała że nie wie; to pewna, że o niej nie wspominała nigdy.

W chwili, gdy się nasza rozpoczyna powieść, staroscina władała już samowładnie mężem, który podstawszy stał się pierwszym poddanym pięknej królowej, i resztę swej niepodległości za rzadki umizg przedawał. Sterany, znużony pan Jan Krzysztof ostatnich życia zozkoszy szukał na dnie opleśniałych butelek i w dymiących półmiskach, bawiąc się jak mamidełkiem to nadzieją orderu, to obietnicą krzesła, które mu żona

wyjeżdżać miała. Elżusia panowała w domu i sławną była pięknoscią na dworze Stanisława Augusta. Należało do dobrego tonu kochać się w staroscinie, to jest chwilę z ciekawości, drugą z nudy, trzecią z nałogu. Zastąpiła tę jednodniową królową inna; ale Elżusi pozostało dosyć jeszcze poddanych i wielbicieli, a laska królewska nie zupełnie odsunęła się od niej. Piękność pastelowa Elżusi, unieśmiertelniona minjaturą Lesseur'a i portretem Marteau, była naówczas w największym może blasku. Nie straciła była jeszcze świeżości dziewiczey prawie i dziwnie naiwnego wdzięku twarzy, która zepsucie głębokie pokrywała maską niewinności młodzieńczej, a sztuka, a wprawa, a próżność, nowych jej dostarczały broni. Nikt nie ubierał się tak jak staroscina, nikt tak spojrzeć nie umiał, żeby w jednym spojrzeniu całą zda się wyszafować duszę, nie dając jej w istocie; nikt nad nią nie był weselszy, śmielszy, zalotniejszy i powszechniej uwielbiany.

Kilka pojedynek nowym ją okryły blaskiem, a najświetniejsze towarzystwo Warszawy cisnęło się na jej niedzielne wieczory. Starosta grał na nich zwykłą rolę męża powolnego pięknej kobiety, kłaniali mu się wszyscy, ściskali go, całowali, kochali, zapraszali, obdarzali, pieścili; a ten słodki byt wkrótce tak mu przypadł do smaku, że się w nim rozparł, rozgościł i innego nie żądał. Zmuszony będąc zazdrości nieustannie, i widząc że na to sił mu nie wystarczy, przestał zupełnie uważać na zalotność żony. Wiek też był po temu, i zazdrość zupełnie nie modna; śmiano się z mężów natrętnych, a śmieszność większa może przywijała się do zazdrośnych niż do zdradzonych. A staroscina? Staroscina płynęła wielką rzeką życia na ustrojonym statku, wśród muzyki, wśród kadzideł strojna, piękna, wielbiona, królowa, zawsze równie dowcipna, coraz bardziej zepsuta, i przebiegła, i zimna, zimna jak kamień. Płakała łatwo, gdy intryga tego potrzebowała, ale nigdy szczerze, chyba nad sobą, bo kochała tylko siebie.

Serce jej dla niej samej było nierozwiązaną zagadką.



Była ona jak ślepy, który nie pojmuje czemu oczyma. któremi drudzy widzą, nie zobaczyć nie może; pytała się życie całe, czemu tem sercem, którem drudzy czują, ona uczuć nie potrafiła? Ztąd może te tysiączne próby w życiu, te miłości coraz nowe, które poczynając się obiecywały coś, a kończąc się zawodziły zawsze. Serce bić nie chciało. Biedna była Elżusia, to, co drudzy okazują, bo mają w sobie, wyuczona pokazywała tylko, choć nie miała. Tak właśnie kochała, jak mówią papugi, nauczywszy się formy kochania, nie znając co to było w istocie. Może wszystkich mniej więcej historia ma źródło w temże, co Elżusi stanie duszy niezwykłym.

By ją głębiej poznać, trzeba ją było widzieć, gdy po trzpiotowatej rozmowie, po wesolych umizgach, po całym wieczorze, przez który odegrywała swoją biedną rolę, wróciła do sypialni sama z sobą. Naówczas znikała wesołość, rozplýwał się uśmiech, gasły oczy, a na miejscu żywej, pięknej i ognistej starościny (nosiła bowiem to nazwanie jakby na szyderstwo) pozostawał piękny jeszcze, ale posąg bez życia, bez uczucia, bez serca. Wyszedszy z tego kręgu szalów i wiru salonu, padała jak automat, w którym pękły sprężyny. Nie jej nie bawiło, nie nie cieszyło, nie nie porywało, nie była ciekawa niczego, więc pożądać nie mogła; świat dla zmęczonej a nienasyconej był jeszcze tak nowy, jak w pierwszej chwili życia; wszystko tajemnicą, zagadką, złudzeniem. O jak nieraz zazdrościła nawet cierpienia, którego doznać nie mogła, zarówno jak rozkoszy. Dodajmy do tego, że w miarę niemożności nasycenia nieokreślonego pragnienia, pragnienie to powiększało się, potęgowało, wzrastało, podnosiło i z wiekiem czyniło coraz gwałtowniejszem.

— Jakto? wołała w rozpacz, miałabym umrzeć nie doznawszy nic, nie skosztowawszy niczego, w oczach ludzi przesycona, w głębi siebie spragniona jak dziecko? Miałabym umrzeć z tem pragnieniem palącym?

Nazajutrz starościna rzuciła się w zamęt życia, szukała człowieka, aby jej dał poznać uczucie, płatała

się w nowe miłości, rozsnuwała nowe nadzieje, i doszedłszy do końca, znajdowała ten sam zawód, którego doznała sto razy?

A świat miał ją za szczęśliwą!

Nieraz pragnęła być matką, żeby serce zabiło choć tem uczuciem, nowem dla niej, jak inne; ale Bóg odmówił jej i tego. Piękna Elżusia męczarnie piekielne znosiła, ubrana w różę, uśmiechając się i śpiewając; rozpacz siły jej dwoiła..

Starosta jadł, pił, spał i cieszył się przyszłą kasztelaną. Takie było życie opiekunów Jana sieroty, gdy los rzucił go pod te drzwi złoczonej nędzy.

Długo Jan zostawał u murgrabiego w poniewierce ciągłej, gdy wypadek zwrócił na niego oczy pani starościny.

Raz około południa wyjeżdżając z pałacu swego na mszę, postrzegła dziecko odarte, wychudłe, blade, do żebraczka podobne, siedzące na kamieniu pod ścianą i płaczące gorzkiemi łzami.

Była to dla starościny jedna z tych chwil zmęczenia i nudy, które przychodziły często podwajając jej męki. Machinalnie zatrzymać się kazała, poczęła rozpytywać dziecko i dowiedziawszy się, że to jej wychowanec tak opuszczony i sponiewierany walał się w ulicy, odebrała go od murgrabiego, kazała przebrać na nowo i poczęła myśleć coby z nim zrobić.

Z wielkich nudów przyszło do tego, że sama zażądała doziarać dziecięcia, postawiła je w pustym dotąd pokoiku obok siebie, i poleciła bliższy dozór jego kamerdynerowi i pierwszej swej służącej.

Dziecko sądziło, że się dostało do raju. — Jak te trawy żółtkłe, które jeden uśmiech słońca i kropla rosy wyprowadza z ziemi zielonością strojną, tak Janek rozkwitł rumieńcem, weselem, pięknnością nagle i niespodzianie. Z chorowitego dziecka stał się aniołkiem wdzięcznym, i starościna ubrawszy go za pазią, poczęła go puszczać do salonu, bawiąc się sierotą, jak się bawiła bonończykiem, angorą, papugą i sroczką.

Dziecię nagle rozpieszczone w najosobliwszy sposób,



karmione cukierkami, pojone winem, rozweselone, rażne, szczęśliwe, doskonale bawiło znudzoną starościny i jej gości. Wczesna nędza, potem pieszczoty, uczyniły zń dziwne w istocie stworzenie: nie było to właściwie dziecko, ale twarz aniołka a zepsucie szatanka: podszeptywano mu przekasy, uczono go odegrywania małych scen, w których Janek przedstawiał wybornie postacie śmieszne dworu i stolicy, i sława Janka starościny wzrosła do tego stopnia, że sam król zażądał widzieć to małe чудо. Janek miał szczęście rozśmieszyć do łez Króla i Mości w chwilach, kiedy najtrudniej było o uśmiech na królewskiej twarzy, dostał piękny podarek, i odtąd pozyskał stałą sławę dziecka cudownego w Warszawie. W istocie pociesznie było widzieć ośmioletniego chłopca, przybranego jak dorośli, a coraz w innym stroju, odegrywającego rolę codzien inną i codzien nabierającego więcej złośliwego dowcipu.

Nie było wieczora u starościny bez Janka; Janek leżał u nóg jej razem z bonończykiem, lub opychał się ciasteczkami w kącie, potem na zawołanie, pochwycony przez kobiety, wyściskany i wycelowany, występował na środek sali i *udawał* nieprzytomnych gości. Stosowną do roli dawano mu suknię, których niezliczoną rozmaitość sprawiała starościna; a malec dumny, wypieszczony, podniecany i nieszanowany wcale przez ludzi zepsutych, nad wiek i spodziewanie zepsuty przez nich, potworną sprzecznością twarzy z mową i ruchem, ubawiał trudnych do zabawienia ludzi. Reszta życia spływała mu wśród służących, którzy dla podobania się pani wyuczali go i piosneczek, i przekleństw, i konceptów, jakich może nigdy jeszcze usta dziecięce nie wyrzekły. Janek uczył się wszystkiego w lot, z niesłychaną do złego skłonnością, rzekłbyś że przeczuwał to wszystko, i dość mu było napomknąć nieco, by resztę się domyślał, by ją dorobił i przyswoił sobie.

W istocie zdolności były nadzwyczajne, ależ w jaki je obrócono użytek!

Nikt z tych ludzi, co się śmieli z Janka, ściskając go i całując, nie pomyślał, że wszyscy potroszę kamień

mu do szyi wiąza. Sama opiekunka nie troszczyła się wcale co z niego będzie, była pewna, że na świecie da sobie radę, i prorokowano mu nadzwyczajne losy.

Janek rósł szybko, kształcił się dziwnie, i doszedłszy dwunastego roku, przedwcześnie dojrzały, przekwity, sterany, ale pojętny, przebiegły, sprytny niezwykle, z dziecka cudownego wyrósłszy na chłopaka, zapomniany przez tych, co zmarnowali jego dzieciństwo, wcisnął się, nie bez upokorzenia i przykrego uczucia, między sługi starościny. Ładna twarz i wiele zdolności czyniły go już tylko potrzebnym i znośnym. Niekiedy Elżusia, zawsze piękna jeszcze, spoglądała na niego zamyślona, jakby dumiała co z nim zrobi; ale to nigdy nie trwało długo, i chłopak walał się w przedpokoju po dawnemu.

Szczęściem czy nieszczęściem, początki, jakie mu dano, zaszczyty w nim dumę, wysokie o sobie pojęcie i pragnienie wybicia się z tłumu. Miał wiele wolnego czasu, zaczął uczyć się czytać i pisać, a raz dorwawszy książek, na których czele stał Idzi Blas i Rinaldo, przewrócił sobie głowę do ostatka. Przypominając sobie dziecinne swe tryumfy, uściski możnych, ich dary, oklaski, pochwały; dziś upadły i zapomniany, postanowił czemś się koniecznie odznaczyć, dojść do czegoś. Starościna zajęta sobą, już o sierocie niewiele myślała, a w jej przekonaniu, dając mu odzież, jadło i dostatek, obchodząc się z nim łagodnie, już była od wszelkich innych obowiązków dla niego swobodną. O nauce, o zapewnieniu mu losu nie myślała; ale on myślał za nią i za wszystkich o sobie. W piętnastym roku życia był to już prawie człowiek, dla którego świat nie miał tajemnic, bo są tajemnice dla wychowanych w przedpokoju zepsucia? Gorące żądze młodości zużył przedwcześnie; starość chłodną ręką już mu ścisnęła serce, gdy jeszcze puszek ledwie zarastał na twarzy. Kosztem serca i uczucia paliła się głowa.

Jako środki do dumnych swych celów, miał twarz piękną wcale, bystrość umysłu rzadką, śmiałość niepokonaną i gorącą żądze zostania człowiekiem. Janek



bowiem Panów tylko nazywał ludźmi. Los jego i pochodzenie zamiast go ochładzać, rozgrzewały go jeszcze; wiedział, że był sierotą, ale nie znając swej matki, ani ojca, bo go inaczej jak Jankiem nie nazywano, nadawał sobie pochodzenie wielkie (mając do wyboru jakie chciał), marzył o przyszłości bajecznej, o przyznaniu się do niego Książąt i t. p. Od dawna postanowił wynieść z upadającego przedpokoju i rzucić galonowe suknie, ale nawyknięcie do dobrego bytu, nieumiejętność dania sobie rady, odwoziły go jeszcze od tego. Przypadek przyspieszył (my to nazywamy zawsze przypadkiem co daleko rozumniejsze jest od nas), wyzwolenie Janka.

Po śmierci skąpego murgrabiego Pana Pawła Kurka, dla którego miał najżywszą nienawiść Janek, pozostały papiery, które przenosząc ze stoła na stół, przerzucając z kąta w kąt, złożono w izdebce, którą zajmował Janek. Nie mając co robić przerzucał je.

Tu natrafił na kopię swej metryki i ślady swego pochodzenia, stwierdzone przez Ojca Serafina przy oddaniu w opiekę dziecięcia Pani Starościny. Głowa mu się zapaliła. Imię Tekli Lutyńskiej, utkwilo w jego pamięci; a że Starościna była z domu Lutyńska, wpadł na myśl pokrewieństwa z nią, w której utwierdziło go przyjęcie do tego domu. Długo miotał się sam na sam z tą myślą, aż nareszcie jednego poranka, wszedł z papierami w rękę, do pokoju Starościny.

Elżunia jeszcze piękna, jeszcze zalotna, mimo zbliżania się do tej pory, w której kobiety wszelkie prawa do zalotności tracą, spoczywała na berzerce wystrojona tem staranniej im więcej teraz strój dla niej był potrzebny. W trochę umyślnie przyćmionym pokoju, nie powiedziałabyś że ma więcej nad lat dwadzieścia kilka; tak jeszcze była świeża, tak zgrabna, tak pozornie młoda. Kobiety bez serca mają zawsze ten przywilej długiej młodości.

— Czego chcesz Janku? spytała niedbale rzucając książkę na krzesło blisko stojące. Janek trzymał

papiery w rękę, milcząc podał je Starościnnie, ona z podziwieniem mierząc go oczyma przejrzała je i nie pojawiając o co chodziło zwróciła mu z nowem zapytaniem:

— Czego chcesz Janku?

— JW. Pani, to imię mojej matki nosi Janek, wskazując metrykę.

Starościna splonęła i porwała się z berzerki.

— Cóż z tego? spytała.

— Moja matka nazywała się Tekla Lutyńska, dodał Janek z wielkiem i widocznem wzruszeniem.

— Być może! odparła Starościna, ale cóż z tego?

— Nic, odparł młody chłopak przyklękając i całując w rękę opiekunkę — chciałem tylko zapytać Pani, kto była moja matka? i czy gdzie w świecie mam jakich krewnych?

Starościna która się nie spodziewała tego obrotu rozmowy, zmieszała się trochę, spojrzała w oczy Jankowi i zatrzymawszy się chwilę, odpowiedziała:

— Nie wiem — nie wiem! alboż ci tu źle u mnie alboż byś chciał szukać gdzie nowej familji?

— Nowej! nie — ale Pani ja nie mam żadnej a nie mieć żadnej — o! ciężko!

— Janku! odważnij poczęła piękna pani, bądź szczerzym, inną myśl miałeś przychodząc tutaj: nieprawdaż?

Janek z kolei się zmieszał.

— Ty wiesz, że i ja zwałam się dawniej Lutyńska, nieprawdaż?

— Wiedziałem o tem, rzekł Janek z cicha.

— I myślałeś.

— Daruj JW. Pani, śmiałem pomyśleć, żeś mnie przytuliła sierotę, przez pamięć na jakie pokrewieństwo.

Starościna poprawiała sukni i włosów głęboko się zamyślając: ciężko jej było wyrzec kłamstwo i pochyliła rachować czy się ono przyda na co prócz chwilowego zaspokojenia jej dumy, czy go co później nie wyjawi.



— Słuchaj, odparła nareszcie poważnie — Lat temu dziesięć będzie jeśli nie więcej, ścisk ludu zatrzymał mnie w ulicy jadącą do kościoła, w tym ścisku ojciec Serafin kapucyn, znalazł się szczęściem. On mi wytłómaczył dla czego tyle ludu zebrało się pod biedną kamienicą starego Miasta. Uboga jakaś kobieta umarła w tym domu, zostawując dwoje opuszczonych sierot, niewiedząc kto były te sieroty, wzięłam z nich jedną na wychowanie, ty jesteś tym sierotą. Z papierów dowiedziałam się żeś syn jakiejś Tekli Lutyńskiej, nie wiem nie więcej.

— Nie wiesz Pani kto była matka moja? spytał niedowierzając Janek.

— Wiem i nie wiem; odparła odważnie i zniecierpliwiona Starościna. Powiem ci wszystko: miałam siostrę Teklę, która znikła nie wiem jak i gdzie.

— Więc moja matka mogła być siostrą Pani?

— Mogła, lecz na świecie wiele jest Lutyńskich a zwłaszcza w Krakowskiem, a nie pojmuję jakby siostra moja mogła umrzeć w takiej nędzy, nie zgłosiwszy się do mnie. Wiedziała, że byłam w Warszawie, gdyby była tą siostrą moją, dla czegożby nie przyszła do mnie?

Janek uczuł się tą szczerością Starościny rozstrojony i zrozpaczony; i mówiła z takim wyrazem prawdy, że musiał jej wierzyć! Spuścił głowę i zamilkł.

— Powiem ci więcej Janku, dodała Starościna — jakkolwiek nie mogę przypuścić żebyś był moim siostrzeńcem; samo nazwisko twojej matki było jednym z powodów dla których zajęłam się tobą. Dla innej opiekuńki byłoby to może powodem odepchnienia ciebie. Gdybyś był najniewdzięczniejszym, nie możesz mi nie przyznać, że cię wydzwignęła z nędzy i błota. Nie dość na tem, dawno myślałam, aby cię ze stanu, w którym jesteś wyprowadzić; ale ja tyle mam na głowie. Dobrze żeś mi to przypomniał; Starosta potrzebuje pisarza w swoim majątku, pojedziesz jutro w Krakowskie. To mówiąc zawróciła się, skinęła główką i wyszła.

Co myślała? Bóg to wie jeden, a nawet czy myślała i to pytanie; odpowiedziała co jej na myśl przyszło i sądziła, że się chłopca pozbędzie. O to jej teraz chodziło. Wiedziała bardzo dobrze, że był synem jej siostry ale dla tej biednej nie miała serca, dla sieroty nie czuła przywiązania, znudził ją wreszcie. Znalazła sposób pozbyć się go i jeszcze mogąc za to wymagać wdzięczności.

Tegoż wieczora Starosta Janka mianował pisarzem, dano mu konia, i instrukcję, do Rządu dóbr list, kilka talarów na drogę i nazajutrz rano Janek pożegnać musiał Warszawę. Za całą spuściznę z niej wywiózł głębokie zepsucie, silne postanowienie wzniesienia się jakimikolwiek sposobami, bo sumienie nie rozwinięte w nim spało, i pół krzyżyka na piersiach z papierami, świadczącymi o pochodzeniu sierocem.

Choć mu towarzyszyła nadzieja, Janek jechał smutny; chęć wzniesienia się, na którą dobrego w języku wyrazu nie mamy, którą ambicją u nas zwano z obcego języka, bo pierwiastkowy był słowiański nie znał tej namietności, a jego ustawy rozwinięciu jej sprzeciwiały się. Ambicja gryzła Janka, każda namietność jest męczarnią, ale żadna od tej sroższą! Nigdy tej żądzy zaspokoić, nigdy uspić, nigdy kresu jej położyć. U celu nadziei, jeśli wyższego nie dojrzysz, przesycona, kona z przesyty i znużenia. Jak namietna chciwość, jak miłość namietna, ambicja trawi i niszczy człowieka.

Na twarzy dotkniętego tą plagą, wyczytasz wewnętrzne duszy męczarnie, niepokój, zazdrość, i piekielne ciągłe pragnienie. Janek wyjeżdżał za miasto, kierując się ku Krakowu na chudym koniku, o niczem nie myśląc, nie otaczającego świata nie czując i nie podziwiając, jedynie zajęty sobą i przyszłością swoją.

— Mam nogę na szczeblu, mówił do siebie, pójdę, pójsz muszę, dójdę! — Iluż to mnie podobnych z pisarzy jakim ja jestem dzisiaj, siadło potem na krzesłach dygnatarskich, wzięło buławy i laski! Nasłuchał się o tem Janek w Warszawie, i przykłady szlachty drobnej wzniesionej talentem, intrygą, poplecztwem na wysokie stopnie i urzęda, nie były rzadkie. Z szlachty



dopełniała się co chwila klasa panów, której wielkie rodziny gasły daleko częściej niż szlacheckie; bezpamiętne i zapomniane. Tysiączne o podobnych wypadkowych wielkościach, powiastki krążyły u ludu.

Czuł w sobie siły, czemuż się nie miał spodziewać? Nieraz patrząc na ospałego Starostę, pomyślał sobie młodzieniec: do czego się mi to stworzenie przydać może? Niepotrafiłżebym być równie tłustym i obżartym Starostą jak on? — Wyśmiewając od dzieciństwa, nawykły wszystkich widzieć ze strony ich szpetnej, siebie miał za coś wielkiego.

Wyjechawszy za miasto, ani spojrzął na wiosenne niebo, na ziemię w wiosennym wianku, serce mu nie zabiło, oczy się nie zwilżyły, krew płynęła zastygła; a nowość widoku nie wzbudziła w nim uczucia żadnego, paczka myśli, żadnej myśli kwiatu uczucia, którego owocem jest czyn. Jechał zimny, obojętny, ziewający, i wciąż tylko powtarzał: pójdę i dójdę — dwa słowa na których teraz obracało się ubogie życie jego.

Modlić się nie umiał, śmiać się mu uprzykrzyło, płakać się wstydził, ciekawości nie miał. Patrzył po Bożym świecie ucząc się go tylko na użytek późniejszy i zimno rachując na co się mu nauka przyda. Napróżno szumiała blisko niebieska rzeka, mówiły gaje o wiosnie, śpiewali ptacy, błyskało jasne słońce, dla niego głosy i widoki były stracone, nudził się wszystkim. Przeszły piękne dziewczęta wiejskie przypatrując mu się ciekawie, zaczepiając go naiwnie, odpowiadał im sztyderstwem nie przystojnem tylko. Zbliżył się stary żebrak o kiju z siwą brodą po pas prosząc o jałmużnę, Janek go minął dawszy koniowi ostrogę. — Miałbym rozum, żebym pierwszy grosz rozsypywał bez pożytku po drogach, rzekł w sobie.

Dziewczęta pokiwały głowami, starzec popatrzał i ruszył ramiona z pogardą: nie chodziło mu o jałmużnę tyle ile o dobre słowo, a i tego mu nawet nie rzucił, zwyczajnego. — Niech Bóg wspomóż. Dojechawszy do lasu Janek nie zwykł do jazdy, uczuł się znużony i zwolniwszy koniowi biegu, zsiadł więcej

przywykł do chodu niż do jazdy, myśląc że mu lżej będzie iść pieszo. Słońce poczynalo dopiekać, gdy stanął przed gospodą w lesie, która jak tysiąc innych niewygodnych karczem, zwała się Wygodą.

Kilka wozów wieśniaczych stały przed karczmą a na kłodzie pod sośniną starą siedział młody chłopak pożywając chleb podróżny, dobyty z sakiew skórzanych.

Postawiwszy konia u żłoba, napiwszy się wódki, która zepsutemu łakociami podniebieniu równie jak jadło karczmarki nie smakowała, Janek wyszedł na podwórze, szukać miejsca gdzieby się mógł położyć spać póki by gorąco południowe przeszło.

Tu dopiero postrzegł siedzącego na kłodzie podróżnego zajądającego chleb z serem, a postrzegłszy go cofnął się z podziwienia, podróżny także wlepił w niego oczy ciekawe i zdawał się równie zdziwiony jak on.

Powodem tych podziwień było najosobliwsze podobieństwo twarzy dwóch tak niespodzianie spotykających się ludzi. Zdawali się jednego wieku, a byli tak podobni jak rodzeni; nawet małeńkie znamię na skroni obudwu w jednym miejscu się ukazywało. Lecz choć wielkie było twarzy i rysów podobieństwo, choć prawie jedno oblicze, wyraz co je ożywiał różnił się wielce.

Janek zwiędły, z oczyma zgastłymi, znużony, blade, zestarzały był przedwcześnie; nieznamy chłopak przeciwnie rumiany, z pełnemi blasku oczyma, uśmiechem i weselem duszy pocziwej i spokojnej, ledwie zdawał się rozkwitać. Dla niego dopiero otwierało się życie, rozpoczynał świat i wszystko było mu zdumieniem rozkosznem, zdumieniem młodego Adama kiedy pierwszy raz piękny świat w promieniach złotego słońca zobaczył. — Janek spojrzął i serce mu się ścisnęło z zazdrości, bo wcześniej dojrzały, poczuł, ile wyższym od niego był ten chłopak rzeźwy, silny, spokojny i wesoły. On już nigdy nie mógł doznać tego, czego się jeszcze tamten niedotknął. Przeciwnie na widok Janka, obcy chłopak uczuł nie wytłumaczoną dla siebie litość, jakby zobaczył trupa.



Obadwa stali przez chwilę milezacy, piorunem przebiegła przez głowę Janka myśl braterstwa. Postanowił dowiedzieć się od chłopca co było można, ale mu się nie przyznawać za brata i owszem odepchnąć, bo go uważał za przeszkodę.

O tyle tylko rad był spotkaniu, że się mógł może co o matce dowiedzieć, jeśliby się okazało, że byli braćmi. W sercu młodego chłopaka, Marka, bo któż go z was niedomyślił się, zabiło uczucie braterskie. Wiedział że miał brata, przeczuwał go i radował się. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! zaczął czeladnik szewca.

— Na wieki — odparł Janek przez zęby. — A dokąd to Pan Bóg prowadzi?

— W świat, na wędrownkę — rzekł Marek, a was, Panie?

— Ja jadę do dóbr mojego Pana w Krakowskie.

— Nie uważacie Panie, jak dziwne jest między nami podobieństwo? rzekł szewc — a toć jakbym się po chorobie w zwierciadle matki Maciejowej zobaczył.

— To prawda, rzekł Janek, żeśmy do siebie podobni, ale ja pewnie starszy, dodał umyślnie kłamiąc, mam już około dwudziestu lat, choć nie wydaję tyle.

— A ja dopiero koło szesnastu.

— Wyście z Warszawy? spytał Janek.

— Tak panie, i sierota.

— A ja mam rodziców w Sandomierskim — rzekł ciagle kłamiąc Janek.

— Jakżeście szczęśliwi! odparł szewc. Mamci prawda matkę, która mnie jak rodzona wypieęgnowała, ale zawsze taki czuję żem sierota.

— Ba! alboście to nie znali nawet swojej rodzonej, albo ojca?

— Nie! nikogo. — Z litości mnie wzięto na wychowanie, bo nas taki dwoje odumarla bliźniąt matka, to jednego slysze podjęła się wychować jakaś wielka pani, a mnie pocziwy szewc Maciej, panie świeć nad jego duszą.

— A jakże się matka wasza nazywała? zapytał Janek.

— Mam ci papiery? rzekł Marek — moja matka

była szlacholanka rodem z Krakowskiego, Tekla Lutyńska.

Janek, który się tego spodziewał, ani poczerwieniał, ani się zmieszał, lecz przerwał tylko — a to osobliwsze podobieństwo.

— Patrzcie wszak to nawet czarne znamię na skroni jednakowe.

— To szczególna rzecz! wrzucił Janek siadając opodal na wyższej trochę kłodzie i rozparłszy się z pańska. I mówicie, że macie brata, że was było bliźniąt dwoje; gdybym nie wiedział dobrze kto byli moi rodzice, myślałbym doprawdy żeśmy rodzeni, żeśmy bliźnięta.

— I ja bym to myślał i przyznam się myślałem, odpowiedział Marek ze smutkiem, a tak mi się serce z tego zaradowało. Co to sierocie brat, to nowy świat, jest się z kim podzielić.

— Właśnie tego się boję i nie chcę, sam w sobie rzekł Janek. — Dzielić się! gdy i samemu dójść do czegoś trudno.

— Jest komu poskarżyć, jest kogo poradzić, mówił czeladnik dalej, bracia to dwa palce dłoni. A jak w życiu ochocho być musi kiedy się idzie we dwóch razem i wspiera. Prawdziwie widząc od Maciejowej, że nas było dwóch, że mój brat miał imię Jana i wychował się u jakiejś pani w Warszawie, ledwie mi z ust nie wyszło — Bracie Janie! z przeproszeniem pańskim, kiedym was zobaczył.

— E! małoż to ludzi podobnych do siebie na świecie! obojętnie zawołał Janek udając, że ziewa. Nie możemy być bracia, bo ja mam rodziców i taki od was jestem starszy widocznie.

— Ale powiedzcie no mi, dodał, wasza matka jak się nazywała?

— Tekla Lutyńska.

— A ojciec?

— Nie wiem, ale z pomocą Bożą, może się tego kiedy dójdzie. Idę w Krakowskie, a ona była z Krakowskiego, będę się starał, pytał i śledził.



— Musicie mieć z matki familją jaką?

— I tego nie wiem! smutnie rzekł szewc wznosząc oczy w górę. Sierocie Bóg ojcem, a familją wszyscy jak oni biedni.

— Idziecie na wędrowkę?

— Tak, majster myślał, że taki nie szkodzi wyterminowawszy, świata zobaczyć i podług zwyczaju przypatrzeć się rzemiosłu w innych krajach. Mnie się zaś nie bardzo chce, daleko iść, pójdę tylko w Krakowskie, a potem powrócę do Warszawy do Majstrowej.

Spójrział na Janka i westchnął; a potem zamyślił się. Janek niespokojny jak każdy co zły popełnił uczynek, siedział obok na kłodzie niewiedząc już co mówić dalej. Instynkta lepsze wiodły w nim walkę z samolubstwem: chciał się rzucić w objęcia brata i wstrzymywał tę myślą podłą. — Będę się musiał z nim dzielić, będę musiał się nim opiekować, a potem, to rzemieślnik. Nie — nie — nie przyznam się do niego, na co? do czego? wziąłbym próżny ciężar na siebie.

A jednak gryzło go to postanowienie, bo w młodości nikt nie jest tak zepsutym, żeby go już zło nie kosztować nie miało.

Pokłoniwszy się protekcyjnie czeladnikowi, Janek unikając go wszedł do izby próżnej w karczmie na przeciwko i tam się spać położył, ale oka zmrużyć nie mogąc, tarzał się tylko niespokojny na słomie.

Tymczasem Marek pozostał smutnie zamyślony na kłodzie i słuchając szumu lasów, dumął spokojnie. Pierwsza to była jego podróż w życiu, pierwszy raz nieco dalej wymknął się z wielkiego miasta; i jak dziecię, które w niemowlęctwie zbójca uwiózł z rodzinnej ziemi kątką, doznawał wśród wsi wrażenia niepojętego, jakby powracał w znajomą już i ukochaną stronę. Bośmy wszyscy sercem wieśniacy, a nałogiem chyba miast mieszkańcy i każdy z nas wychyliwszy się z tej atmosfery dymu, błota i wrzawy, czuje jakby z wygnania na lepszy świat powracał.

Dla Marka, który życie spędził między szaremi, ciasnymi murami, na twardym stołku, w małej izbie, wszystko było nowe i zachwycające, kiedy pierwszy raz oko

jego nieprzywykłe do bujania, wleciało po nad szeroki kraj przecięty niebieską wstęgą Wiślaną, zasiany wsiami, zasadzony lasy, uzieleniony łąkami, musiał się wstrzymać ze wzruszenia, bo mu się w głowie zakreśliło.

— Jakże to piękny świat Boży! zawołał, jakże piękny! jak się tu ludzie skazać mogą na wędzenie w murach ciasnych, w dymie szarym, gdy tu tak szeroko, tak pięknie, tak swobodnie w zielonej wsi; a tak ciasno i smutno w tym ulu, który się miastem nazywa.

A idąc dalej wszystkiem się cieszył, jak dziecko zbierał kwiaty dzikie, wpatrywał się w ich jaskrawe twarzyczki, wciągał w siebie woń powietrzną, poglądał na chmury co się wyścigać zdawały na lazurowych niebiosach. Lud, który spotykał, wesół, przyjazny ubogiemu jak on, zaciekał go równie jak wszystko. Wypytywał, rozmawiał, i schodząc w głąb siebie, badał się czemu raz pierwszy w życiu czuł się tak szczęśliwy, tak ożywiony jakby się wedle wyrazu ludu, pierwszy raz na świat narodził.

Marek jednak nie mógł nie pożałować miasta, jak więzień żałuje swoich kajdan i ciasnego lochu w którym lata długie przecierpiał. Wspomnienie przybranych rodziców a zwłaszcza poczciwej Maciejowej, która go jak własne dziecko wypielegnowała, łzy mu naprowadziło na oczy. Jakże było nie zawdzięczać tyle starań i tyle dobrych nasion, które pobożna kobieta rzuciła w duszę dziecięcą jeszcze.

Po odejściu Janka zaczął się modlić Marek, wziął swój tłómacze ną plecy i przeszedłszy w tę stronę lasu, która cień rzucała, ze swoim kijem podróżnym powłókł się dalej drogą. Nie śpieszył się idąc, bo mu pilno nie było, grosz jaki taki w kaletce był jeszcze, a tak miło wyrwawszy się na swobodę upajać się nią i światem. Marek śpiewając pieśń jakąś z kantyczek, myśląc, przypatrując się, rozmawiając, z podróżnikami jak on, szedł sobie powoli; Janek nie mogąc oka zmrużyć, bo mu ciężył ten brat, którego się zaparł, rozpląciwszy się, rzucił na konia i dobrym klusem pośpieszył tą samą drogą.



Kilka razy jadąc obejrzał się czy brata nie zobaczy, ale go już niepostrzegł i wolniej oddychając, powtarzał sobie dla uspokojenia sumienia: Da sobie radę, ja muszę myśleć o sobie.

Marek nie całkiem myślał o sobie tylko; często wśród powolnej wędrówki, przychodził mu na myśl, ten tak podobny do niego podróżny i wdychał z żalu że to nie był brat jego. — A! jakbym mu pomagał, jakbym go kochał! jakby nam sparłszy się na sobie lekko było iść dalej — ale nie! nie! Bóg wie gdzie jest ten brat. Ojciec Serafin umarł i od nikogo dowiedzieć się o tem nie można. A potem on ma rodzić! szkoda! szkoda!

Gdy Marek idzie powoli, Janek choć zбитy konną jazdą do której nie nawykł, śpieszy na miejsce przeznaczenia. Starościna wyprawując go w Krakowskie, gdyż gdzieindziej nie mogła, zrobiła najnieopatrniej i nie zastanowiła się nad tem, że blisko dóbr męża, była płoża Lutyńskich, krewni Lutyńskich, żyło wspomnienie Elżusi i Tekli, że tam najłatwiej o matce mógł się dowiedzieć Janek. W pierwszej chwili byleby się go pozbyć, nie pomyślała, iż mu daje oręż przeciwko sobie. Janek teraz cały był zajęty swoją przyszłością i nie myślał o matce w pierwszych chwilach, ale niepodobieństwem było, żeby samo nazwisko Lutyńskich często powtarzane, nie miało go wprowadzić na domysły, badania i odkrycie prawdy.

W kilka dni podróży, zбитy, zmęczony i prawie chory, pieszczony Janek dostał się nareszcie do Żalicy dóbr Jana Krzysztofa Mylżyńskiego. Rządził Żalicami i całym majątkiem teraz znacznie powiększonym Starosty, daleki jego krewny, brat szlachcic, pan Ignacy Dracz. Był to człowiek już podżyły i na rządząc stworzony: drapieżny, złośliwy, bez litości, bez sumienia, bez serca, bez pojęcia co się ludziom od ludzi należy, caciwy, względem poddanych srogi, dla swego krewnego i pana płaszczący się a niewierny. Cały rozum i usiłowanie wkładał w to tylko, żeby sobie zapewnić kawałek chleba jak mówił z powodu, że łaska pańska

na pstrym koniu jeździ — starał się Starostę okradać jak najzgrabniej, kieszeń ładować pośpiesznie i upatrywał już sobie wioski, które miał kupić.

Atletycznej postawy, wąsaty, z czupryną rudą, podgoloną wysoko zawsze z bizunem w szarawarach, zawsze z szablą u pasa, głośno krzyczący, rzadko przepuszczający chłopca żeby go przynajmniej za uszy i czuprynę nie wytargał, pan Dracz pracował jak wół, ale najwięcej dla siebie. O świtanu przebudzony, już obchodził chlewy, obory, już budził ludzi, już głos się jego rozlegał na przygumieniu. — Z koszturkiem w rękę, z paciorkami na dłoni, poczynął co chwila nowy dziesiątek pacierzy, przerywanych przekleństwami i razami. Jak tam się jego gorliwość religijna godziła z resztą postępowania, tego wytłumaczyć nie potrafię, to pewna, że nikt od niego ściślej nie zachowywał postów, nie marnował pacierzy, nie bił się w policzki podczas podniesienia, nikt żwawiej nie śpieszył nieść baldachym w czasie procesji. Księżę całował w rękę, ale ich oszukiwał w wytykaniu dziesięciny; kościoła nigdy nie opuścił w niedzielę i święta, ale jadąc i wracając nieobeszło się bez bizowania chłopków po drodze.

O Bogu, o ludziach, o świecie, mówił jak z katechizmu, ale gdy przyszło rozpatrzeć czynności, rzekł: byś: bisurman nie katolik, nieczem się więcej nie brzydził jak żydem i heretykiem, zwłaszcza ostatnim. Żyda nie miał za Boga stworzenie i gdyby go nawet zabił, nie czułby się wielce występny, ale heretyka dotknąć nie śmiał tak się nim brzydził, a spalić go miałby sobie za zasługę i największe szczęście.

Trudna była sprawa z Draczem, bo dla wszystkich był gwałtownym niezmiernie, a pasjonat zapamiętały. Przywiązany tylko do swej dębowej szkatuły, w której składał najpiękniejsze czerwone złote, i pewne obligi, nie miał też przywiązania u ludzi; natomiast bali się go wszyscy niezmiernie. Od lat dziesiątka już siwiejąc, ożenił się był uznawszy wolę Bożą, z młodą wcale szlachecianką, sierotą, po której wziął posag znaczny.



Ożenienie to należało do walnych w życiu Dracza wypadków; nie przyszło mu bowiem bez wielkiego trudu i kłopotu. Sierota ze znacznym posażkiem, miała tylko opiekunów, związała się koło niej młodzież, czyhali na nią bogatsi i znakomitsi od Dracza, bo była młoda, ładna wcale i jakim powiedział nie uboga na owe czasy, a posąg miała w brzęczącej gotówce. Przy tem rozdziła ją familjantka, ojciec był dobry szlachcic. Nie szczęśliwemu dziecku przyszło paść na łup chciwego Dracza, opiekunowie ją sprzedali. Nie było to bez trudności, nie zjadł jak chleb z masłem swego ożenienia, pan Łowczyce Dracz; ale przecież dokazał nareszcie i postawił na swoim.

Ewa żona jego była w stosunku do niego prawie dzieckiem, obchodził się też z nią jakby z nierozumnem stworzeniem. Obawiała się swego pana niesłychanie, a wiedząc, że po pijanu, zalawszy w pałkę, i plecuby białych nie pożałował, skakała przed nim na jednej nodze. Żeby go kochać miała, wątpię i trudno, ale szanowała go i drżała przed nim, a tego mu było dosyć. Była to męczennica. — W domu pustym wszelka praca na nią włożona, za wszelki nieporządek odpowiadała, woli swojej niemając na szpilkę; całą rozrywką modlitwa niedzielna w kościele, lub tęskna śpiewka u kądzieli.

Dracz przejęty maksymami Salomona o kobietach, pilnował jej jak zrzenicy w oku, najgorszymi zawsze trapiąc posądzieniami, a za najmniejsze posądzenie nawet karząc nieludzko, przy ludziach czasem pocałował ją w czoło od czego zaczerwieniała się biedna, jakby ją gorącym upiekł żelazem; samna sam rozkazywał krótko, despotycznie i niepojmował żeby najgłupszy rozkaz jego mógł pozostać nie spełnionym.

Ewa była piękna; ledwie miała lat dwadzieścia, Dracz piątą krzyżyk kończył, lecz na owe czasy było małżeństwo dobrane; kiedy mężczyzna był w małżeństwie panem nie towarzyszem, kobietę chętnie dobierano młodszą, bo młodszą wyuczyć się mogła łatwiej niewoli i posłuszeństwa.

Takiego to rządcę w majątku Żalicach zastał Janek i oddawszy mu list pana Starosty, przyglądał się ciekawie jego marsowemu obliczu.

Pójdiesz wać na folwark, rzekł mu Dracz, jest tam izba podle piekarni dla waści; a od jutra co rano o piątej po dyspozycją do mnie, potem do roboty. Zapowiadam zaś waszeci, że w szarawarach bizun nosze, tu go wyciągnął z pluder i potrząsł nim, a gdy się niespełni co każe, zwykłem łupić nie patrząc gdzie padnie.

Janek osłupiał na takie *dictum acerbum*, ale nie znalazł w pierwszej chwili wyrazu na odpowiedź, oburzył się, zawrzał, ale przecierpiał. Na pierwszy rzut oka poczuł niezwykły wstręt do swego pryncypała, a wstręt ten jak zwykle był wzajemnym, bo i pan Dracz już czuł w sobie chętkę wykropienia mu skóry, choć jeszcze najmniejszego do tego nie miał powodu.

Odwróciwszy się od Janka, począł chodząc po izbie cedzić do siebie przez zęby:

— Gacha mi jakiegoś przystali dla Ewusi, niezagrzeje on tu miejsca, przepędzę go ja rychło. Albo to ja sam sobie pisarza bym nie znalazł. Po co mnie ta troskliwość pana Starosty! Jakis gołowąs warszawiaczek, co tak się koło gospodarstwa rozumie, jak ja koło dworowania. — Po co to tutaj! Kto wie, może być! I Jejmość trzeba pilnować w dwójnásób, djabeł nie śpi, a kobieta *variabilis*.

Ale ja go wykurzę przedziuteńko! jak go pocznę zażywać po swojemu, jak mu niedam tchnąć, zobaczymy czy długo w Żalicach wytrzyma! Starosta pisze, dodał odczytując list, aby się z nim jak najlepiej obchodzić! Obejdę się jak najlepiej! potrafię, potrafię.

W złym sosie Dracz poszedł do żony, wylał ją, że zamiast praść, motać, siedziała w chacie z załamanymi rękami, potem pociągnął się do obór i gumien, a klepiąc zdrowaśki, powtarzał w duchu:

— Wykurzę paniczyka! wykurzę.

Jakoż zaraz nazajutrz wziął się do tego pan Dracz; i dni następnych nie dał tchnąć Jankowi. Ale ten



w początku oburzony, opamiętawszy się trochę, i domyślając o co szło rządzący, na nic nie zważał i milczkiem począł chwycić końce, z którychby mógł upleść oskarżenie na niego. — Raz na tę myśl wpadłszy, znosił wszystko cierpliwie, byleby swego dopiąć. Dracz tak był daleki od tego, żeby się domyślał i domniemywał denuncyacji, tak zresztą był przywykły do swojego trybu postępowania, że mu w głowie niepostało, domyślać się jakiego niebezpieczeństwa.

Janek już motał od najmniejszych rzeczy poczawszy, a mając klucz i rejestra u siebie łatwo chwycił pierwsze nadużyć ślady. Odtąd wyrachowawszy sobie, że się Staroście nie zasłuży, że miejsce lepsze otrzyma, a na Draczu pomści się upokarzającego i tyrańskiego niekiedy obejścia, zajęty przyszłością, zniósł cierpliwie wszystko. Nie odpowiadał nigdy, słuchał przykładnie, łajany milczał i tak udał doskonale pół-gapia, pół-niedbalca, że rządcza po jakimś czasie nie tyle już myślał o pozbyciu się go z Żalicy.

Przebiegły, zaraz w początku postrzegł, że pani Ewa, wzbudza zazdrość mężowską nie dając do niej najmniejszych powodów, dowiedział się całej ożenienia historii, a raz czy dwa ją zobaczywszy choć mu kobiety obojętne były zupełnie, nie mógł się oprzeć myśli i rachubie jakiejś, do której piękna twarzyczka i posąg pani Draczowej wchodziły. Tymczasem nie dając poznać po sobie, że go zajęła; że mu się podobać mogła, że należała do nadziei jego przyszłości, udawał że na nią nie patrzy nawet.

Dracz który się niezmiernie bał w domu gacha, i w początku wytrzeszczał oczy na niego, zobaczywszy, że Janek ani spojrzy na Ewę, uspokoił się powoli, Janek zaś kuty i nie w ciemie bity, tak wypatrywał chwili, że zrobił znajomość z Ewą, bez wiedzy rządcy. Łatwo mu to przyszło zaskarbić sobie łaskę biednej kobiety, która dotąd bez żadnej pociechy cierpiała. Łatwo mu było wywołać bicie jej serca, bo to umiał jeszcze z przedpokojów Warszawskich. Wkrótce taje-

mnę stosunki przyjacielskie zawiązały się między nim a prześladowaną.

— Kto wie na co się to przydać może? — mówił sobie Janek — a zawsze taki choć nie tak się tu znudzę!

Gdy Dracz wymykał się jednemi drzwiami, sprytny Janek wciskał się drugimi, by potem w chwilę dognać go w polu jakby już z pola powracał. Przywykłej do srogiego męża, do niewoli i milczenia Ewie miło było spojrzeć w twarz przyjazną, pocichu kilka słówek przemówić do uśmiechającego się chłopaka, a choć truchlała na samą myśl, że ich kiedyś pan mąż zejść może na rozhoworze; bojaźń dodawała wartości kradzionym chwilom szczęścia.

Janek nie myślał wcale pokochać Ewy, bo kochać nie mógł nikogo, ale bawił się i rachował. Ona zbyt była religijnie wychowana, żeby zdradzić męża pozwoliła sobie, widziała w tem niewinną a miłą rozrywkę, która że ją trochę daleko zaprowadzić mogła, domyślała się czasem, ale prędko myśl tę odpychała.

Tak płynął czas w Żalicach i roczek za roczkiem ściślejsze stosunki wiązały Ewę z Jankiem, a tymczasem gromadziły się w papierach dowody grabieży i niewierności rządcy przeznaczone do rąk Staroście. Już chwila stanowcza posłania ich przychodziła, gdy nagle jednej nocy Dracz apopleksją tknięty, spadłszy z łóżka — Jezus Marja ledwie krzyknawszy, ducha wyzionął.

Ewa opłakała go jak gdyby był dla niej aniołem i po śmierci dopiero poczęła w nim wielkie odkrywać cnoty. Janek, który już miał wysłać swój raport do Warszawy, przekonawszy się, że grabież pana Dracza, spadają na wdowę, a wdowa może spaść na niego; wstrzymał swoje doniesienie. Tymczasem zaś objął rządy majątku napisawszy tylko do Staroście błagalny list, aby mu choć na próbę mimo niedoświadczenia jego i młodości powierzono miejsce zmarłego.

Po śmierci męża Ewa stawszy się nagle panią wcale pięknego funduszu, otarłszy łzy, bo jak mówiono wów-



czas, było je czem otrzeć, poczęła myśleć o sobie. Wprawdzie podobał się jej Janek, ale mogła znaleźć sobie daleko pozorniejszego męża i wyjść za dzierzawcę najmniej, albo i za dziedzica wioski. Piękna, młoda i nie uboga, czekała tylko by z niej spadła nudna żaloba. Janek począł także myśleć głęboko, co począć; marzył on tak świetną dla siebie przyszłość, że Ewa w niej już mu się zdawała zawadą. Z jednej strony był to dobry szczebel do wyższych stopni, z drugiej kto wie, może ciężar i przeszkoda?

Dodajmy, że się nie domyślał wcale, ile po sobie Dracz zostawił i połowę ledwie przypuszczał. Wahał się teraz czy się ożenić, co mu się zdawało najłatwiejszem, czy podać oskarżenie na rządzcę i przyaresztować wdowę.

Ewa ani się mogła domyśleć co jej groziło.

Ona także dorwawszy się swobody, rachowała i namyślała się, a choć ładny chłopak nie był jej obojętny, postanowiła się nie spieszyć, cóż kto wie, mógł się trafić i posesjonat i familjant i personat pozorniejszy od Janka? Póki była biedna i uciśniona, dobry jej był i Janek, teraz zdawało się, że większych honorów i szczęścia dostąpić łatwo.

Na chwilę więc stosunki ich ostygły i przerwały się. Janek tylko starał się aby nie wyjechała z Żalic i nie wyniosła z sobą funduszów, które w razie gdyby w obce ręce wpaść miały, mógł dowodząc kradzieży Dracza, przytrzymać.

Po głębokich namysłach, w kilka tygodni po śmierci Dracza, gdy już tymczasowym rządcą majątku został, wyszperawszy lepiej pozostałości nieboszczyka i wyrachowawszy, że ożenienie z jego wdową, młodą jeszcze acz znacznie od Janka starszą może być dobrym krokiem do przyszłości, przystąpił nasz chłopak do stanowczego oświadczenia.

Wdowa była sama jedna w swoim pokoju i siedziała na sepeciku gdańskim, nogi pod siebie wziawszy jak miała we zwyczaju, gdy Janek o zmroku przyszedł do niej z ukłonem.

— Dobry wieczór Jejmości.

— Dobry wieczór panie Janie.

Tak się poczęła rozmowa, Janek pochodził od drzwi do okna, potarł czoło raz i drugi i przysiadłszy się do wdowy, biorąc ją za rękę rzekł z cicha:

— A co Jejmościuniu będzie z nami? jak myślicie.

— Co mam myśleć, alboż co ma być?

— A jakbyśmy my po roku i sześciu niedzielach, poszli do Proboszcza po błogosławieństwo?

— A nam to do czego? odparła raźnie wdowa, albo to mnie nie dosyć małżeństwa! — Daj Boże nieboszczykowi wieczny pokój, ale coś skosztowawszy godów tych, nie chce się drugi raz kłaść zdrowej głowy pod Ewangelią.

— Takiz przecie po wiek wieków nie zostanieie wdowa?

— Kto to wie?

— Alboż to już każdy mąż ma być do nieboszczyka podobny?

— Wszakże oni tacy, póki się stara, to się kłania, a jak weźmie to bije.

— Ależ Jejmościuniu, ja bym kochał, toć kochając to się inaczej żyje.

— A długoż się kocha? Porzuć Wasan — czy to my nie wiemy waszego kochania. Ja od Waszeci starsza, choć tak nie przestarzałam, ale zawsze wam jeszcze o ożenieniu nie myśleć, ani mnie też.

— To taki ostatnie wasze słowo, Jejmościuniu?

— Ostatnie nie ostatnie, a po co mam się spieszyć?

— Ej to to tak! — zawołał Janek — pókim ja Jejmościuniu narażając się służył, pókim za życia nieboszczyka wkręcał się by złodziej, żeby Jejmość trochę pocieszyć; uśmiechała mi się i dziękowała; a teraz nowe sitko na kółku.

— Jakie nowe sitko? żadnego niema — Waspan daj mi pokój!

— Czy to Jejmość nie pamięta, cośmy nieraz mówili?

— A co mieliśmy mówić; ot poszedłbyś lepiej do



siebie, a mnie dał pokój. Z piekarni słyszą głos Warszeci, a ludzie aby co gadać mogą, już i tak to nie pięknie, że ja tu siedzę w jednym prawie domu z młokosem.

— Zaraz pójde — rzekł wstając Janek — trochę zagniewany, ale jeszcze raz pytam się Jejmości, to taki mnie nie chcecie?

— Albo to czas o tem mówić?

— Dla mnie to i bardzo czas — rzekł zmieniając głos i postawę chłopak. Ot dwa słowa i rzecz skończona. Powiem Jejmości prawdę. Nieboszczyk całe życie kradł, mam na to dowody, co jest po nim, to kradzione, na co tu obwijać, jak Jejmość nie pójdziesz za mnie, pokażę jego złodziejstwa, zaaresztuję co jest i zostaniesz się albo z małym albo z niczem.

Wdowa porwała się z sepeciku.

— To już tak! — zawołała — to już tak!

— A tak, kiedy Jejmość mnie dobrego przyjaciela z kwitkiem odprawiasz, to pokażę co umiem. Bo ze mnie kiedy druh to od serca, a nieprzyjaciela, to pilnuj się!!

Ewa upadła znów na sepecik i poczęła płakać.

— A! ja nieszczęśliwa — zawołała — co tu począć, co tu począć!

— Poradz się Jejmość ludzi, kiedy chcesz.

— Ale ja wam panie Janie nie odmawiałam, toć tylko proszę, dajcie mi na czas pokój!

— Tak póki się nie wywieziecie i nie pochowacie co gdzie jest. Ale nie głupim, chcesz Jejmość to masz i wóz i przewóz, co nieboszczyk Dracz zostawił wiem i grosza nie dam urwać, a może jeszcze Jejmościemu posagowi się dostanie. — Ot tak, słowo, ręka i będzie po wszystkim.

Potem szepnął jej coś na ucho — wdowa odepchnęła i płakała ciągle.

— Namyślcie się — dodał.

— Słuchajcie no — po chwili śmielszym głosem zawołała Jejmość, nie myślcie żebym się bała, wdowa znajdzie opiekunów i obrońców, ale Bóg widzi, mam

i miałam do was serce, pocóż mnie zmuszacie przed czasem?

— To dajcie mi słowo i....

Tu schylił się jej do ucha; wdowa już go nie odepchnęła, siedli oboje na sepeciku; my wyjdźmy z izby.

Nazajutrz Janek przeniósł się do mieszkania pani Draczowej i dla nikogo już tajemnicą nie było, że się z nią ożeni, bo żyli z sobą od tego czasu jak mąż z żoną.

Wszystko się więc kleiło i udawało Jankowi jak niemożna lepiej. Czemuż nie był szczęśliwy? Nie wiem: ale niespokojne miał nocy, ale dnie pędził w kłopotcie z tą przyszłością, do której szedł, a do której jeszcze było daleko! Ewa do niego, on do niej nie miał przywiązania, oboje niedowierzali sobie, bali się siebie, kryli przed sobą i powoli skrycie nienawidzić poczynali. Janek podejrywał ją, że mu kryła nieboszczykowski skrypta i dukaty, ona go nienawidziła, że ją do oddania się zmusił. Któż nie chce mieć woli własnej? Przewidywała także wkrótce niewolę drugą, tylko innego rodzaju; a że serca nie miał Janek, odgadła dawno, powierzchownie żyli z sobą jak należy, ale wojna domowa jeszcze się przed ślubem poczyniała. Ona przed nim się tajiła, on ją szpiegował, ten chciał zagarnąć, ta dać nie chciała.

Że w pierwszym roku po śmierci Dracza, Janek pokazał i dał daleko znacniejszą intratę z Żalic niżeli kiedykolwiek była, Starościna zawsze potrzebująca pieniędzy, wymogła na mężu, że ten, którego on młokosem nazywał, pozostał przy rządzie majątku.

Jak tylko upłynęła zwyczajna żałoba, trwająca rok i sześć niedziel, Janek pośpieszył związać się dożywotnim węzłem z wdową, która rada nierada, oddała mu rękę swoją. We trzy miesiące po ślubie już mieli synka, który jednak wkrótce umarł z kokluszki.



Gdy się to dzieje w Żalicach, a Janek nie ma czasu dowiadywać się o matkę, choć to by mu łatwo przyszło, bo Lutyńskich Wulka tuż pod Żalicami; Marek powędrował do Krakowa o ubogim chlebie, i oświadczywszy się starszym Cechowym, wpisał w Cech jako wędrowny Czeladnik, począł pracować w starej stolicy. Łatwo znalazł sobie Majstra, bo pokazawszy próbę, nie obawiał się, by kto co zarzucił jego robocie. Spokojny i pracowity, choć to praca ciężka, siedząca, nudna, umiał się godzić z losem i wiele od niego nie żądać. Stara Maciejowa nauczyła go wcześniej, że nie w gro-szu i bogactwie, ale w samym człowieku jest szczęście jego lub nieszczęście przyszłe. Marek też nie sięgał myślą wysoko, a w marzeniach dalej nie wlatywał nad uczciwą izbę, młodą i dobrą żonę, piękny szyld czerwony i spokojne pod nim życie. Chrześcijańskie wychowanie dawało mu ten spokój duszy, tę pewność szczęścia w każdym stanie, którego nie w braku jego dać nie może. Żrana pomodliwszy się wesoło, siadał do roboty, wyśpiewując pobożne pieśni lub rażnego Krakowiaka, jadł zapracowany chleb smaczno, wstawał od roboty rad z siebie, a pochodziwszy po mieście, pogadawszy z braćmi i towarzyszami o starych dzie-jach, zasypiał do ranka snem pracowitych i pocziwych. Nazajutrz rano dzwonek Bernardyński budził go do stolka, do bani i do dratwy a szydeł znowu. Tylko niedziele a święta były wypoczynkiem rokosznym, któ-regoby wartości nie znał Marek, gdyby przez cały tydzień nie pracował tak pilnie. W niedziele wydobywało się najświeższe odzienie, czeladnicy szli do Cechowej ka-plicy do swego ołtarza na nabożeństwo. A jaka to była pociecha nieść chorągiew swoją za procesją! jak ochoczo młody chłopak brał udział w uroczystościach religijnych kościoła i miasta. Jakie to niezamącone niczem i pocziwe wesele towarzyszyło obchodom świąt Bożego Narodzenia, Jasełkom, Gwiazdzie, Zwierzynieckiemu konikowi, rezurekcji, Rękawce i strzelaniu do kurka.

Ile to potem było do mówienia siadłszy przy war-stacie, jak głośnie rozlegały się śmiechy, jak szczerza

pracy towarzyszyła ochota i radość. Choć dojadło nieraz siedzenie na niskim i twardym stolku cały dzień Boży, ledwie przerwane wybiegiem na miasto z butami lub za posyłką pani majstrowej; — pocieszał się Marek temi słowy Maciejowej, że człowiek stworzony do pracy, że praca jest rodzajem modlitwy Bogu milej.

Skutkiem przywyknienia od dzieciństwa, nie pomyślał nigdy nawet, żeby żyć można leżąc brzuchem do góry i nie nie robiąc. W niedzielę nawet czasem, gdy nabo-żeństwa, zabawy i przechadzki się przebrały, tęsknił za robotą. Czasem w wolnych chwilach wpadła mu książka do ręki; o z jakże naiwnem uszczęśliwieniem w niej czytał! Zdawało się, że umyślnie czynił to powoli, aby się lepiej nasycić! Życie Chrystusa było jego ulu-bioną książką; Maciejowa mu ją odchodzącemu na wę-drówkę ze Złotym Ołtarzykiem i Katechizmem daro-wała.

— Życie Chrystusa — powiedziała mu oddając te skarby — powinno być dla nas ciągłą nauką; dla nas zwłaszcza ubogich ludzi. Jak my był On ubogim, jak my cierpiał, On pierwszy powiedział, żeśmy braćmi wszyscy; On nauczył, że jedni dla drugich poświęcać się powinni, wszyscy się kochać, wszystko przebaczać. Możnaż się nazywać Chrześcjaninem, a nie chcieć na-śladować Mistrza Chrystusa? Czytaj Marku — mówiła — módl się i pamiętaj, o pamiętaj, że nie ten szczęśliwy kto bogaty, nie ten szczęśliwy kto wielki, kto sławny; ale ten, kto umiał kochać jak Chrystus, jak Chrystus przebaczyć, jak On cierpieć. Spokojne sumienie to jedyne szczęście. W Złotym Ołtarzyku są stare mo-dlitwy tak pocziwie napisane, że najzimniejsza dusza rozgrzać się niemi musi. W kancyerkach są pieśni, których rzewności i piękności żadna nowa nie wyró-wna. Pisali to insi ludzie, ludzie prawdziwie pobożni.

Takimi to słowy stara szewcowa dawała nauki odchodzącemu Markowi, którego klęczącego pobłogo-sławiła płacząc. Kto wie — mówiła — czy ty mnie z powrotem zastaniesz! módl się za moją duszę, ja, jeśli Bóg pozwoli, choć z drugiego świata na ciebie



poglądać będę. A bądź poczciwy moje dziecko, i nie strać wiary; wszystko odzyskać można, jedna to strata niepowetowana.

Marek od dzieciństwa kołysany temi prostemi naukami, przejął się niemi do gruntu duszy, nie go już zepsuć nie mogło. Tak mu też było dobrze na świecie z tą zbroją chrześcijańskiego człowieka! Nie przerażała go ani przyszłość, ani cierpienie, ani ubóstwo; bogactwa ani żądał, ani pojmował potrzeby, o przyszłość był spokojny, bo ją złożył w ręce Boże. Choć też niesłusznego ukarania nie ścierpiałby, i majster to widział, a ceniąc go jako wybornego robotnika, zrazić się obawiał. Owszem radby go był zatrzymać, bo przy Marku i reszta czeladzi i chłopców jakoś lepiej robili i sumienniej. Nie potrzeba było pilnować nieustannie kradzionej roboty na własny rachunek jak przedtem, bo Marek przekonać potrafił, że i podzelowanie tajemne na swą korzyść jest kradzieżą, skoro się raz swoją pracę i czas sprzedawało. W warstacie on rej prowadził, i spuścić się na niego było można wysmienicie; nie tylko nie próżnował, ale próżnować nie dał, nie ukradł i ukrasć nie dopuścił. Majster Florjan, porachowawszy wszystko, rad był poswatać mu Martę swoją donię, ale Marek w dziewczynie nie smakował. Byłać ona ładna i bardzo ładna, ale trzpiot, ale próżniaczka jakich mało; stać na progu, ząbki wyszczerzać, lub w alkierzu się muskać, tyle tylko umiała; roboty nie wzięła w rękę, a czeladzi swojemi śmieszkami w izbie przeszkadzała jeszcze. Nie był Marek obojętny pannie Florjanównie, ale on na nią ani patrzył; za to ile było czeladników, wszysej się nawet z drugiej ulicy w niej kochali. Matka nie żyła, stara tylko sługa była towarzyszką Marty,

a starej jakoś nie do rzeczy z oczu patrzyła; Florjan większą część czasu spędzał na poniedziałkowaniu, tak, że od niedzieli do niedzieli poniedziałki obchodził; dzieńwczę robiło co chciało.

— Co to za szkoda! mówił w duchu Marek, patrząc na nią ukradkiem, gdy szła strojna w ulicę, że to tak rośnie jak pokrzywa pod płotem! co to za szkoda!

Z końcem roku Marek, począł się wybierać od majstra Florjana, ale ten tyle na nim wymógł, wyprosił i wyrobił nieustannemi naleganiami, że Marek jeszcze pozostał u niego; wymówił sobie tylko kilka tygodni czasu, bo chciał pójść w okolice, dla dowiedzenia się o Lutyńskich.

Jakoż, latem to jakoś było, wziawszy woreczek na plecy, kij w rękę, przeżegnawszy się, pomodliwszy, pokłoniwszy towarzyszom, zapakowawszy papiery swoje, ruszył Marek ku Żalicom. Już był się trocha rozgadał, gdzie była Wola Lutyńskich, i tam prosto dążył: — ale z niewielką nadzieją. Dwadzieścia z górą lat upłynęły od czasu tych wypadków i ludzi, o których mu się dowiedzieć potrzeba było. Domek w którym mieszkał stary Lutyński, zwany i znany w okolicy Szaloną pałką, zastąpił już nowy dworek nowego posiadacza Woli. Wola ta od bardzo dawnych czasów rozpadła się na części i cząsteczki, a tak zwana Wólka Lutyńskich, nie miała już wieśniaków osiadłych na gruntach, tylko szmat ziemi, trochę łąk i zarośli górzystych.

Uprawiał ją teraz niejaki Malinowski szlachcic, nabywszy od wierzycieli Lutyńskiego. Długi czas została w tradycjach i różnych rękach, tradycji więc nawet o rodzinie Lutyńskich w samej Wólce trudno było szukać; należało ich po sąsiedztwie żebrać.

Marek zajrząwszy tylko do Wólki, prędko uszedł ze smutkiem w duszy, a odbiegłszy sąsiedztwo i zmordowawszy się napróżnemi po karczmach u starych ludzi pytaniami, nie się nie dowiedziałwszy, lub tak jak nie, ku schyłkowi dnia, znalazł się przy małej chatce, przypartej do spadzistego wzgórza, obwisłemi krzaki pokrytej. Słońce zachodzić miało, a podróżny



był znużony i zrażony, usiadł więc na kamieniu i rzucałszy tłumoczek i kij przy sobie, naprzeciw chatki spoczął. Malownicza to była, choć biedna lepianka. Co za sztuka w tej niewytwornej budowie! Jedną ścianę zastąpiła góra kamienista, drugą w części stanowił bok parowu, pozostałe dwie z niezmierną pracą związane z gałęzi, pniaków i kawałków drzewa, cudem dach na sobie trzymać się zdawały. Dach ten garbaty, porastał prześliczny mech zielonego aksamitnego koloru, którym Bóg stroi stare dęby i ubogich strzechy upadłe. Po nad nim wyglądał troszeczkę stary także i szczyrbaty wierzech komina. Brzozy i sosny na szczycie pagórka porosłe, tuliły chatkę zewsząd i osłaniały. Do jej drzwiczek wypaczonych trzeba było wchodzić po kilku kamykach chwiejących a okienko patrzące na południe tak było małeńkie, tak oszczędnie zaszkłone, że ledwie światelko wpuszczać musiało. Z drugiej strony chaciny, gdzie nie przypierała do parowu, kawałeczek lichy niwy, obrzucony kamieniem, obrosły tarłem, stanowił ogródek, z którego tylko wychyliła się dynia ze swemi liśćmi ogromnemi i żółtym brzuchem i żółtym kwiatem.

Takie to było ubogie, biedne, a tak piękne w swej prostocie i ubóstwie, że Marek nawet, nie zwykły szukać piękności, gdzie ją niełatwo było znaleźć, wpatrywał się z jakimś zadumaniem w drzwi chałupki. Ostatnie słońca blaski padając na dach i główną ścianę lepianki, złociły ją załotnie jakby na umyślnie.

Na ciemniejszych barwach parowu i szarych kamieni, gałązki brzozy i drobnych krzewów, odskakiwały ozłoczone silnem światłem misternie i drżały w powietrzu migając. Stado szarych wróbli polatywało nad gałęziami swiergocząc.

Gdy Marek jeszcze poglądał na drzwi przymknięte ciekawie, że skrzypem uchyliły się powoli i starzec z siwą długą brodą, w szaraczkowej sukmanie, z kijem w rękę, wysunął naprzód głowę, potem bosą nogę żyłastą, aż i cały stanął na kamieniu próg stanowiącym. Zdawał się chcieć przypatrzeć podróżnemu, i z daleka zgasłym głosem odezwał się do niego:

— Nie, mój ojcze, odezwał się Marek zbliżając z kijem i tłumoczek, i pokłoniwszy się siadając znów na darni. — Siadłem odpocząć, bom się strudził — a i wodybym się napił, gdyby była!

— Źródełko ocembrowane ot tam! rzekł wskazując w lewo starzec, jest i czerpaczek przy niem, ja wam wody nie przyniosę, bo nie zdążam, ale to kilka kroków tylko.

— Dziękuję za pokazanie, pójde i sam — mój ojcze. To mówiąc wstał Marek i kilkanaście kroków uszedłszy, znalazł w istocie pniak dębowy wbity w piaszczyste źródło, z którego mruczając sączył się rozpadlina małeńki ruczajek. Woda była czysta jak kryształ i chłodna, nie tylko więc napił się jej, ale się nią obmył, bo mu twarz paliła, i powrócił ku chatce. Zastał już starca siedzącego na progu, opartego na rękę, z dłońmi skrzyżowanymi na kiju; wpatrywał się w zachodzące za góry słońce.

Marek usiadł na darni nie opodal, i naturalnie poczęła się rozmowa od podziękowania za wskazane źródło.

— A wy z daleka? spytał stary.

— I z daleka i z nie daleka, rzekł chłopak powoli. Jestem czeladnik wędrowny, a teraz z Warszawy wyszedłszy, terminuję w Krakowie znowu u majstra.

— Jakiegożecie rzemiosła?

— Szewc jestem. —

— Ciężki to chleb! rzekł stary.

— Co za ciężki? odparł Marek.

— A jużciż, w mieście się wędzić, Bożego świata nie widzieć, to nie rozkosz.

— Ale i nie bieda.

— Wolałbym cięższą pracę, pod gołem niebem i nie w mieście.

— Boście to znać przywykli do waszego życia, to wam się tak zdaje, że już innem nie wyżyć.

— Może to być, toż i więzień do kajdan przywyka!

I zamilkli oba.

— Niech będzie pochwalony. — Może drogi szukacie?



— A cóż was w tę stronę zagnało? spytał stary po chwili.

— O! to długa historia, mój ojcze.

— Naprzykład jeśli zapytać się godzi?

— Ot, moja matka była tu z tych stron, chciałem się o niej co tu i o rodzinie dowiedzieć, rzekł Marek.

— A zkądże była matka wasza?

— Z Wólki Lutyńskiej?

Stary odwrócił głowę.

— I jakże się nazywała?

— Tekla Lutyńska.

— Tekla Lutyńska! Tekla, to młodsza była! rzekł starzec.

— Wiecieście ją znali, porwał się Marek i przybliżył do dziada.

— A jakże nie, u Szalonej pałki, bo to tak ojca Elżbiety i Tekli nazywali, służyłem za gumienego.

— Mój Boże! mój Boże, ach! cóż to za traf szczęśliwy; więc mi powiecie co może o Tekli Lutyńskiej, o mojej matce, mój dobry ojcze.

— Co pamięć zasięgnie i owszem mój chłopcze — z serca. Siadźcie no tylko spokojnie i dajcie mi myśli pobierać, bo to się na starość jak przzerwany różaniec porozlatywało; a słuchajcie uważnie co wam powiem. Może się wam to na co przyda. — Stary Lutyński, waszecin dziad taką rzeczą, mieszkał w Wólce, gdzie teraz Malinowski, ale w starym dworku, za wałami którego teraz ani śladu. Zwali go wszyscy Szaloną pałką, bo też taki był: dobry człowieczysko, ale zawaady jakich już teraz nie widać. Bywało, gdy śpi, to przez sen klnie — zje sto djabłów z ogonami, a szabla mu u wozgłowa leży. Rębacz był zawołany na całe Krakowskie, ba i na Sandomierskie, i taki więcej z szablą niż z kawałką ziemi w Wólce się utrzymywał. A prowadził życie osobliwsze.

Znano go okolicznie na mil kilkadziesiąt, to bywało jak tylko taka sprawa, że w dłoń plunawszy trzeba w szabelkę zagrać, Lutyńskiego wzywają, a z nim jego szlachtę, co mu służyła na podziw choć w ogniu, choć

w wodę. Wszystkie partje sejmikowe starały się mieć z sobą Lutyńskiego, bo z kim on był — wygrywał. Pokręciwszy wasa i klnawszy po swojemu, jak począł krzyżową sztukę, to i adwersarzy poprzepędzał, i lby popłatał, i na swoim postawił. Miał się też z tego dobrze i wysoko podgoloną głowę nosił, a w kaszę mu nikt nie napluł. Bywało w domu choć gospodarstwo po djable idzie, dostatek zawsze i grosz w kieszeni. Tylko lichy wie jak, co się przyzbierało łatwo, jakoś wyciekało niewiedzieć jak i gdzie, choć był skąpy, że nigdy nie zebrać nie mógł. Owdowiał wcześniej i pozostały mu się dwie córki, Elżusia bardzo piękna dziewczeczka, i Tekla, która także była niczego. Ale to się chowało samo pod piecem, a bez matki, to też i niewielki los zrobiły, zwłaszcza druga. W Elżusi pokochał się Jan Mylżyński z Żalic, ta i musiał się z nią ożenić, choć mu się nie bardzo chciało, i z tą nie wiem co się zrobiło; a Tekli to taka historia: — Szlachetka tu z okolicy, Adam Porębski, mówią niepewny szlachcie, zaraz po wyjściu Elżbiety za Mylżyńskiego, rozkochał tak Teklę, że za nim z domu rodzicielskiego uciekła. Stary Lutyński w taką wpadł wściekłość, że zakławszy się, iż córki więcej nie zobaczy, a Porębskiemu w łeb strzeli, czyhał tylko na niego. Porębski musiał uciekać z żoną (bo mówią, że się pobrali) do Warszawy o ostatnim groszu, bo był ubogi. W drodze jakoś chwyciła go gorączka, i zostawiwszy Teklę na zleżeniu, w karczmie na gościńcu umarł. Ledwie go było za co pochować. Co się stało z Teklą, waszą matką potem, Bóg wie, a ludzie różnie pletli; mówią, że powrócić chciała do ojca, ale ją nie przyjął, i tak gdzieś zmarła nieśczęśliwa takóž. Ot i wszystko. To mówiąc stary westchnął, a widząc, że chciwie słuchający go Marek, milcząc, dodał:

— Dawne to czasy, a jam już i wówczas, kiedy się to działo, nie był młody; pamięć pogubiła wiele, tyle tylko przypomnieć mogę. Stary Lutyński na Sejmiku przez łeb cięty, długo z rany żartując i chlebem tylko a



pajęczyną ją zakładając, zawsze do ostatka po swojemu żył, jakoś mu się przyrzuciła gangrena i umarł.

Marek milczał, dwie łzy spływały mu po policzkach, nareszcie spytał dziada:

— A gdzieżby Tekla z Porębskim, ojcem moim, ślub wziąć mogli.

— Nie gdzieindziej jego w parafji tu której, albo do Wólki, albo do Stojewa, gdzie mieszkał Porębski. Chcielibyście pewnie metryki ślubnej poszukać?

— Nie mam jej właśnie.

— Pójdźcie po księżach, a kto wie, jak Pan Bóg pomoże, to się może i znajdzie, bo taki pamiętam, że ludzie mówili, jakoby ślub wzięli.

— Niechże wam Bóg płaci, zawołał Marek, przynajmniej od was cokolwiek się dowiedziałem. Radbym więcej słuchać, ale noc nadchodzi, noclegu gdzieś szukać potrzeba.

— Noclegu? rzekł stary — ha! gdybyście chcieli, tobyście i tu u mnie przespać się mogli w alkierzyku. Ja i moja Anusia mamy dwie ciupki osobno, a tam tylko trochę siana dla kóz, toby i na posłanie stało.

— Ale ja wam zawadzę!

— I, dajcież pokój! Prawda, że stare dziadziśko nie przyjmie was wyśmienie, bo niema czem, ale z dobrego serca. Kawałek chleba, choć czarnego, jeszcze się trzyma, kawałek koziego sera się znajdzie, woda kryniczna i trochę kaszy, to i po wieczery.

— Im mniej macie, tem mi ciężej będzie was objadać, rzekł Marek.

— A dajcie pokój! dajcie pokój! Ubogi się chętnie dzieli, bo jutro ma u Pana Boga w kieszeni. Prawdzieć mało mam i to z łaski Bożej tylko, ale jaka to radość podzielić się ostatkiem.

— Z czegoż wy tu żyjecie w tym łątku? spytał Marek.

— Z łaski Bożej, wylepiłem sobie chacinę, temu lat będzie kilkanaście, i nikt mnie jej nie broni; wydarłem trochę ziemi na ogródek, to się tam czasem co posieje. Mam kóz kilka, a póki sił stało, to się

bednarką bawiłem, a i Anusia nie próżnuje. Cały mój kłopot co to się z tą niebogą wnuczką moją stanie jak ja oczy zamknę. Nie już jej tu samej jednej zostac w chałupie takiej młodej i sierocie, toby to pierwszy wilk zadławił! i zmarnowałoby się Boże broń. Oj! gdyby nie to mnie na świecie trzymało, dawnoby już starym oczom należało się zamknąć do spoczynku. Bo i czas! Mam bez mała sto lat, bo małem chłopięciem pamiętam Króla Jego Mości Jana III. jak jechał na Turka pod Wiedeń.

— Nie macież krewnych?

— Krewnych! Żywej duszy! Ja chłopięciem małym sprowadzony zostałem tutaj z Mazowsza od Płocka i i cały wiek tu spędziłem. Jedną miałem córkę, a po tej mi się tylko Anusia pozostała, i nas tak dwoje tylko na szerokim świecie — ale Pan Bóg łaskaw, nie da zginać sierotom.

— Dobrze robicie, że Jemu ufacie, nikogo On nie zawiódł!

— Wiem ci ja to przez długie życie, lepiej od was Toć i to opatrność Boża, że żyjemy, bo nas żywi gdyby ptaszęta łaską swoją niewidomie. Alboż i to nie łaska Jego, że mi daje życie póki o sierotę moją nie będę spokojny? Teraz już i pracować nie zdążam, a przecie chleb jest. Świat już mnie obrzydł! tęskni dusza do Boga, a umierać nie czas. To tylko łaska jeszcze, że mnie Bóg dał w tej chacie zamieszkać; już gdzieindziej zdaje się bym nie wytrzymał! Tu cicho, że nie słyhać jak sobie życie płynie. A nawykły od młodu do pól, do gór i gołego nieba, patrzę się przynajmniej na nie i przypominam sobie stare moje lata, lepsze lata! oj! lepsze!

Marek zamyślony nie przerywał opowiadania dziadowi, który tak gwarzył po cichu, to gładząc siwą brodę, to spoglądając w stronę, z której się wnuczki Anusi spodziewał.

Słońce już było zaszło, a niebo czyste poczynąło przybierać ciemniejsze barwy wieczorne, zdala słyhać było beczenie trzód i śpiewki pastusze rozlegające się



po górach. Nagle szybkim krokiem idąca ku chacie z kilkorgiem kóz bieżących wesoło przed nią, pokazała się dziewczynka z wiązką chrustu na głowie.

Bosa, w spódnicy i gorseciku, w białej koszulce, z długimi kosami jasnych włosów, spuszczone mi na plecy, biegła Anusia jak kózka za kozami, poskakując a niespokojnie oglądając się za siebie. Była młodziuchna jeszcze, i nie wiem czy poczęła rok piętnasty, tak szczupłą i tak nierozwiniętą się pokazywała.

Twarzyczkę miała dziecięcą, nóżkę dziecka i wejście niewinnego niemowlęcia, łzawe, wesołe razem i nieświadome życia. W tej chwili przestraszył malował się na zarumienionej twarzy, a uczucie to zdawały się podzielać kozy, które biegły przed nią: gubiła po drodze chróst, który ubierała na ogień wieczorny, i oglądała się trwożliwie.

Postrzegłszy dziada, zwolniła kroku, a widząc kogoś nieznanego, instynktownie poprawiła włosy, wstrzymała się, potem obejrzawszy śpieszniej jeszcze zbliżyła się do chatki. Marek poglądał na nią z ciekawością i jakimś politowaniem razem i radości uczuciem. Pomimo opalonej twarzy i ubogiego stroju, była piękna jak małe dziewczę, a miała w sobie coś tak łagodnego i miłego, że nawet podróżni, co ją spotykali, musieli mimowolnie odwrócić się, by ją jeszcze raz zobaczyć, jak się odwraca ku jakiemu osobliwzemu zjawisku.

— To coś szczególnego, rzekł stary, że powraca bez piosenki, i leci tak żywo. Nigdy ją taką nie widział.

Ledwie tych wyrazów domówił starzec, gdyż za urwiska wychylił się jeździec na koniu porządnie ubrany z myśliwska, młody jeszcze, błady, z uśmiechem złowrogim na ustach i rozognioną twarzą.

Marek mimo zmroku poznał w nim zaraz podróżnego, którego spotkał w Wygodzie, był to bowiem Janek.

— A! takim przydybał aż na miejsce, moja Malinko! wołał Janek, i wiem teraz gdzie się kryjesz! To mówiąc zobaczył i poznał Marka, spojrzał na starca. Dziad, pomimo wieku, porwał się z kamienia, na którym siedział, i potrząsając kijem, zabierał się coś

powiedzieć: ale mu gniew i oburzenie nie dały z początku wyrzec słowa.

— Po co ganiacie się za dziewczyną, zawołał wreszcie. — A macie to Boga w sercu, nieboże to straszyc!

— Albo co? spytał Janek, wstrzymując konia — cóż to myślicie mi zabronić?

— A któż, jeśli nie ja? odparł stary, moje to dziecko.

— I cóż z tego! Dobrze, że wiem, iż wasze — będę wiedział gdzie go szukać.

Starzec trząsł się z gniewu.

— Bez Boga w sercu! bez Boga! rzekł ze złością, kijem potrząsając — o gdyby mi młode moje lata, nauczyłbym cię; paniczu!

— Ty! ty! Jankowi zaiskrzyły się oczy, podpedził konia i poskoczył do starca podnosząc batóg, który trzymał w rękę, Anusia krzyknęła straszliwie, obejmując dziada rękami; ale Marek, chwyciwszy podróżny kij, już zaslaniał dziada, i srogim wzrokiem zmierzyszy Janka, krzyknął:

— Ani kroku dalej, lub łeb ci rozbiję!

— Ty mnie! włóczęgo! zawołał Janek i zmierzyl się na niego; ale nim spuścił rękę, już z konia zrzucony leżał na ziemi.

Marek pierwszy mu wstać pomógł, nie chcąc ze zwycięstwa korzystać. — Wstawaj, rzekł, paniczu, siadaj i ruszaj z Bogiem, a nie pokazuj się tu więcej.

Szybko pochwycił się na konia Janek, ściągnął ze złością i iskrzącymi oczyma cugle koniowi, odstał i grożąc ręką zawołał:

— Czekajcie, to nie koniec. Żalice niedaleko od Wólki, a rządca Żalicki da się wam we znaki, popamiętacie dzień dzisiejszy!

— Pamiętacież także, odparł mu Marek śmiało, że ja tu na was czekać będę!

Janek w cwał zaciąwszy konia ujechał.

— Bóg zapłać, rzekł stary, padając raczej niż siadając na kamieniu i łyse czoło obejmując rękami. —



Bóg zapłać — więcej powiedzieć nie mógł. Anusia już się była schroniła do lepianki.

— To rzadca Żalicki! rzekł po chwili dziad. — Kaduk nadał mu zobaczyć Anusię, teraz dnia i nocy nie będzie spokojnej! Słyszałem ja o jego sprawkach! Niema co podobno popasać mnie w tej starej chacie, gdzie myślałem, że życia dokończę? nie ostoję się tu z Anusią! Żalico o staje, nie da nam pokoju, a i na mnie się pomści i na swoim postawi. Srogi dla ludzi i gwałtownik!

— Mie bójcież się, rzekł Marek szybko, ja tu jeszcze kilka dni w okolicy włóczyć się muszę, to na chatę wieczorami najrzę.

— Dziękuję ci mój synu, ale w dzień, ale co godziny lękać się teraz będę o moje wnuczę. Ona w chacie nie wysiedzi; młodemu to potrzeba i słoneczka, i powietrza, i swobody, trudno ją trzymać, a któżby nam kozy popasł i o chleb we wsi się postarał? A tu teraz straszno ją będzie puścić krokiem.

— E! nie bójcie się dziaduniu, odezwał się w tej chwili głoszek już uspokojonej dziewczyny z za drzwi lepianki. — Znam ja ścieżki, gdzie konno nie przejedzie, a dogonić nie dogoni, a zresztą choćby mnie i dopędził, to cóż on mnie zrobi? Zwyczajnie chciałby się pośmiać, ale ja go zbędę, że pójdzie jak zmyty. To już trzeci dzień tak się za mną pędza; a dopiero dziś, że mi się kozy rozbiegały, musiałam wracać taką ścieżką, że mnie aż tu ścigał.

Stary milczał zamyślony, Marek wpatrywał się w piękną główkę dziewczęcia, wychyloną z zadrzwi chaty i ożywioną teraz oczyma takiego wyrazu pełnemi, że czeladnikowi zdawało się, jakby słyszał je mówiące mu coś, czego tylko zrozumieć nie mógł: ale co słuchać było mu tak miło, że byłby wiek przetrwał na milczącej rozmowie. Poczynając ciemnieć na dworze, i dziad wprowadził chłopaka do swojej lepianki. Porządniejsza ona była wewnątrz niż powierzchowność jej obiecywała.

Stroili ją szcłatki lepszego bytu i dostatniejszej przeszłości. Do koła biegły pod ścianami ławy czyste,

podłoga posypana była piaskiem z ruczaju szorstkim i błyszczącym, piec i komin wybielone były schludnie. Łóżko starego stało w kącie przystojnie pokryte, a nad niem torba myśliwska, obrazek N. Panny z Krużganków niezgrabnie na drzewie przez artystę z Bobrka wycięty, gromnica i wianek i palma. Małeńki czysty stół chwiał się trochę, ale podłożony kamyk utrzymywał go od zbytniego przechylenia. Strzelba staroświecka wisiała także na kołku, obok pleciony bizun, czapka barankowa, kij osmalony. Przy łóżku stała skrzynka okuta, pokryta starą kapotą. Przez drzwi do alkie-ryzka widać było izdebkę Anusi szczupłą, z okienkiem na parowu ścianę wychodzącym, ale równie czystą jak pierwsza. Okienko to otwierało się, i w tej chwili nawet było otwarte, a woń brzoź i macierzanki porastającej boki urwiska, rozlewała się po izbach.

Starzec zafrasowany i zamyślony siadł na łóżku, Marek na ławie, Anusia zapasawszy fartuszek, jak myszka zwinna, poczęła się krzątać około wieczery. Niekiedy wesółem dziecinem odzywała się słówkiem i uśmiechem, to spójrzała na Marka, który z niej oczu nie spuszczał, a ile razy spotkał jej wzrok, niedoznane dotąd uczucie jakiegoś nieopisanego szczęścia i pokoju rozlewało się w jego duszy.

Dziewczę było dzikie, proste, ale śmiałe jak dziecko. Widocznie chciała rozweselić pochmurnego starca, opowiadając to to, to owo, czego się dowiedziała po drodze i w blizkiej wiosce. Różne wiejskie nowiny dobywała z pamięci, napróżno niemi chcąc dziada rozbawić. Mówiła mu o Wólce, o urodzajach na łąkach, które znał stary tak dobrze, o zbożu, którego los zawsze gumienego obchodził, o spodziewanej burzy, bo rosy nie było, o tem, że widziała Proboszcza, który o starego pytał, o swoich kozach, o sąsiadach; ale nic na ten raz nie zajęło zamyślnego gumienego. Powiesił głowę, nasepił brwi, czoło zmarszczył, i siedział nieporuszony. Nareszcie Anna przyszyła aż do niego i całując go w rękę, poczęła mu coś szeptać na ucho, poklekła przed nim, żeby mu w oczy zajrzeć, i wymogła, że ją



choć milcząc do serca przycisnął, ale się stary rozplakał.

Marek patrzący na to rozumiał dobrze i myśli starca i strachy. Zgrzybiały dziad obawiał się śmierci i sieroctwa dla dziewczęcia, które bez opieki zginąć mogło.

— Napróżno sobie głowę łamię, rzekł w końcu gumienny, tu nie ma co innego radzić, jak tylko temu wisusowi z oczu zejść na czas, póki nas nie zapomni. Mnie staremu, chyba Bóg nie łaskaw, nie zrobić nie może, a ty Anusiu na jaki tydzień pójdz lepiej prząść do Jeremjaszowej do Wólki. Przesiedzisz tam jaki czas a jak on tu raz drugi zobaczy, że ciebie nie ma, a pokój i zapomni.

— Albo to ja tak mogę was opuścić? spytała Anusia uśmiechając się — a co wy poczniecie bezemnie?

— O! o! bo już myślisz, że sobie rady nie dam bez ciebie. Co mi za wielka sztuka! A dużoż to koło mnie chodzenia, pewnie koło twoich kóz więcej! Nie jem wiele, ognia sobie sam rozpale, krupniku upryszczę; a tylko mi trochę tęskno będzie — ale cóż robić!

— I dalibyście pokój bać się tego panicza! a co on mnie zrobi? Ot pozartował i po wszystkim.

Stary spojrział na Marka, jakby mu co chciał powiedzieć, czego przy Anusi nie śmiał, i poruszył ramionami.

— Już kiedy mówię, to mnie słuchać potrzeba — odezwał się, jutro przed świtem pójdziesz do Jeremjaszowej i do Wniebowstąpienia tam posiedzisz.

— A jak mi Bóg miły, nie wytrzymam nie widząc was!

— No! to tam kiedy w słotę i pluchę, ukradkiem zejdziesz do mnie. — A jutro ot, ten dobry podróżny, z daleka cię przeprowadzi.

— Wy bo mnie dziaduniu, macie koniecznie za dziecko! Albo to ja sobie rady nie dam? O! ho! naprzód tylko ja i moje kozy znają jak ja wszystkie ścieżki i ścieżynki, powtóre wiatr mnie chyba dogoni.

— A koń? spytał stary.

— Koń tam nie przejdzie, gdzie ja.

— Koń przejdzie wszędzie, gdzie człowiek przejść może — dodał stary wzdychając.

Teraz Anusia spojrzała na Marka, jakby mu powiedzieć chciała, że stary sam nie wie czego się boi.

— Po co ja mam tam siedzieć u Jeremjaszowej? dodała, albo to mnie myślicie nie tęskno za moją chałupką, za wami, a nawet za kozami memi? Ja tu tak przywykłam od dzieciństwa, tak znam każdy kamyk i krzaczek, każde drzewko, każdą trawki kupkę, że mi tu tylko jak w domu, a już w Wólce to obczyzna.

— Przecież zawsze tu siedzieć nie będziesz, rzekł stary.

— A czemu? spytało dziewczę.

— Już ciż mnie tu wieki nie żyć! a potem tobie tu samej nie zostać, jak się znajdzie człowiek co ci rękę poda, będziesz musiała pójść za nim.

— O! nie! odpowiedziała Anusia — o! nie! ztąd się nie ruszę. Mnie w tym kątku tak dobrze, w tej chacie tak wesoło, tak miło, żebym ją za pałac nie pomieniała. Mnie tu nawet wróble znają. — A kto mnie ztąd może wypędzić?

— Bieda cię wypędzi! westchnął stary.

— Jaka bieda? albo to człowiekowi wiele potrzeba? — Chleb, woda, dach, a za chatą znajomy świat, na który wyrzecz wesoło, ot i dosyć.

— Dzisiaj! rzekł gumienny, i pokiwał głową.

Gdy tych słów domawiali, a wieczera była gotowa, Marek pomógł ją Anusi przynieść na stół; dawnym obyczajem dobył on swoją łyżkę z za pasa i przeżegnawszy się siadł pożywać z gospodarzem i jego wnuczką. Anusia usiadła przeciwko niemu na zydelku, i więcej podobno patrzył na śliczne dziewczę, niżeli jadł Marek; pierwszy raz na widok jej przyszło mu w życiu na myśl, że mógłby się ożenić.

Po wieczery starzec z sieni na prawo pokazał Markowi komórkę, gdzie trochę siana leżało; czeladnik pożegnawszy starca i Anusię, która mu się uśmiechnęła białe pokazując ząbki, zabrawszy tłómaczek i kij, poszedł smaczno zasnąć na siano.



Nazajutrz rano, gdy się gumienno upierał, żeby Anusia szła do Jeremjaszowej, Marek, który ufność jego wzbudził, uproszony o odprowadzenie dziewczyny, podjął się obojętnie tego obowiązku. Szedł nawet w tę stronę do proboszcza, więc mu nie było z drogi. Anusia próżno się opierała, prosiła go płaczem i śmiechem, starała się dziada przekonać, uparł się stary i iść jej kazał koniecznie.

Przygotowawszy więc wszystko w lepiance, co mogło staremu być potrzebne, rada nie rada wybrała się Anusia, zapowiadając że nie za tydzień, ale za trzy dni powróci, choćby tylko dowiedzieć się o dziada. Kozy przywykłe do wypędzania w tej godzinie, beczwały na próżno, Anna ich wypędzić nie mogła, boby za nią były pobiegły; i dopiero gdy znikła z oczu starego, gumienno zagrodkę im otworzył. Nie turbował się o ich powrót wieczorny, bo nie raz powracały same. Marek żegnając go, szepnął, że się dowie do niego, błakać zmuszony od kościołka do kościołka w tej stronie.

Słońce wschodziło, gdy on i Anusia trochę smutna wyszli z lepianki, na której progu modlił się gumienno. Chwilę szli nie mówiąc, nareszcie dziewczę spojrzało na Marka i odezwało się do niego:

— A to wy z Krakowa?

— Teraz tylko do czasu w Krakowie terminuję — odrzekł czeladnik.

— Mój Boże, jak to wy w mieście wytrwać możecie? — Ja raz tylko byłam w Krakowie, dwa lata temu, a to mi się aż w głowie zawracało. Ludzie tam żyją jak w ukropie, gwar, ścis, zgiełk i ciasnota, a za murami świata nie widać. Juściż to lepiej na wsi u nas, poczęła szczebiotać weselej — jest czem odetchnąć, jest na co popatrzeć. Jaby w mieście tygodnia z nudą nie wybyła.

— Do wszystkiego nawyknać można, rzekł na to Marek, a że ja z dziecka żyłem w mieście. to mnie się zdaje nie tak źle i w tych murach. A i miasto ma piękności. Na wsi nie widzicie takich wspaniałych kościołów i pałaców, co to je przecie na chwałę Bożą i

podziw ludzki ludzie zbudowali. A jakie nabożeństwo!

— Cóż kiedyby mnie w waszem mieście głowa się kręciła, i zdałoby mi się że mnie kto zamknął.

— I ja się wsią nie brzydzę, ale tak żyje człowiek jak może, nasz chleb w mieście.

— A macie wy ojca, matkę?

— Nikogo. — Tak, myślę się — matkę przybraną, co mnie wychowała.

— W Krakowie?

— W Warszawie!

— Aż w Warszawie! a jakże to ona was puściła tak samego jednego daleko od siebie?

— A cóż mi się stanie, moja panienko?

— Alboż ja wiem? Ale tak czegoś straszno bardzo, i jej za wami a wam za nią tęskno być musi.

— Jakże nie! rzekł z westchnieniem Marek.

— Cóż wy tu w tej stronie robicie? spytała Anusia.

— Widzicie, moja matka z tych stron była, to przyszedłem dowiadywać się tu o nią, bom jej nigdy nie znał, a mało co o niej i wiem.

— A! i ja mojej nie pamiętam, szepnęła Anusia — ani ojca. Stary mnie sam wykołysał: on mnie ojcem i matką! Mój Boże, to taki dobry pocziwy dziad. Ot i teraz trzeba mu było, nie wiedzieć dla czego, odprowadzić mnie do Jeremjaszowej! A jak on tam sobie rady da, to nie wiem. Prawda że chrust jest, że woda niedaleko, że jemu dziś w nocy wszystko a wszystko nagotowałam na cały tydzień i po księżycu przeparałam drugą koszulę na niedzielę — ale wszystko taki jemu będzie i ciężko i nudno.

— Ja tu wstąpię do niego dzisiaj — a może — dodał, i jutro. W myśli zaś powiedział sobie, i przez cały tydzień. — Nie bójcie się.

— Jak to? bylibyście tak pocziwi? pochwyciła Anusia żywo — doprawdy?

— Szczerze — doprawdy — nie bójcie się, wcześniej powrócę i jeść mu zgotuję, i wody przyniosę i drewek się postaram.

Anusia nie dowierzała, ale taka była rada, tak się



jej oczki zaświeciły, że Markowi aż serce zaskakało z radości. — Ale dla czegoż wy byście to zrobili? spytała po chwili smutniejąc.

— Dla czego? Ot tak! — wszak ci to mała rzecz bardzo. Ja sierota, wy sieroty, co to za dziw że jeden drugiemu pomoże.

— Pan Bóg wam to nagrodzi!

— O! nie ma za co. A wreszcie nie myślcie żebym to ja robił wielką rzecz. Ja tu nie mam ani znajomego, ani kąt, muszę jeszcze się dni kilka włóczyć, do brze mnie mieć kąt gdzie głowę przytulić.

Anusia popatrzała na niego i weselsza rozśmiała się. — O to! chwała Bogu, rzekła, o dziada będę spokojna. To mówiąc dochodziła do Wólki, i gdy już nie opodal chatę Jeremjaszowej widać było na pagórku w gruszach, Marek pożegnał Anusię, która mu się uśmiechnęła wesoło i poskoczyła ścieżką zarosłą, parę razy obracając główkę, żeby go jeszcze raz zobaczyć. Marek zdaleka stojąc, patrzył aż mu z oczu znikła.

My wróćmy do Janka, któregośmy zostawili szczęśliwym małżonkiem wdowy po Draczu i jego szkatułki spadkobiercą. Małżeństwo to wcale nie było szczęśliwe: wdowa zmuszona do niego, miała niechęć widoczną do narzuconego męża, a mąż wkrótce ją sobie zbrzydziwszy, wczesnie zestarzały, począł jak stary rozpustnik uganiać się za najmłodszymi dziewczętami. Nie uszło to bacności Ewy, która co wieczora, co ranka skakała do oczów Jankowi; Janek się bronił, czasem nawet nieboszczykowskiego dobywając harapnika.

Cały dzień spędzał potem na koniu, koło gospodarstwa, którego dla starosty nie tyle, ile dla siebie pilnował; na polowaniu, w którym szukał rozrywki, lub latając za wieśniaczkami i szlachciankami z okolicy.

Ale to wszystko były tylko rozrywki, celem wa-

żniejszym życia ciągle dla niego stało w oczach wzniesienie się i emancypacja z służebnictwa. Mógł wprawdzie wynieść z niego, kupując majątek za pozostałość po Draczu, ale z drugiej strony żał mu jeszcze było tego, co rządząc kluczem sam mógł jeszcze zbierać.

Tymczasem tylko napatrywał sobie wioski, powoli targował i myślał coby kupić. Wólka Lutyńskich choć nie osiedlona, dawała się tanio nabyć od Malinowskich, przy niej tuż były dwa folwarczki, już także zatargowane przez Janka.

Zwlekał tylko nabycie, spiesząc co można schwytać, nimby Żalice opuścił. Ciągłe troskanie się około grosza, swary z żoną i kłopoty gospodarskie rządzcy, nie dały mu dotąd pomyśleć o dowiedzeniu się pochodzenia matki. Odkładał to do jutra, nie wiele spodziewając się dowiedzieć i obejściem starościny, przekonany już prawie, że Tekla Lutyńska nie mogła być jej siostrą. Dopiero kupować zamyślając Wólkę dowiedział się całej prawdy, i choć o losie swej matki nie nie zasłytał, przekonał się wszakże, iż była siostrą starościny. Zwolna więc gotując sobie dowody na to i wybierając się z niemi do Warszawy, namyślał się jeszcze jak począć. Kilka już razy wpadał na przekonanie, że lepiejby może cierpliwie czekać śmierci starosty i jego żony, dopiero wówczas jako spadkobierca o poczynione przez starostę zapisy się upomnieć.

Zwolna więc rachując, jak korzystniej było postąpić, walczył sam z sobą niewiedząc na co się odważyć. Starościny mógł pogniwać, dowodząc jej pokrewieństwa, rozniewiana, mogła mu i rządzić w Żalicach odebrać i zapisy swoje na kogo innego przelać. Z drugiej strony, nie nie tracił na oczekiwaniu, majątkiem rządził sam, powoli się z niego żywił, a ciachaczem mógł za gotówkę kupować przyległe wioski.

Przychodził mu czasem na myśl brat, którego tak dziwnym trafem w drodze spotkał, ale myślał sobie, że biedny rzemieślnik, powędrował gdzieś daleko i nie powróci zapewne, a przynajmniej nie stanie mu na przeszkodzie.



W jednej ze swych myśliwskich wycieczek, Janek spotkał Anusię, i cheiwy młodości, za którą więcej, niż za wdziękiem się upędział, widząc w niej połączoną, i piękność i lata pożądane, począł się za nią uganiać. Ale dzikie dziewczę, nierozumiejące niebezpieczeństwa, tylko instyktowie wstręt mając do napaśnika, nie łatwe było do shwywania. Spotkać je nawet codzień było trudniej, a za spotkaniem gonić prawie niepodobna. Janek słowa na dziewczynie wymódrz nie potrafił, i próżno szukając zręczności, poznania się bliższego, we zwykłych śledził jej ścieżkach. Nikt nad nią lepiej nie znał wszystkich zakątków, zarośli, prześladków, przesmyków i ścieżek w okolicy; od czasu, jak postrzegła, że Janek jej szukał, poczęła chodzić takimi niedostępnymi drożynami, że ona tylko i kozy, wdrapać się tam mogły. Widział ją zdaleka nieraz, a usiłując się zbliżyć, tracił z oczów, jakby się w ziemię zapadła. Niewiedząc dotąd, gdzie mieszkała, bo w różnych kierunkach idącą ją widywał, Janek spotykał się z nią coraz rzadziej, nareszcie traf ostatniego wieczora, odkrył mu chatę Anusi.

Upokorzony w oczach jej i starca, bo zrzucony z konia jednym silnem uderzeniem Marka w którym poznał brata; postanowił zajadłej jeszcze pomścić się na wszystkich. — Nagłe zjawienie się tego którego sędził dalekim, pomieszało go przecież i napędziło myśli dziwnych do głowy, kończył zawsze na tem, że wypadło się pozbyć szewca, który w okolicy ślad o swej matce albo już odkrył, lub łatwo nań mógł wpaść.

Ale jak tego dokazać?

Janek nie był jeszcze do tego stopnia zepsutym, by się występku jawnego i krwawego dopuścić; kradł wprawdzie bez zgryzoty sumienia, ale od zabójstwa wstrzymywała go nie tyle bojaźń kary Bożej, ile sam jego charakter. Brakło mu tej namietności zarazem, i tej krwi zimnej, która występki spełnia. Myśl przechodziła przez głowę i nie poruszała go wcale; dokończyć jej siły nie miał. Czuł że odwagi by zabrakło. Jego rzeczą był nie niebezpieczny wysiłek na zbrodnię,

ale ostrożne i skryte poniewieranie się w brudach tajemnych szkarad. Wychowanie nie dało mu sumienia, nie uzbroiło go w zasady, a zmiękczając go i wycieńczywszy zawczasu, jedno z żądań razem odjęło. Janek byłby patrzył z zimną krwią na posługujące mu zabójstwo, ale ani podmówić, ani dopełnić go nie byłby się odważył. Jedyna jego namietność: chęć wznieślenia się, pragnienie zbytku i dostatku, już nieco nasyczone nadziejami, które lepiej od skutków wystarczają czasem namietności; — nie podlegały go tak silnie, by się dla nich na utratę tego co już miał, poświęcił.

Klą zjawienie się swego brata w okolicy, ale na próżno szukał środków oddalenia go, rachując na to, że przypadek który go tu sprowadził, odwiedzie go gdzie dalej. Co do starca i Anusi, blizki będąc nabycia Wólki Lutyńskiej od Malinowskich, miał wszelkie prawo sądzić, że się nie wymkną jego zemście. W tym nawet celu przyspieszył nabycie kawałka ziemi niezaczającego, które jego dostatków zdradziło nie mogło.

Zaraz nazajutrz po opisanym wypadku, pojechał do Malinowskich, i wyliczywszy zadatek, umówiwszy się o wypłatę o świętym Janie, i objęcie swej nowej posesji, powracając wstąpił do chaty gumienego, aby zobaczyć co się też tam dzieje.

Zastał go samego na progu, wiążącego niewod, co na starość jedynem było zatrudnieniem jego i zarobkiem.

— Ha! — zawołał do niego z konia — a co? cieszysz się wczorajszem! ale poczekaj będziesz miał za swoje! —

• — Cieszyć się nie ma czem, jak odgrażać się niema za co — odparł stary. Com ja temu winien, żeście po guz przyszli, i guza złapali!

— Guza! nie! nie! nie na guzie się to skończy! — rzekł miotając się na koniu Janek.

— Darujcie mnie staremu — powoli odpowiedział gumieny usiłując uspokoić i ukołysać nieprzyjaciela którego się lękał. Ja tu w tem nic nie winienem. Dziewczyna wnuczka moja, już powróciła do domu. —

— Alboż tu nie mieszka? — spytał szybko Janek. —



— O! nie, czasem tylko przychodzi mi posłużyć, a mieszka o milę — w Mogilkach.

— A! dobrze wiedzieć! podszeptał Janek.

— Ten zaś człowiek, co się z wami tak nieludzko obszedł.

— Co pleciesz stary! przypadek! złość mnie chwyciła, chciałem się rzucić na niego, i zsunąłem się z konia.

— Tak, to prawda — bąknął dziad.

— A ten człowiek zkąd?

— Nie wiem, to był podróżny.

— Dawno tu?

— Wczoraj przyszedł, dziś odszedł podobno do Krakowa. Stary, bezsilność swą ratował jak mógł kłamstwem, drżał biedny.

Janek się nieco rozdobruchał. — Słuchaj-no stary — rzekł, wiesz ty kto ja jestem?

— A toż pan sam wczoraj powiedzieliście, że z Żalic?

— Tak rzadca w Żalicach, a od św. Jana da Bóg, Pan i dziedzić Wólki Lutyńskiej, będziesz więc na moim gruncie i wybieraj sobie, albo że cię z twoją siwą głową ztąd przepędzę na zebraninę, albo jak zechce, to ci i chatę pobuduję i opatrę na resztę życia.

— Któżby to panie lepszego nie wybrał!

— No! mądrej głowie, dość na słowie, a siwy powinien być mądry. Sprowadź swoją wnuczkę do siebie, i po wszystkim.

Stary, który dotąd tylko się o siebie obawiał, teraz zatrzęsł się o Anusię, i ze strachu postanowił kłamać do końca.

— Jakże ją panie mam sprowadzić, i ona ma swoich, to ją nie puszcza. A potem, ta to dziecko.

— Co tobie do tego — masz do wyboru.

— A toć czas — rzekł stary, do św. Jana to się namyślemy.

— I pamiętaj — dodał Janek zawracając konia, żebyś o kiju za jałmużną nie poszedł.

Zaledwie stracił go z oczów gumienno, rzekł w so-

bie — No! no! nie tak to wielkie złe pójść z torbami i modlitwą, niedoczekanie wasze, żebyście mnie zastraszyli. Ciężko będzie swoją chacinę porzucić, ale bodajem się miał włóczyć jeszcze po świecie, i kości gdzie na nieświęconej ziemi położyć — no to pójdę!

I powiedziałwszy to, począł znowu niewód wiązać. Janek tymczasem nie bardzo dowierzając staremu, zasiadł się na cały dzień nieopodal od chaty, szpiegując ażali nie powróci Anusia, a nie doczekawszy się jej i widząc same z pola wracające kozy, przekonany, że go dziad nie zwiódł, pojechał do domu.

Nad wieczorem dopiero, Marek pospieszył do gumienno, który go z wielką przyjął radością.

— A co? — spytał go, Anusia?

— Bądźcie spokojni, przedzie u Jeremjaszowej; wracając przechodziłem mimo, poznała mnie i kazała mi tu siebie wyręczyć, powiedziała mi gdzie co leży; nie troszczcie się o wieczrę i ogień, ja tu dam wszystkiemu rady.

Jakoż zawiął się czeladnik spiesźnie i jął do roboty; wnet wody zaczerpnął, naczynie pomył, stół i ławy pościarał, chróstu nałamał, ogień rozłożył i wiedząc gdzie co było, począł jak umiał przygotowywać wieczrę. Stary mógł swoim zwyczajem usiąść na progu i modlić się, a potem wszedłszy do chaty, opowiedział Markowi ranne odwiedziny Janka. — Czela-dnik zamyślił się, ale nie nie odpowiedział. Spytany czy znalazł metrykę ślubną za którą do blizkiej chodził parafji, odpowiedział, że księdza nie zastał, i że kilka dni musi w tej stronie zabawić, bo proboszcz nie rychło powróć. Było to kłamstwem przecie, bo metrykę żadaną, miał już w tłómczku, ale nie chciał starca i dziewczyny na los opuścić, i postanowił zabawić pókiaby sobie lepszej rady nie dali. Wdzięchen był staremu za wiadomość o matce i gościnne przyjęcie. Anusia mimowolnie także pociągała go ku sobie. Tłómaczył się sam, że to robił z obowiązku chrześcijańskiego, że winien był pomoc starcowi, ale czuł niemniej, że i dziewczyna go wstrzymywała.



Może byłby to samo dla starego uczynił, ale pewno nie z taką radością, nie z takim uczuciem szczęścia.

Wieczera prosta wprowadzie i niewytworna, bardzo smakowała dziadowi, a Marek też który suchym chlebem i wodą dzień odbył, przysmaków nie potrzebował. Pomodliwszy się poszli spać; a nazajutrz rano wszystko w chatce urządziwszy, żeby staremu jak najlżej było, nie chcąc Marek dać poznać, że bawi tylko dla nich, poszedł niby za swoją sprawą, w istocie jak na przechadzkę ku chacie Jeremjaszowej.

Na chwilę zobaczył tam Anusię, której o dziadzie dał wiedzieć, a potem siadł na wzgórzu pod dębami, i czytając coś z pobożnej książki, poglądał na chatę w której Anusia przędła.

Kilka dni podobnych poprzyjaźniły Marka serdecznie ze starcem i Anną; ona przywykła już do niego jak do brata, on ją pokochał więcej niż siostrę. Gdy już nie było powodu dłuższego bawienia w tej stronie, a odejść trzeba było, bo i majster czekał, i mieszkańcom lepianki i Markowi, zrobiło się tęskno jakby rodzinę rzucił.

Stary zapłakał, Anusia także fartuszkciem lzy ocierała, patrząc na niego tym wzrokiem, co go do głębi poruszał. Marek i szedł i wahał się; musiał do Krakowa, a chciał mu się serdecznie pozostać. Z drugiej strony, nie bardzo był spokojny o los Anny, której Janek, jak widać było ze wszystkiego, z oka nie spuszczał.

Co tu począć?

Jakoż słońce już było wysoko, stary go wstrzymywał, chmury się zbierały, i Marek jeszcze na ten dzień pozostał.

Ten jeden dzień bardzo miał wiele znaczyć w życiu Marka.

Ku południowi gumienny poczuł się bez żadnej przyczyny słabszym niż zwykle, i zamiast wziąć się do niewodu wedle zwyczaju, musiał się w łóżko położyć. Jak to czasem bywa ze starymi, przy pierwszym

oznaku choroby, poczuł on zbliżenie się śmierci, i powiedział kładąc się w łóżko: — Już ja z niego nie wstanę!

W zaiskrzonych gorączką oczach, widać było i słabość która z życia ostatkiem walczyła, i niepokój o los Anusi.

Wnuczka także przecuciem jakimś tknięta, klekła u łóża, załamawszy ręce, i gorzko płakać poczęła. Stary milczał i myślał, snąc szukał sposobu zabezpieczenia losu sieroty, która zdawała się pastwą przeznaczoną dla Janka.

Jak tylko legł na ubogiej pościeli, coraz gorzej a gorzej mieć się począł, tak, że ku wieczorowi widoczne było niebezpieczeństwo. Anusia pobiegła do sąsiedniego przysiółka, bo tu innych nie znano lekarzy. Baba pokiwawszy głową, zgotowała ziele i dała je pić staremu, a dziad wypiwszy je, trochę ożywiony, o księdza już tylko prosił. O północy rzekł słabym głosem: — Już mnie nie będzie.

Marek polecał po księdza.

Gdy się to dzieje, Anusia płacze i ręce łamie, baba coś mruczy pod nosem, a stary stęka i wzdycha, tentent konia dał się słyszeć u chatki. Nikt go nie posłyszał prócz starca, który chwycił się o swej sile, i wskazał Anusi alkierz, aby się w nim skryła. W początku nie rozumiała dziewczyna, ale gumienny powiedział jej zebrawszy się na słowo: — Idź do alkierza i nie wychodź, a posłuszne dziecko słysząc już szelest w sionkach, wybiegło do swej izdebki. Baba tylko i dziad, pozostali sami. — Wszedł Janek z dwoma psami, zamaszysto drzwi odmykając, i zobaczywszy starego na łóżku, spytał w progu:

— A co stary, namyśliłeś się?

— Widzicie — odparł słabym głosem gumienny, namyśliłem się umrzeć.

— A! a! — zawołał Janek! doprawdy! a gdzie waza wnuczka?

Już stary kłamać na łóżu śmiertelnem nie chciał — odpowiedział więc powolnie.



— Dajcie mnie i jej pokój.

— Onaż tu musi być — rzekł, kiedyście chorzy tylkoście ją przychowali.

Stary milczał, pochmurny wzrok z pod siwych brew wlepił w młodego chłopca, podniósł się na łokciu, zachrzęszczało mu w piersi wyschłej, i głosem silnym jeszcze, bo uczucia pełnym, zawołał:

— Młody jesteś! młody jeszcze! jam stary i nmieram. Posłuchaj nauki konającego, nie czyhaj na zgubę ludzką, bo cię dotknie ręka Boża.

Janek rozśmiał się tylko.

Jak wszyscy niedowiarkowie przesądny przecie, pod uśmiechem skrył trochę strachu.

— Dajcie mi pokój z nauką, ot lepiej byście powierzyli mnie wnuczkę, ja się jej losem zajmę, moja żona weźmie ją do Żalic, do dworu — potem wydam ją za męż. —

— Bóg zapłać, dajcie mi skonać spokojnie, i idźcie sobie.

— Idźcie bo sobie panie — dodała baba. Widzicie, że stary na śmiertelnej pościeli, a wy mu głowę durzycie.

— Precz czarownico! — zakrzyczał Janek. Precz! ja z tobą nic nie mam — i usiadł na ławie wyciągając nogi, a psy poszły wietrząc po kątach, aż do łóża starego.

Po chwili ujrzał drzwi alkierzyka otwarte, i świszcząc posunął się ku nim, gumieny zadrżał, zatrząsł się i ogromniejszym jeszcze głosem zawołał:

— Idźcie ztąd, idźcie ztąd!

— Leżałbyś stary! — rzekł Janek schylając głowę i wciskając się do izdebki. — A! a! — krzyknął, widząc Anusię przytuloną w kącie -- ot i ptaszek. A co, znalazłem cię gołąbko?

Opisać wyraz jaki przybrała twarz dziada, gdy się te słowa słyszeć dały, niepodobna. Oczy zdawały mu się wyskakiwać na wierzch, ręce drgały, usta zadrżały i padł obłąkany na poduszkę, rycząc niewyraźne słowa.

Baba ciągnęła Janka za poję, wołając: Patrzajcie! chcecież go zabić? Idźcie ztąd! idźcie ztąd.

Anna, zaledwie ją doszedł krzyk starca w kątku, w którym stała przytulona, zobaczywszy drzwi wolne, bo Janek wszedł był do alkierzyka, rzuciła się w nie i nim ją mógł pochwycić, przedarła się do pierwszej izby i padła u łóżka dziadowskiego. Jeden z psów Janka pochwycił tylko uciekającą za fartuszek i oddarł szmat jego. Niezłękioną tem weale, porwała za rękę starca i poczęła ją całować, usiłując go przyprowadzić do przytomności.

Janek, który dotąd na nic nie zważał, usłyszawszy głos starego chrapliwy i podobny do ryku, przeląkł się i włosy mu na głowie kołem stały.

Powolnym krokiem jakby pijany wysliznął się z alkierza i nie idąc już do Anusi, która schroniła się pod skrzydła śmierci, usiadł o podał na ławie, okiem ją tylko mierząc zaognionem.

W tem dzwonek dał się słyszeć.

Marek z księdzem jechali, i wózek proboszcza stanął u progu lepianki; a Bóg przychodził do ubogiego, by go w drogę wieczności prowadzić. Domyślił się Janek po dzwonku proboszcza; zmieształ, począł bełkotać pytając, czy staremu czego nie potrzeba, mówiąc że zaraz odejdzie, i zabierając się wychodzić w istocie, gdy na progu spotkał się z siwowłosym księdzem i Markiem.

Marek i on, których dziwne podobieństwo twarzy wszystkich zwracało oczy, zmierzylili się wzrokiem nienawiści i gniewu. Czeladnik zaciął usta i wskazując drzwi, z cicha tylko wyrzekł:

— Precz!

Janek się wstrzymał.

— Ty śmiesz! — zawołał stłumionym głosem.

— Precz! — powtórzył Marek.

— Wiesz do kogo to mówisz?

— Do zuchwalca, co konającemu śmierć przyspiesza i z Bogiem się pojednać nie daje, do...

— Miałem iść, zostanę — rzekł Janek.

— Miałeś iść i pójdziesz — powtórzył Marek — lub...

— Lub co?

— Lub cię wypchnę.



— Ty? — Ale już więcej nie powiedział, bo Marek jedną ręką zatulił mu usta, drugą za kark ująwszy, pomimo szamotania wyniósł go prawie za próg do sieni i nie puszczając, wyprowadził aż na zewnętrzne schodki. Tu byłoby przyszło do bitwy, gdyby nie to że Janek czuł się słabszym a w sercu był tchórzem. Unikając więc jej, wyrwał się tylko z rąk brata, i uderzywszy go silnie, dopadł konia i ujechał. — Przez cały czas trwania tej sceny, konający starzec dychał tylko ciężko, słowa niemogąc wymówić; a gdy Marek ukazał się u progu jakby dając znać, że natręta wyprawił, zdawało się, że wielki ciężar spadł z jego serca i rozplakał się.

Proboszcz już był przy nim.

Kazano ustąpić Anusi i babie, a nim się spowiedź poczęła, wzięwszy za rękę starego księdza i poniosłszy ją do ust, gumienny odezwał się głosem osłabionym:

— Mój ojcze, ratujcie mnie i moją duszę, ratujcie sierotę.

— Bóg łaskaw i opatrzny, bądźcie spokojni. Bóg duszę poratuje i o sierocie nie zapomni.

— Widzieliście tego człowieka?

— Zdaje mi się, że to jest rządzca z Żalic.

— Tak, tak, — zły człowiek — nie dał mi umrzeć spokojnie, i w grobie prześladować będzie.

— W grobie pokój, mój stary.

— Alboż ja umrę spokojny, zostawiając sierotę wnuczkę, moją Anulkę, na pastwę złemu człowiekowi?

Ksiądz się zamyślił. — Bóg nie dopuści złemu zwyciężyć! rzekł po chwili.

— Pewnie ojcze?

— Bądź spokojny.

— Lecz któż zaślони sierotę? Kto się nią zaopiekuje?

— Bóg, mój stary, i poczciwi ludzie.

Marek, który słuchał od progu, bo rozmowa nie była tajemną i dość głośno prowadzona, wszedł w tej chwili, pokłonił się księdzu i przerwał:

— Pozwolicie mi starego uspokoić? rzekł ze wzruszeniem.

— Coście mówić chcieli?

— Posłuchajcie ojcze i wy stary. Wy mnie dobrze nie znacie, ja wam tak jak obcy, ale możecie mi zaufać, bo się Bogiem świadczę, że nie kłamię i nie mam złej myśli. Ja biorę na siebie opiekę Anusi.

— Mój chłopcze młody jesteś jeszcze, — rzekł ksiądz.

— I ona młoda — rzekł szwec, — niech stary błogosławi, będzie moją żoną.

Stary radośnie się uśmiechnął i jak do modlitwy złożył ręce. — Błogosławie, rzekł, błogosławie.

Ksiądz wszakże ten pospieszny krok wstrzymał i spytał Marka:

— Ależ ty ubogi, obcy moje dziecko — sam ledwie masz chleba kawałek, cóż poradzisz z żoną?

— Ubogi, to prawda, ale mam zdrowe ręce i wielką ufność w Bogu.

— Mogę powrócić do Warszawy, gdzie taki kawałek chleba mam u mojej przybranej matki i przytulisko uczciwe; będę na swoją rękę majstrem, i żonie biedować nie dam. Zresztą, ojcze mój, ubóstwo nie straszne temu, kto do niego przywykł.

Stary nie dawszy dokończyć Markowi, który miał czapkę w rękę, stojąc na środku izby, przywołał Anusi.

— Słuchaj, rzekł — oto twój mąż i opiekun — wskazał Marka. Jak ja umrę, pójdziesz z nim, a ja wam obojgu błogosławię.

To mówiąc, na klęczących wyciągnął ręce zimne i płakał, a łzy z modlitwą spadły na głowy Anusi i Marka. Anusia sama nie wiedziała co to wszystko znaczyło, ale się nie opierając podała czeladnikowi rękę.

Ksiądz zamyślony smutnie spoglądał na tę scenę.

— Mój ojcze — odezwał się gumienny, dajcie im ślub jak będzie można najrychlej — ja umrę spokojny, a tymczasem wielką byście mnie zrobili łaskę, gdybyście tę sierotę do siebie wzięli na jakiś czas.

— Do siebie nie mogę, rzekł kapłan, ale postaram się dla niej o przytułek bezpieczny, póki ich nie połączę.

— Teraz czas pomyśleć o duszy, wyrzekł stary, przyjmijcie spowiedź moją.



Anna i Marek wyszli na próg lepianki — ona w łzach, on z jakąś dumą, bo czuł się nie sam na świecie, i radośnie przyjmował opiekę nad sierotą. Z pod łez spojrzała kilka razy sierota na swego narzeczonego, jakby go pierwszy raz widziała jeszcze, przypatrywała się swojemu opiekunowi i panu.

Marek z oczyma w niebo wzniesionemi czy się modlił, czy myślał, czy wzywał przyszłości szczęśliwszej, stał milczący. W ostatku zbliżywszy się do Anusi rzekł: Choć tu nie pora o tem mówić, ale nie bójcie się niczego; powiedziałem, nie spytawszy was, że się z wami ożenie dla uspokojenia starego, byłoby to dla mnie wielkie szczęście, ale jeśli mnie nie zechcecie, będę twoim bratem i opiekunem.

Anusia nie mu nie odpowiedziała.

— Wam to pewnie nie łatwo będzie ztąd się oddalić, a tu koniecznie choć na czas potrzeba.

— Dajcie mi pokój, ja nic nie wiem, nic nie rozumiem, tylko że biednego dziada tracę. A! może go Bóg uchwala.

Zamilkli; a po chwile, gdy głos z wnętrza wzywający dał się słyszeć, weszli się modlić do izby i pokłękli w progu. Gumienny przyjmował posiłek duszy na podróż.

Długo potem jeszcze modlili się, aż ksiądz widząc starca usypiającym, zamilkł.

Ten sen był skonaniem.

Nazajutrz Anna i Marek za ciałem gumiennego szli płacząc do kościółka, a w tygodniu kilka proboszcz pobłogosławił nowożeńcom, którym za świadków służyli tylko dziadowie i baby kościelne.

My powrócić musimy do Janka, który wściekły przyszedł do dworu Żalickiego, i na wstępie żonę zastawszy z pisarzem siedzącą w ganku, rozpedził ich ogromnem

łajaniem. Sam nie dochowując żonie wiary, posadzał ją nieustannie, i wstęp ten poprzedził wieczór spędzony na swarze, wzajemnych wymówek i przekleństwach.

Rozeszli się do snu sypiąc szatanami i piorunami, i już każde w swoim kącie układać się mieli, gdy nadbiegający posłaniec z listem przywiózł wiadomość o śmierci pana starosty. Oczy Janka zaiskrzyły się potężnie, uśmiech dziki wybiegł na usta, i stłumionym głosem zawołał: Otóż już jedno!

Teraz pozostawało mu tylko czekać cierpliwie śmierci ciotki starościny.

— Żalice moje! — wołał chodząc po izbie szerokimi krokami — a do Żalic dokupię Wólkę, Wolę i trzy wioski przyległe, bo będę miał za co. I otóż ja pan! pan!

Jakby nigdy nie między niemi nie zaszło, Ewa i Janek, zapomniawszy kłótni całego wieczora, poczęli szeroko rozmawiać, a on już w tym zapale nie umiał się przed nią utaić z tem kim był i co myślał. Rozradowało to niewymownie Ewę, która się nie domyślała wysokich nadziei swego małżonka, i zupełnie ją z nim pojednało. Na tę myśl, że będzie panią, że w parafialnym kościele zajmie pierwszą ławkę, że ją w rękę ksiądz proboszcz i sąsiedzi całować będą musieli, zarumieniła się z radości.

— Będę panem, i taki całą gębą panem, zawołał Janek unosząc się. Żalice, dwie Wólki i trzy jeszcze wioski przykupiwszy, kto tu bogatszy odemnie? — pojedziemy do Warszawy.

— A! tak kotku, do Warszawy — oboje serdecznie, oboje tylko.

— A jakże! kupię sobie order, będę miał urząd i będziemy żyli jak należy panom.

— I przyjedziemy — dodała Ewa, przyjedziemy do Żalic tu poszóstno, hajduczno, żeby się powściekali ze złości ci wszyscy, którzy mnie do pierwszej ławki puścić nie chcieli. Ot i ta stara kwoka Wojska, co mi się nigdy nawet nie ukloni, i Stolnik, który nas znać nie chce, i....



Byłaby długo rachowała, gdyby mąż nie przerwał zwykłym wykrzykiem:

— Hulaj dusza!

— Ej! powściekają się! dodała Ewa.

— I będziemy panowali.

Do północy tak trwało marzenie, aż nareszcie rozeszli się połączeni po długiem nieporozumieniu współnością nadziei. Janek wszakże nie jej nie powiedział o bracie, o Anusi i o wszystkich swoich przygodach.

Nie rychło nawet ośmielił się zajrzeć do chatki gumienego, ale nie mogąc wytrzymać jednego wieczora, posunął się z psami od Wólki do parowu, w którym leżała lepianka. Zastał ją pustą, drzwi zaparte i żywej duszy na progu; nie było nawet kogo popytać o starca i wnuczkę. Zsiadłszy z konia, popróbował drzwi otworzyć, ale przekonał się tylko że były zabite. Jedyne mieszkancami strzechy słomianej były siwe wróble, które jej nie opuściły. Oddaliwszy się już od lepianki, spotkał babę, od której się dowiedział, że stary umarł a Anusia niewiedzieć gdzie się podziała.

Żał było Jankowi pięknej dziewczyny, przecież nie ona jedna młoda i ładna była na świecie, i łatwo się pocieszył w kilka dni potem, spotkawszy inną, niedoroślą choć nie tak piękną dziewczynę, a mniej daleko dziką od Anny. Rok cały upłynął jednostajnie, i położenie Janka o tyle się tylko zmieniło, że został po cichu panem wiosek i gruntów przypierających do Żalic, kupionych za pieniądze żony.

Z Warszawy przyszła wiadomość, że starościna żyć nie pędziła jak dawniej wesoło, a tracąc wdzięki i coraz mocniej cierpiąc na reumatyzmy i spazmy, nie przedstawiała przecie używać życia jak mogła. Janek dosyłał jej pieniądze, sam nawet dostał się do Warszawy, widział ją i uderzony nagłem zestarzeniem zalotnicy, rachował iż niedługoby pożyć powinna.

Ale rachuby na śmierci oparte tak są zawodne, a śmierć tak szydersko zabiera rachmistrzów, jakby się na nich mścić chciała, że się w jej sprawy nieproszeni mieszej. Starościna kawęcząc, stękając, otoczona z je-

dnej strony doktorami, z drugiej dawnymi i nowymi przyjaciółmi, żyła i żyła; Janek czekał, wyglądał, a napróżno. Kilka razy już, już zdawała się umierająca, potem znowu powstawała z choroby i wiodła życie po swojemu. Na starość gdy innych rozkoszy używać już było przytrudno, stół i jadło wytworne zastąpiły wszystkie. Sama dysponując swoje sławne obiady, na które się łakomey zbiegali, sprowadzała i kucharzy i pasztetników, i piekarzy i cukierników ze wszystkich stron świata. Poczta przywoziła jej pasztety strasburskie, szynki westfalskie, salcesony bolońskie, soje angielsko-indyjskie, trufle z Périgord, cukierki marsylskie i likwory zamorskie. Czasem za winogronami wyprawiano sztafety. Tak żyjąc, nietrudno było naówczas w Warszawie mieć wielu a wielu przyjaciół; miała też ich starościna. Dowcipna zawsze, bogata we wspomnienia, wyrozumiała na sądy ludzkie, pobłażająca słabościom, których doświadczyła sama, potrafiła przyciągnąć jeszcze do siebie i utrzymać. Wprawdzie wiek i sposób życia wielce ją zmieniły, ale na cóż nie ma sposobów? — Marszcząc podciągano, żółta skóra malowała się białą i różową, usta smarowano pomadą, brwi nakreślano starannie pędzelkiem, wrywano dłuższe z brody włosy, nakryto łysinę tupetem, wypychano czego zabrakło, wstawiono zęby, nastrzępiano suknie, i Elżusia uchodziła jeszcze za zwiędłą piękność, której pozostały ślady! Niestety, jednych oczów zagasłych, zaognionych, starych, wprawić nie było można. Przez te okienka wyglądały przeżytych lat dziesiątki.

Śmiesznie było patrzeć na staruszkę jeszcze fertyczną, mającą ruchy i pretensje młodości, uśmiechającą się dziewiczo, potrząsając główką i usiłującą robić *słodkie oczy*; ale w wielkim świecie dowcip i dobry stół czegoż nie każą przebaczyć?

Śmiano się cicho ze starościnej, a pomimo to wszyscy u niej bywali, i towarzystwo zwyczajne nie opuściło jej do końca.

Śmierć szła powoli, pozwalając żeby o niej nieopatrna starościna zapomniiała; szła po cichu, na palcach



i gotowała jej niespodziankę. — Tymczasem cóż to były za objady! jakie wieczery, co za śniadania i przekąski! Kilka razy to kościastą nogę, to suchą swą rękę śmierć kładła w pasztet lub półmisek grzybów; ale dotąd jeszcze cofała je, zostawując sobie smaczny kasek na potem.

Janek rządził w Żalicach i łykał słinkę, obiecując sobie swe służebnictwo nagrodzić późniejszym panowaniem. Wedle jego rachuby, spadek po staroście nie wieść go nie mógł, jedyną trudność spotykał w myśli, że się nim z bratem, którego nienawidził, podzielić będzie musiał. Uważał za niepodobieństwo, żeby Marek nie doszedł swego pochodzenia, i nie obstał przy podziale łakomego dziedzictwa. Nad tem więc dnie i noce schła mu głowa, jakby go w razie takim albo się pozbyć, lub niczem skwitować. Dzielić się z Żalicami nie chciał; oddać co uważał za swoje, rozdzielić się ze swoją wielkością, miał za niepodobieństwo! — Zatrutował sobie życie ciągle w tę przyszłość zaglądając ciekawie, szperając w niej, dochodząc i budując zamki na lodzie. Ewa ze swojej strony, teraz trochę dla męża łagodniejsza, cała była zajęta przyszłym panowaniem, i wielkością swoją i blaskiem, którym dziś ją za nic mające zaćmić chciała sąsiadki.

Nie było to szczęście, choć najrzeczywistsze może szczęście ludzkie w nadziejach spoczywa. Ale są czyste i skalane nadzieje, a chciwości nadzieje stanowią męczarnię, bo są Danaid naczyniem nienasyconem. Janek Żalice i trzy wsie już prawie trzymając w rękach, w miarę tego co mieć mógł, sięgał myślą dalej a dalej, chciał więcej a więcej. — Wszystkie przeszkody, które mu natrętny niepokój podsuwał, łamał, niszczył, ale niemniej walczył z niemi i jątrzył go.

W chwilach innych był znudzony, zużyty, znudzony i nieraż wszystkiemu; żony nie kochał, nie przywiązał się do nikogo, nie nie lubił, nie go nie cieszyło. Otaczający bali się go, nie dowierzali mu, a przyjacielskiej dłoni w życiu nie spotkał.

I rok za rokiem upływał a nie się w położeniu jego

nie zmieniał, tylko Janek rychło i przed czasem starzeć poczynął, a Ewa zupełnie już zbabiała, co mężowi całkiem było obojętnem, gdyż dawno na nią nie patrzył. Interes tylko wiązał tę parę ludzi, więcej ku sobie nienawiści niż życzliwości mających.

Jednego ranku śpieszy goniec z Warszawy; śmierć nareszcie uprzykrzywszy sobie fertanie się starością, i żarty które z nią stroiła, przyjechała w salcesonie bolońskim umyślnie po starą zalotnicę. Po śniadaniu wesółem, na którym głównym daniem były te nieszczesne salcesony, Elżusia zachorowała, dostała niestrawności, gorączki i — umarła.

Janek wziął pocztę i co tchu poleciał do Warszawy. Jedźmy za nim także, znajdziemy tam Marka.

Właśnie w tejże samej kamienicy, którą zajmowała na pierwszym piętrze starościna Myłżyńska, na dole w dwóch ciasnych izdebkach mieścił się majster Marek Porebski z wdową Maciejową i dwojgiem małych dzieci, z których młodsze karmiła słiczna Anna.

Trzech czeladzi, jeden chłopiec stukając młotami, żwawo wywijając igłami, ledwie nastarczyć mogli robotę, która płynęła pod Jelenia. Trzeba bowiem wiedzieć, że szyld majstra Porebskiego, dla odznaczenia od innych, nosił to piękne zwierze odmalowane na wierzchu. Izdebki były czyste, schludne, a choć w nich czułaś ubóstwo, widać było spokój i wesele. Wszystkie twarze uśmiechnięte, wszystkie oczy śmiejące się, na ustach słowa dobroci i pociechy, ręce otwarte, otwarte serca.

W pierwszej izbie, gdzie pracowali czeladnicy, za warsztatem pod oknem sam znajomy nam majster z wypogodzonym czołem, raźnie coś opowiadając, nauczając, pocieszając, dodając serca, zachęcając do pracy, robił z czeladzią. — Tu był i sprzącznik porządniejszy, i komoda jasionowa, i zwierciadełko, i kilka świętych obrazków; w drugiej izdebce Anna kołysała usypiające niemowlę, cicho rozmawiając ze starą Maciejową, która okulary na nos włożywszy, w książce nabożnej czegoś szukała. Starszy chłopak, rumiany i tegi, aby nie obudzić braciszka, nudził się wstrzymując od zabawy. —



Anna była w kwiecie rozwinienia i piękności, a jej oczy nie straciły tego wyrazu czarownego, który miała, gdy ją Marek pierwszy raz zobaczył. Tylko kibić wysmukła zawsze, stała się silniejszą, rozmeźniała, a czoło pogodne dojrzałej niewiasty, poważna a czysta myśl zajęła, i dostojność matki z dziewczęcia zrobiła ją kobietą. Widać było, że życia ubogiego nie zamąciło, bo żaden wyraz boleści w rysach pięknego oblicza nie zastąpił.

Była szczęśliwą, ale nie wiedziała o szczęściu swem, nie marzyła o niem, używała go; nie miała jeszcze zręczności porównać go, by ocenić. Jak ryba w wodzie płynęła swobodna, niewiedząc że nad nią żyją stworzenia w innym żywiole. — Cóż jej brakło? Był chleb powszedni, była praca co życie umaja, były serca przywiązane, były nadzieje w dzieciach i sumienie tak spokojne. Dni szły jeden za drugim jak równe paciorki różańca, przedzielane tylko jaką uciechą, spoczynkiem lub podwojoną radością. Ubóstwo zdawało się im naturalnym stanem człowieka, bo zmyślonych potrzeb nie mieli. Nawet los od niejakiego czasu oszczędził im przykrych wrażeń, bo żadna nieprzyjaźń i prześladowanie ich nie dotknęły. Nieprzyjaźni nie mieli, a współzawodników pogodnym czołem i szczerą przyjaźnią rozbierał Marek. Rachując wedle swego usposobienia, więcej na Boga niż na ludzi, Marek się nigdy nie dobijał o roboty, nie odrywał jej drugim, nie odmawiał czeladzi, nie nabijał o zakazy; a szło mu dobrze, i nie bogacząc się, nie potrzebował też chleba przynajmniej.

Marek był w sile lat, w pełni życia, i spojrzeć na niego miło było, tak z całego tego człowieka tchnęło poczciwe i niczem niezamącone szczęście. Nie miał on tej bladej, którą często nadaje siedzenie ludziom do niego niestworzonym, ani zapalonego lica, które goreje od sztucznego ognia wlanego we wnętrności trunkiem; ale cerę zdrowia i dojrzałych owoców. Oczy jasne, czoło niezmarszczone, uśmiech dobroci na ustach. Poczciwy i roztropny, zjednał sobie szacunek powszechny i serca wszystkich; miał on ten rozum, który u nas chłopskim nazywają, a który jest jedynym prawdziwym i do-

brym. Wszelka nauka dla niego ograniczała się nauką wiary, a czynności życia stosowały do niej ściśle.

Ztąd taki spokój i to w przyszłość zaufanie niezachwiane, z jakim poglądał na straszne dla drugich jutro.

Wcześniej Maciejowa wpoila i w Anusie te zasady, które wychowała swojego Marka; dom ten oddychał pobożnością, a na niej krzewiły się wesele duszy i spokój chrześcijański.

Majster i majstrowa i cała ich czeladka nie mieli postaci smutnych tych pobożników chytrych, co cnotę spełniając, religię wyznają i pilnują ściśle jej przepisów, aby się z tem pochlubić, a widząc z nich, jak im kosztuje poczciwość. Tu przeciwnie znać było, że tak jak byli ci ludzie, byli szczęśliwi — a nie więcej nie pragnęli i nie czuli żadnej ofiary.

Wszystkiem co mieli dzielili się z ubogim, jakby w każdym widzieli Chrystusa; starą Maciejową, zubożałą po śmierci męża, przytulili z radością, otaczali poszanowaniem jak matkę. — Nieraz ostatni grosz oboje dawali w cichości na dobry uczynek; a gdy potem chleba za co nie było kupić, Marek wesół i dumnie szedł prosić piekarza o kredyt, pewien że mu praca powróci ubytek, który uważał za obowiązek. Często też samą pracę swoją, która dla niego była całą majątnością, ofiarował majster, biegnąc na pomoc, zwaśnionych do zgody, utraconych do pociechy wiodąc, zepsutych usiłując nawrócić.

W obojętności z czeladzią był starszym bratem tylko, i kochali też go jak brata a szanowali jak ojca. Opeć się nie mógł tym, co u niego terminować chcieli, bo i rodzice chłopców z pocałowaniem ręki w takim domu umieszczali.

Jak świt wstawano do roboty, zapalały się świece, zawieszały banie, rozpalala ogień Anna, i nim się mleko uprzyżyło, majster wesół poczynął z czeladzią:

Zaczynajcie wargi moje....

Wśród stuku młotków odśpiewywano tak pobożnie modlitwy; a gdy Anna wezwwała i majstra i czeladzi



do jednego stołu na śniadanie, gdy potem nagadawszy się wesoło siadali do nowej roboty, podłuchawszy u drzwi, pozazdrościłbyś im swobody, serdecznego uweselenia i dobrej myśli, z jaką żwawo pracowali.

Majster czasem opowiadał to swoje, to cudze przygody, ale umiał każdą ukazać w świetle, jakie jego duszę objaśniało, aby poszła na korzyść słuchaczy.

Często, jak zwykle u ludu, trafił się czeladnik, co na panów, na bogaczów i wyższych narzekał, wyśmiewał ich i nienawistne ku nim budził uczucia; naówczas Marek, który poczeiwej Maciejowej pamiętał nauki, odpowiadał im:

— Zazdrościć bogatszym nie ma czego; bogactwo się błyszczy, pokrywa człowieka, ale ani go nasycza, ani leczy. Cóż oni winni że bogaci? za co mieć do nich dla tego nienawiść? każdy z was, gdyby był bogatym, nie odrzuciłby mienia i wyższości. Nienawidzić nikogo się nie godzi, nawet tych, coby nam źle czynili, a my z nich żyjemy. Kiedy nami gardzą śmiejmy się z nich tylko, byle nami Chrystus nie gardził. Poczeiwych w każdym stanie szanujemy, występkiem wszędzie gardzimy, a o te cudne złoto i świecidełka niepożywne nie starajmy się kosztem poczeiwości i pokoju.

W dniach zaburzeń ulicznych Marek potrafił podobnemi wyrazy wstrzymać rozlew krwi ohydny, i ukołysać tłum podeszczwany w widokach osobistych ludzi co życie braci za nie rachują.

Nieraz swoje życie wystawiał na niebezpieczeństwo, dopełniając obowiązku; a gdy potrafił słowami pokoju, przebaczenia i zgody nawrócić obłąkanych, modlił się i Bogu dziękował. Bo u niego wszystko poczynano się i kończyło nabożeństwem. Już naówczas i między miejskim ludem poczynano się krzewić bezbożność, podsycająca namietności, lecz wstępu jej do swojego domu nie dał majster. Najlepszego czeladnika odprawił za kilka wyrazów lekkomyślnych.

— Mój bracie — rzekł, trzymać cię nie mogę, mam młodszą czeladź, mam dzieci, żonę, a tyś zepsuty i drugich psuć możesz. Jeśli mi przyrzeczesz, że się bę-

dziesz starał poprawić, zostań, chętnie się zajmę tobą; ale jeśli ci smakuje twój stan, idźże sobie z Bogiem odemnie i nie mać mi pokoju. Daj ci Boże nawrócenie.

Takim był Marek, i kiedy mu nieraz wesoła Anna, niosąc dziecię na rękę, szarym wieczorem, jak zwykle matki, poczęła o losie przyszłym dzieci prawić, spodziewając się dla nich dostatków, bogactwa, on jej odpowiadał:

— Albo to my nie bogaci, moja rybko? Na cóż moim dzieciom dostatki większe, żeby założywszy ręce siedziały i ziewały? Nie daj Boże! Ludzie się psują bogactwem; niech pracują jak ja, i daj tylko Boże, żeby każdy z moich chłopców taką sobie wymodlił Anusię, i taki los jak mój.

Trafiło się, że go w daleki kraj ciągniono nadziejami wielkich zysków, ale on nie chciał dla nich opuścić rodzinnego miasta.

— Albo to ja będę jadł talary czy co? odpowiadał, chleb mam i dosyć. Dzieci wychować będzie za co, a jak im dam w ręce rzemiosło, umrę spokojny.

Gdy szewc śpiewa na dole wesoło, staroscina umiera na pierwszym pięttrze, i u drzwi Porebskiego przybijają czarny całun, oznaczający po miastach, że w domu jest nieboszczyk, przy którym pomodlić się powinien przechodzień. Cała kamienica ścisku pełna, bo pani była bogata; odwiedzających ciało mnóstwo, gwar sług, śpiew księży, stukot powozów i krzyki gawiedzi rozlegają się w podwórzu.

Szewc z całą swoją rodziną rankiem poszedł nawiedzić ciało, pomodlił się i wrócił do roboty. Śmierć zawsze osmutnia człowieka, choćby była najobojętniejszą, i ptaszęta dla tego są wesołe, że ich bracia, gdy przyjdzie godzina śmierci, lecą gdzieś na nieznanie smętarze złożyć kości, by niemi nie smucić swoich. — Szewc tego dnia z czeladką nie gwarzył, i rzadko tylko słowa z ust wszystkich się wyrwały. Czeladź cięcho rozповідаła urywanym głosem o zgonie nagłym staroscinej.

Nim trzeci dzień upłynął, pocztarska trąbka rozle-



gła się w podwórzu i z kolasy wysiadł Janek. Marek stał we drzwiach kamienicy właśnie, i bracia spotkali się oko w oko. Pan rzucił wzrok złośliwy na szewca i rzekł w duszy: Jest! a niepokój zatruł mu zaraz pierwszą godzinę jego szczęścia, na które czekał tak długo.

Już się pan Jan Porębski nie tail, że był siostrzeńcem starościny i jej spadkobiercą; uboczni krewni starosty, którzy ostrzyli zęby na spadek, cofnęli się przerażeni, gdy im pełnomocny pana Jana oznajmił, że cały majątek starosty zapisany był żonie, a z głowy siostry dziedziczył po niej pan Jan Porębski.

— To się nie obejdzie bez prawa! zawołali.

— Pójdziem do prawa!

— Pójdziem do prawa!

— Zapisy były fałszywe! wołali jedni. — Spadkobierca wyszedł z pod ziemi! mówili drudzy. — Mieliśmy pójść z próżnemi rękami, przerywali ostatni? to być nie może! lepiej do ostatka się stracić, niż dać się zagrabieć. — Jan więc miał do czynienia zaraz na wstępie z całym tłumem oblegającym trumnę. Ale tego się nie lękał; jemu straszniejszym daleko był brat, którego jak przypomnienie, jak groźbę w drzwiach kamienicy zobaczył. — Tymczasem Marek spiewając szyl boty i wyciągał skóry.

Pogrzeb starościny odbył się z wielką wspaniałością i przepychem. Jan Porębski wszystkiem się zajmował, a że przypomniano sobie, iż był niegdy towarzyszem pieska bonońskiego u starościny, słuchy chodziły, że ten wychowanec bliżej zmarłej dotykał niż mówiono. Spadkobiercy zażądali dowodów i otrzymali je. Niepodobna było utaić że miał brata, domagano się o niego, ale pan Jan zeznał, że nie wie co się z nim stało. Ogłoszono więc w pismach publicznych, aby do spadku po Elżbiecie z Lutyńskich Myłżyńskiej jawił się gdziekolwiek by się znajdował syn siostry jej, Tekli z Lutyńskich Porębskiej, imieniem Marek.

Szewe tymczasem nie wiedział nic, co się koło niego dzieje, i ani się domyślał, że kobieta, u której katafalku się modlił, była jego ciotką. Janek mający cały

majątek w rękę, wyjechał zabrawszy kosztowności i remanenta do Żalic, dla ułożenia interesów. Nadto długo był rządcą, żeby się nie miał namyslać nad podobnego zastępcy wyborem.

Gdy się to dzieje, a pani Ewa stroi się do kościoła, zabierając w pierwszej zasiąść ławie; Marek szyje boty i śpiewa godzinki. Jednego poranku, otwiera drzwi jego izby figura niepoczesna, długa, sucha, na lasce opierając się i pyta:

— Tu majster Porębski?

— Na usługi, ja jestem — odparł Marek wstając ze stolka, i zdejmując czapeczkę zmierzył okiem przybysza.

Był to stary, szpakowaty już mężczyzna, słusznego wzrostu, w długiej kapocie makowej, podpasany jedwabnym słuckim pasem, z wygoloną czupryną, laską o rzemyku i maleńką szabelką jakby tylko dla formy na skórzanych rapciach przyczepioną. Twarz jego uśmiechająca się słodko, chytra, miała dwoje siwych oczów, które szparko i bystro na wszystkie strony się rzucały. Wiek trochę starca pochylił, ale mu widać żywości nie odjął: spojrzał na majstra, uklonił się bardzo grzecznie, zatarł ręce i drepząc prosił, żeby mu pozwolił spocząć. Marek posadził go na ławie, sam usiadł przeciw niemu, i wpatrując się w tę dziwną twarz napiętowaną chytrością, nie uważał że z pod brwi stary także usiłował zbadać tego, z którym miał począć rozmowę. Nareszcie po chwili odchrząknął przybyły, i tak począł:

— Mam tu do Waści panie majster, maleńki interesik.

— Co każecie?

— To jest mała rzecz — mała rzecz. Nazywasz się Waś?

— Marek Porębski, jak na sztyldzie stoi.

— Aha! Marek! Z kądże rodem?

— Moja matka była z krakowskiego, a ja od dzieciństwa w Warszawie.



— A można się popytać, bo to widiecie i ja nazywam się Porebski, to mnie wasz szyld uderzył (stary kłamał) — Któż z domu była matka?

— Szlachecianka Tekla Lutyńska, bo i mój ojciec był szlachcic.

Stary połknął slinkę, zamyslił się, pokiwał głową i wpadłszy na trop, dumał co tu dalej począć.

My teraz powiedzmy, kto był ten stary ciekawy, z podgoloną czupryną.

Dziś już podobnych ludzi nie znajdziesz, zastąpili ich wprawdzie, nie mniej skuteczni nowego poзору i nowej metody prawnicy; ale stary — jur nasz zniknął. Nie nazywał się on Porebski, jak mówił: z potrzeby tylko przyznał się do tego nazwiska; imię mu było Ambroży Murdelio Śliwicki, a tytułował się Skarbnikiem, ale było to skarbnikowstwo domowej fabryki, chociaż je za dobre przyjmowano. P. Ambroży od młodych lat żył w palestrze, jak w swoim żywiole, i z namietnością prawdziwą zajmował się procesami. Wprawa dała mu biegłość w kruczkach niesłychaną, rzut oka trafny i renomę zawołanego jurysty, który tam gdzie już inni rady dać nie mogli i sposobu nie wiedzieli, znalazł jeśli nie pewną wygraną, to nieochybne przeciagnienie procesu na wiekuiste czasy. — Skarbnik miał nie tylko kawałek chleba ze swej jurysterji, ale namietność do swego powołania; tak, że gdy mu zabrakło roboty, podjąć się jej był gotów za Bóg zapłać, byleby mu pozwolono poszperać w papierach. Rodził też procesa z zadziwiającą łatwością, i nieraz ze starych papierów odgrzebywał takie, których nikt już nie tylko się spodziewać, ale przewidzieć nie mógł. Łatwa sprawa, jasna, czysta nie bawiła go wcale, i takich się nie podejmował; ale trzeba go widzieć było, gdy schylony nad zbutwiałą papierów pliką, szukał w niej śladów do prawa! oczy mu się iskrzyły, ręce drżały i usta uśmiechały łakomie. Z jakim też zapałem opowiadał szczególne *casusa*, jakie mu się w życiu trafiły!

Użyty do konferencji w sprawie, o spadek po Staroście Mylżyńskim, przez kollateralnych, napróżno mordował się, chcąc tu jakie zastosować prawo, jaki brak dokumentów zadać, lub wątpliwość ich podsunąć. Nie nie mogąc poradzić, zgryzł się stary: gdy kollateralni widząc, że nie dadzą rady P. Janowi Porebertalnu widząc, że nie dadzą rady P. Janowi Porebertalnu, już tylko przez złość ku niemu, jeśli dowodzić, że niema prawa do spadku sam, dopóki by nie okazał, co się stało z jego bratem, powołanym równie do dziedziczenia po Staroście. Był to wybieg tylko, spodziewali się zyskać na czasie, a domyślając się, że znikły brat Jana, nie musi być w położeniu bardzo szczęśliwym, wnosili, że się z nim za łada co ułożą. Poczęto więc publikować wzywając Marka Porebskiego, aby się stawił; ale szewc o niczem nie wiedział. Pan Skarbnik Śliwicki pełną mając głowę procesu, którego nie mógł poprowadzić jak chciał, a całą nadzieję w Marku, idąc ulicą wyczytał na szyldzie nazwisko majstra, tknięty tem, wszedł wybadać i nadszpiekowanie znalazł, że trafił szczęśliwie.

Poskramiając więc swoją radość, jął dalej dopytywać.

— Macież wy jakie dowody rodowitości? i jak się to stać mogło, żeby szlachcic wziął się do kopyta?

— Albo to co ma do szlachectwa? odparł szewc śmiejąc się — teraz ci już przecie nie czas gardzić rzemieślnikiem, co w pocie czoła na chleb zarabia. Wszelka praca uczciwa, a występki tylko kala szlachectwo.

— O! ba! jaki Waśc sensat! rzekł adwokat kręcąc rzemyk u laski — ale to nie dorzeczy. Masz że, Waśc dowody swojej rodowitości?

— A jakże! odparł Marek — ale po co to wszystko mój panie? Wam z tego nic nie przybędzie, nie ubędzie, a mnie czas drogi.

— Ej! chodź no Waśc do alkierza, coś ja Waści powiem, szepnął adwokat, i pierwszy wysliznął się do izdebki, w której Anna z pończoszka siedziała u kolebki dziecka.

Piękna majstrowa ukłoniwszy mu się, wskazała



krzeselko, prawnik obejrzał i skinął głową jej Maciejowej, która ledwie oczy w okulary strojne z książki podniosła, i zbliżając się do Marka rzekł po cichu:

— Nie będę z waszmością mydlił — *clara pacta* ot tak się rzecz ma. Na Waści spadło dziedzictwo znaczne.

— Na mnie! zawołał szewc z podziwieniem, więcej niż radością.

— No — no, niech się wam tylko zbytnie głowa nie zawraca — zaraz wszystko rozpowiem. I usiadł, a potoczywszy wzrokiem do koła, tak kończył:

— Zmarła niedawno, podobno nawet w tejsze kamienicy, wdowa po JW. Staroście M. Janie Krzysztografie Myłżyńskim, z domu Elżbieta Lutyńska, była *ut acta probant*, siostrą rodzoną Tekli Lutyńskiej za Porębskim będącej, i z nim dwóch synów bliźniąt mającej. Synowie ci Jan i Marek imieniem, jesteście wy moiści szewcze i drugi Porębski, dziś *detentor* Żalic i całego dziedzictwa *abusive et contra legem*. — Połowa dziedzictwa, jeżeli się ona wam należeć okaże (*res sub judice est*), należy wam panie Marku.

— Więc mam brata! brata i ten brat żyje, i ja go nie znam! gdzie jest mój brat — gdzie brat mój? zawołał Marek, na Boga mówcie!

— Ale tu nie o brata chodzi, rzekł gorsząc się prawnik, *res gravior*, sukcesja.

— Co mi tam sukcesja! Bóg mi daje brata, a jabym się miał cieszyć pieniędzmi.

— *Stupidus!* rzekł do siebie po cichu jurysta — *stupidissimus!* — Brat ten Waści chce ograbić, chce odrzeć, chce w łyżce wody utopić.

— Brat mnie! jakże to być może, my się nie znamy! ale gdzie on jest? tu w Warszawie?

— Nie *pro tunc* w Żalicach bawi, pod Krakowem.

— W Żalicach!

— Gdzie *olim* był rządcą z ręki Starościej, która *ut supponitur*, wiedziała o pokrewieństwie, nie przyznając się do niego, *ex ambitione*, i z wielkiego animuszu.

Marek ruszył ramionami.

— Był rządcą —! o to on! zawołał, to on!

Markowi ręce opadły. — Znam go, rzekł — i toś ty był mój brat?

— Ale słuchajże mnie, dodał prawnik zniecierpliwiony — to nie koniec.

— Słucham, rzekł szewc roztargniony.

— Sprawa się toczy o spadek, między urodzonym Janem Porębskim, a krewnemi najbliższymi Jana Krzysztografie *ex linnea collateralis*. Proces jest na tej stopie, że jak jedni, tak drudzy wygrać mogą.

Anna i Maciejowa powstawszy, jedna od roboty, druga od modlitwy, ciekawie i zadziwione przysłuchiwały się mowie jurysty.

— Jabym życzył Waści, korzystając z uporu brata, kończył P. Skarbnik, który układać się nie chce, i do sądów pociąga, samemu o swą połowę przystąpić *sine mora* do przyjacielskiego porozumienia. *Eventus* sądów *dubius*; kollateralni kolligaci, Waszmość sami sobą tylko, lepiej się kombinować.

— Ale daj mi pan pokój, odparł Marek — naprzód chcę widzieć i poznać brata, o majątek mi nie chodzi.

— Jakto o majątek nie chodzi? do najwyższego stopnia zadziwiony, spytał adwokat: o majątek nie chodzi! a o cóż chodzi?

— Z łaski Bożej i z mojej pracy mam chleba kawałek, z mojego stanu jestem rad, a co Bóg da więcej, to dali dobrze, nieda — drugie dobrze — obejdzimy się.

— *Stupidissimus!* powtórzył jurysta, *mente captus* — ale to wszystko dobrze, dodał w sobie, rzecze się dziedzictwa byle za co.

— No, to jak Waści o majątek nie chodzi — to go odstap za cokolwiek i rezygnuj kollateralnym, w rękę jeszcze cię pocałują, dodał. A kto wie, może i dobrze zrobisz, to proces, to kłopot, a *eventus*, *sicut dixi*, *dubius*.

— Po łacinie nie rozumiem, odparł Marek, ale tymczasem ja bez brata nie nie pocznę, a i namyslić się potrzeba.



— Bez brata Waś nie poczniesz! a toż brat cię chce zgubić.

— Ale dajże pan pokój! to być nie może!

— No! zobaczysz. — Ale jeszcze słowo — nie myślicie sami przez się kombinować się, piękny by wam grosz przyjsć mógł!

— Sam bez brata nie pocznę — rzekł stanowczo patrząc na Annę Marek.

— No, jak tak, to róbcieź sobie co chcecie — ale zawsze takż winniście mi cokolwiek wdzięczności za wiadomość, któraby do was jak uważam nie łatwo inaczej doszła.

— Istotnie — zawołał szewc, napelniliście moje serce radością, uwiadamiając mnie, że mam brata!

— I majątek *tandem*.

Marek głową niedbale kiwnął, Anna się uśmiechnęła łagodnie i biorąc go na stronę szepnęła. — Trzeba tego zwiastuna lepszej doli dla naszych dzieci, przyjać czemś, poslijcie po przekąskę i wina flaszę.

Marek zaprzął się z żoną, zastawieniem stolika w alkierzu, a jurysta chodził zamyślony; przyjęto go jak najuprzejmiej, i czem tylko było można, aż się nareszcie, napróżno tentując majstra, i dając mu do namysłu dwa dni, oddalił.

Po wyjściu jego szewc nie usiadł już do roboty; poszedł do żony i starej Maciejowej, gdyż wiele z sobą do mówienia mieli, kobiety cieszyły się i marzyły już, majster surowiej na rzeczy patrząc więcej się kłopotał niż radował.

— Będziemy więc bogaci: zawołała Anna, jak z nieba spadł nam majątek!

— Nie ciescie się! rzekł Marek — majątek nie jest tak wielkiem szczęściem, jak się wydaje, zwłaszcza dla ludzi co do niego nie zwykli. Inni toby się już bez niego obejść nie potrafili — ale my!

— Zmiłuj się, a dzieci! zawołała Anna.

— Alboż nie mamy ich za co wychować, i co im zostawić? Najpewniejszy to majątek, co na końcu palców; a jak co sam zarobię, tu u mnie najśłodszy

grosz. A co ta fortuna niewiedzieć jak zebrana, niewiedzieć zkąd przybyła, niewiedzieć za co — więcej mnie straszy niż cieszy.

— Ty bo dziwny jesteś człowiek! odparła Anna, gotoweś się jej wyrzec.

— Ba! gdybym był sam! pewnie bym to uczynił. — Ale zresztą, niech no to przyjdzie, zobaczymy! odrzucać nie myślę, jeno to mnie już kłopotce, że nie wiem, co z tem będę robił!

Maciejowa pocałowała go w głowę.

— Dziecko moje! rzekła, jak ma iść w złe ręce — lepiej że się tobie dostanie. Znajdziesz co robić z groszem, tylu jest ubogich.

— A! prawda! — przerwał Marek, całując ją w rękę, o tem nie pomyślałem. Ot widzicie, jeszcze się nie dotknął pieniędzy, a już i gorszy i głupszy.

Rozśmiała się Anna, i wieczór przeszedł na wesołej rozmowie, czoło tylko Marka zasępiło się, w nocy spać nie mógł, nazajutrz chodził po izbie, bo usiedzieć nie potrafił, i myślał a myślał. Ku wieczorowi dopiero splunął, pomodlił się i chwytając kopyto rzekł:

— Ot lepiej po swojemu żyć będę — niech tam lichy bierze bogactwo — bo i spać i jeść, i spokojnie chwili użyć nie daje.

W alkierzu Anna z Maciejową, marzyły i prześcigały się w wymyślaniu losu, dla chłopaków, którzy niewiedząc, o co chodziło, bawili się wesoło jak przedtem.

Tymczasem pan Jan Porebski, leciał na rozstawionych koniach do Warszawy, szukać brata, pewien będąc, że z nim się jak zechce ułoży; a bojąc się razem, by go nie odszukali przeciwnicy i w układy z nim nie weszli, wziął z sobą parę tysięcy dukatów, postanowiwszy okazać się tu, czem nigdy nie był, czułym, wspaniałomyślnym i serdecznym.

W kilka dni po odwiedzinach Skarbnika, które się bez skutku powtórzyły, Janek wysiadał w kamienicy niegdy zajmowanej przez Starościne, i z szumem i łoskotem wpadł do izby pana majstra, zajętego już znowu swoim rzemiosłem.



Twarz jego zmęczona, blada, przybrała wyraz serdeczności potrzebnej; na progu spojrział i łatwo rozpoznał Marka, rzucił się w jego objęcia.

— Więc mam brata! zawołał teatralnie — o dniu szczęśliwy!

Marek zapomniawszy całej przeszłości i nie pytając o nic, ze łzami przycisnął go do piersi. — Anno! zawołał, matko! chodźcie! chodźcie, to mój brat! to brat mój!

Kobiety wybiegły z alkierza, a Jan, który do wypicia tego kielicha był przygotowany, choć poznał Annę i zmieszał się, choć się wzdragał uściśnąć starą Maciejową, dopełnił wszystkiego jak należało, aby dać o sobie jak najlepsze wyobrażenie, i byłby może wycałował czeladników, gdyby się to na co przydać miało.

— Błogosławie ten proces, zawołał nareszcie odetchnawszy po uściskach i oddając synka zarumienionej Annie — nie dla pieniędzy marnych, bo tych mam dość, ale że mi daje brata! pamiętasz kochany bracie, dodał — ileśmy razy spotkali się w życiu, niewiedząc o sobie.

— Pod Warszawą pierwszy raz, ja wam nawet mówiłem imię naszej matki.

— Tak, ale ja naówczas byłem w zupełnej mego pochodzenia nieświadomości.

O drugim i późniejszym spotkaniu, mowy nie było. Marek chciał o niej zapomnieć, boby musiał nienawidzieć tego, którego kochać pragnął. Jan się wstydził. — Ale wreszcie trzeba się było wytłumaczyć i z tego, a Jan śmiejąc się, złożył na wiek namiętności, uczynki, którymi jak mówił, brzydził się teraz.

Oba bracia opowiedzieli sobie życie swoje, Marek z zupełną szczerością, Janek fałszywie i nieprzyznając się ani do źródła swego majątku, ani do jego wielkości.

Cały zdawał się zajęty bratem i zapewnieniem mu, jak nazywał losu; ofiarował gotowość do posług, poświęcenie zupełne, przyjaźń wieczną i trud i t. d.

Przez półtora dnia trwały te wynurzenia się, a biedny szewc brał wszystko za prawdę i łatwo dał z so-

bą uczynić bratu, co mu się podobało. Brat ten tak był serdeczny, tak przywiązany, tak wylany, dla nich! Powtarzał ciągle: — niedbam o ten spadek, odstępuję ci go, bierz, rób co chcesz.

— Ale cóż ja z nim pocznę, i jak sobie dam radę, rzekł Marek — ja nie wiem ani sposobu odzyskać go, ani mam czas na to, pierwszy z brzegu prawnik mnie podejdzie, stracę co mam z pracy mojej, a kto wie, co zrobię.

— To prawda! mówił Janek, ale cóż poradzić? znając mnie tak mało, mógłbyś posądzić o chciwość, gdybym ci co innego zaproponował.

— Rób co chcesz.

— Rób co chcesz.

— Zajmij się ty.

— Ty się zajmij.

Po długich zrzekaniach się z jednej strony szczerych, z drugiej obłudnych, stało na tem, że Janek zobaczywszy jak łatwo brata zaspokoi, z dwóch tysięcy dukatów, dał mu tylko tysiąc, i otrzymał zupełne od niego zrzeczenie się spadku. Marek tak był pewien, że brat największą mu robi łaskę, iż on i żona i dzieci, ucałowali ręce dobroczyńcy odbierając tę sumkę, nie będąc nawet dziesiątą częścią tego, co im należało. Janek zapewniwszy sobie urzędowe ustępstwo spadków, pożegnał Marka trochę oziębłej, siadł spiesźnie do powozu, pod pozorem tęsknoty i niepokoju za żoną, i z Warszawy wyjechał.

Obejście jego z Markiem, tak było dobrze odegrana komedją, że majster i jego rodzina, przekonani byli o najczulszem przywiązaniu, o największem poświęceniu Janka dla siebie.

Trwało to jednak niedługo; nazajutrz po wyjeździe brata, czytający tylko P. Skarbnik Śliwicki, wpadł do izby z nowymi namowami na kombinację.

Szewc powitał go wesołą twarzą.

— E! panie Skarbniku, już wszystko skończone, pozbyłem się kłopotu i zdałem całą biedę na brata.

— Jakto? daliście mu pełną moc? he.



— Nie — rzekłem się wszystkiego na niego.

— Jest! patrzcie! załamując ręce, rzekł P. Sliwicki, tandem, jeśli wolno zapytać, a cóż Waści dał?

— Biedny brat, może ze stratą, ale mi tysiąc dukatów wyliczył.

— Rocznie? spytał pan Sliwicki.

— Jakto rocznie — raz i koniec.

Skarbnik śmiejąc się szydersko rzucił się na kanapę. — Cha! cha! zawołał, po bratersku Waści ociął, a toż ja byłbym kończył z podziękowaniem za pięć, za sześć tysięcy dukatów.

Marek osłupiał, ale niepodobno mu było uwierzyć w taką obłudę, w taką brata podłość, serce mu się wzdymało i wypędził niegrzecznie trochę jurystę.

Ale, podejrzenia go obległy, ale niespokój nim owładnął. Żona, która trochę jakiejs nieufności na dnie serca zachowała, poczyniała mu wymawiać zbytek wiary, wyrzucając ją i sobie. Marek doznał pierwszy raz w życiu uczuć przykrych, któremi jak żółcią serce nabiega przy sprawach pieniężnych. Dawny spokój i swoboda uciekły.

Skarb też swój, owe złoto, którem zbył go brat, ciążyło mu, bał się o nie, nie wiedział co z niem zrobić, i przetrwawszy dni kilkanaście w niepokoju o złodzieja, o przypadek; w namysłach, które mu spać nie dawały, w próżnowaniu, które go odrywało od pracy i kierunku warstatem, jednego ranku znacznie zmieniony, dość smutny i blady, wszedł do alkierza, w którym sama jedna siedziała Anna, równie teraz posępna i zamyślona jak on.

Pocałował ją w czoło i siadłszy przy niej na łóżku — serce moje — szepnął jej — ja i ty smutni coś jesteśmy, od czasu tej nieszczęsnej sukcesji, pieniądze nasze nas dławią, chciwość powoli zatruwa spokojność. Gdzie nasze dawne szczęście Anusia?

— Annie łezka zakręciła się w oczach — mój drogi, rzekła, i ja już od myśli, przemyśłów i kłopotów dostałam gorączki. Radźmy co zrobić?

— Mnie się zdaje, rzekł szewc, pozbyć się jak naj-

rychlej pieniędzy uczciwie i pożytecznie, a samym zapomniawszy, co nas spotkało, żyć po staremu i swego patrzeć.

— I znów kochać się i nie troskać o jutro, dodała Anna ści-kając męża. Od czasu jak to złoto w kufrze, każde spojrzenie czeladnika strachem mnie napęnia; podejrzywam domowników, boję się złodzieja.

— I ja tak samo, i ja moje serce.

— A więc duszo droga — róbmy co chcesz, aby odzyskać nasze dawne życie. Po co nam ten kłopot?

Majster wziął na siebie kapotę i wyszedł na miasto, poradzić się ludzi. Znalazł starszych mieszczan na Ratuszu, a ci uśmiawszy się z niego do woli, radzili mu bardzo różnie.

Ławnicy chcieli, żeby zrobił ofiarę na Ratusz; inni, żeby oddał na szpital, którym zawiadywali; złotnik życzył żeby kupił sreber; ksiądz przechodząc mimo, radził zapisać na klasztor i tym podobnie, zupełnie jak w Molierze. Nareszcie stary jeden przerwał:

— Wiesz Waś co, tak ci to w pierwszych dniach zdaje się, że pieniądze ciężą, ale jak się ich pozbędziesz, będzie ci ich żal znowu. Z niemi to tak zawsze: póki są, nie wiedzieć co robić, pozbywszy się, utrapienie nowe, że nie ma. Ot posłuchaj rady mojej, kup sobie dom: co ci przyjdzie z najmu mieszkań, nie za cięży; a jak tam jakiemu ubogiemu dasz darmo przytułek, więcej uczynisz, niżbyś zapisał na szpital. Na starość będziesz miał przytulisko i chleba kawałek.

Posłuchał Marek, i wkrótce przeniósł się do bardzo porządnej kamieniczki, którą kupił na jednej z przedniejszych ulic miasta. Sam przywykły, zajął mieszkanie na dole, pierwsze i drugie piętro najmował; na tyle zaś i strychu mieścił ubogich rzemieślników tak jak darmo, bo brał od nich tyle tylko, żeby ich nie upokarzać datkiem, żeby sądzić mogli że się oszukał w najmie.

Powoli Marek odzyskał spokój dawny, i wesołość pierwszą; niekiedy tylko wspomnienie brata i podejrzenia wywołane przez Skarbnika chwilami go trapiły.



W istocie postępowanie Janka usprawiedliwiło złe o nim mniemanie: otrzymawszy bowiem czego żądał, zagarnawszy spadek po Staroście cały, osadziwszy rządząc w Żalickim kluczu, przybył z żoną do Warszawy, ale ani się ukazał u Marka.

Marek dowiedział się o nim, widywał go nawet zdaleka, ale nic nie mówił o tem żonie, aby jej nie gryźć; sam zaś westchnawszy po cichu, wylawszy łez kilka, usiłował zapomnieć, że miał brata. Nigdyby był za nie w życiu sam teraz pierwszy ręki do niego nie wyciągnął; nie żał mu było majątności wydarłej, ale bolało podejsięcie i zdrada, upokorzało oszukaństwo.

Zresztą nie miał ku niemu nienawiści i przebaczał mu chętnie, mówiąc sobie w duchu:

— Biedny obłąkał się goniąc za groszem, niechże choć tego szczęśliwie używa.

Traf jakiś chciał, żeby w sąsiednim domu państwo Porebscy zajęli mieszkanie. Codzień więc widywał go z okna Marek, usiłując tylko jak mógł najdłużej zakrywać go przed Anną; i nierychło też czeladź oznajmiła pani majstrowej, o p. Janie. Anna w początku pobiegła do męża z oznajmieniem nowiny i chciała z nim iść do brata, ale Marek wzięwszy ją do alkierza, odkrył jej prawdę.

Anusia popłakała trochę, pogniwiała się, przebaczyła nareszcie, i z pewną dumą rzekła:

— Dobrze, dobrze — niechże sobie przywiązańszych od naszych i lepszych serc szuka. Daj Boże, żeby je znalazł.

Tylko Maciejowa przebaczyć nie mogąc, srodze łajała Janka, nie przy bracie wprowadzie, ale przed Anną, gdy go nie było w domu.

Państwo Porebscy, przybywszy do Warszawy, poczęli wieść życie pańskie. Janek chciał sobie nagrodzić wycierpiane na wsi oczekiwania, i sygnąć złotem, torował drogę do towarzystwa wyższego. Ewa, której się chciało być piękną jeszcze, i udawać kobietę wielkiego tonu, była najstraszniejszym czupiradłem, jakim się szczyścić mogła Warszawa. Janek jako tako grał rolę

pana ale Jejmość tak była w niej pocieszna, że wkrótce zwabiła do siebie szyderskie towarzystwo, pragnące ją widzieć z bliska. Strój, mowa, powóz, ludzie, przyjęcie, mieszkanie, wszystko tu sobie odpowiadało; Jankowi i Jejmości głowy się zawracały, a nowi znajomi, opijając, objadając ich i ośmiewając, pożyczając pieniędzy, wyzywając w karty, wkrótce utworzyli koło nich brzęczycy rój much, które lgną do cukru.

Jak przewidzieć łatwo, Janek padł ofiarą oszustów, co przed nim odegrywali rolę ludzi wielkiego świata; po nich, biorąc ich za stopnie, myślał się weisnąć w lepsze towarzystwo, ale do tego przystęp zawsze trudniejszy jest, niż sobie ludzie wyobrażają. Wprawdzie pieniądze są kluczem pewnym, ale tych przynajmniej mieć potrzeba bardzo wiele, a Janek zaledwie w stolicy podrzedną mógł w tym względzie grać rolę. Przecież dom się jego napełnił, i to niepoślednimi na oko figurami, które albo szczyliły się krajowemi i cudzoziemskimi orderami, albo tytułowały szumną. Między innemi, przyjacielem najpoufalszym był Baron Hintenfeld, którego żona podjęła się wychowaniem ostatecznem do stołecznych obyczajów zastosowaniem, obdarzyć panią Ewę. Baron Hilary Hintenfeld pochodzący jak mówił, ze starej Inflantskiej familji, szczylił się orderem św. Huberta, Bożogrobskim i św. Stanisława. Był to mężczyzna rośli, czarny, atletyczny postawy, ramion szerokich, z wąsem potężnym i bródką hiszpańską; nosił się z cudzoziemska, mówił głośno, zarywał na wojaka, i usiłował przybrać minę i pozór człowieka z wielkim światem oswojonego. W rozmowie cytował, często gęsto, książąt, hrabiów, Senatorów po imieniu; opowiadał o wielkich swych dobrach, o podróżach, a szczególnie o powodzeniach, jakie go spotkały na dworze króla Ludwika XVI, gdzie lat kilka spędził, jak powiadał, codzień będąc na wieczorze i na grze w Tuilleries. Piękne brylanty, ogromny zbiór tabakierek, wiele kosztowności i błyskotek, któremi się obwieszać lubił, charakteryzowały go. Żona młodziuchna i piękna brunetka,



nie miała wprawdzie tyle pewności siebie, i nie mówiła tak głośno o sobie jak mąż, ale niemniej usilnie starała się grać rolę damy wielkiego świata.

Baron Hintenfeld przyjmował u siebie na krakowskiem przedmieściu, w przepysznie urządzonych apartamentach, mnóstwo gości, których zwabiały, czarne oczy Baronowej, wyborny stół i gra. Gra stanowiła główne zajęcie w salonach pana barona; ale że w owym czasie upadku moralnego, grano wszędzie i ogromnie, nie dziwiło to wcale, ani odcechowywało szczególniejszej domu Infantczyka. Przegrywano wprawdzie u niego sumy bardzo znaczne i brat pani Grab..... królewskiej kochanki, dwa razy się był zgrał ze szczerem w domu barona; ale któż mu był winien. Hintenfeld sam nawet nie wygrał, tylko przyjaciel jego Pogorzelski, który zwykłe bank trzymał. Łatwo namówiono Janka do gry przedstawiając mu, że przy niej robiły się najważniejsze znajomości, że ona wstęp dawała wszędzie, że wszyscy ludzie wyższego stanu grali. Janek choć chciwy i skąpy, a może właśnie dla tego, że skąpy i chciwy, począł grać w początku bez namietności, wkrótce potem zajadło i wściekło; szczęście jednak mu nie służyło.

Ale choć najlepiej znał fundusze swoje i stan majątkowy, teraz gdy doszedł szczybla, na którym stać pragnął, durzył się sam sądząc niewyczerpanie bogatym; wszelkiego rodzaju straty pieniądze, zdawały mu się mało znaczące. Codzień widując po kilkanaście tysięcy czerwonych złotych na stolikach gry, począł jak wszyscy gracze mniej coraz ważyć wydatki pieniężne i wartość gorsza.

Tymczasem sama pani opływała w rozkoszach, rozsiedając się w pasowej swej karecie, za którą dwóch galonowanych i pudrowanych lokajów stawali na podziw miastu w liberji seledinowej z pasowym. Cztery przepyszne taranty woziły Jejmość do kościoła i znajomych, uginając się pod złocistemi chomaty. Wszystko koło niej co tylko złotem lub złocistem być mogło, świeciło się tym czarownym kruszczem. We własnem ubraniu,

jak w ubraniu koni, świecidełka panowały; w pokojach stołeczki nawet pod nogi, choć malarskiem złotem pościągano.

Rzuciwszy się w to życie, które było długiem marzeniem dla Janka, Porebski dążył teraz do nowych celów. Dręczyło go że nie miał ani urzędu, ani orderów, ani wstępu na królewskie pokoje, gryzły go spotykane w dopięciu tych ostatnich pożądań trudności; ale że dyplomy z okienkami na ordery już się sprzedawać poczynaly, łatwo wkrótce zaspokoić się mógł św. Stanisława wstęgą, którą włożył pierwszego dnia pod szlafrok od rana w niej chodząc. Jakieś Łowczowstwo zawakowało i nowe starania o to nie bez kosztu uczyniły go przecie panem Łowczym, co go w pewien sposób postawiło na świecie, jakkolwiek małą bardzo rzeczą było Łowczowstwo każde. Janek mając tymczasową kopertę, sięgał już myślą wyżej a wyżej. Jakieś tam drwiny z jego tytułu wkrótce były przyczyną, że go prawie porzucił i o nowy starać się począł.

Jejmość tymczasem w miarę czasu, jakie na wychowanie swe nowe łożyła, stawała się coraz śmieszniejszą, nabierając odwagi, z którą prawda śmiało niestworzone rzeczy. Rzuciła się wkrótce w francuzczyznę, i wygadywać poczęła najosobliwsze androny, któremi bawiła się cała Warszawa.

Rok za rokiem upływał lecąc jak strzała, a z podziwieniem obojga państwa, stanąwszy u szczytu, nie czuli się tak szczęśliwi jak marzyli. Pani zmuszona w pośledniejszym kręgu towarzystwa się obracać, postrzegała powoli, że są rzeczy których dostąpić próżno pragnie, są drzwi które się jej nigdy nie otworzą, są ludzie co ją nigdy nie przyjmą. W Warszawie też dopiero przekonana się, że nie mogła liczyć się do piękności, w których rzedzie stać życzyła, pamiętając młodość więcej niż należało.

Jan po kilku dniach zażądał Orła Białego, po kilku innych marzył o urzędzie ważniejszym niż tytularne jakieś Łowiectwo! Wielkość której dosięgnął, wydawała mu się lichotą, stopniem tylko do nowych. Tymczasem



pragnąc pójść wyżej, spotykał nieprzełamane zawady. W dodatku nieprzebrane bogactwa przebierać się począł z pomocą barona Hintenfeld i pięknej baronowej, która Janka wzięwszy za powiernika, zwierzyła mu się, iż mąż jej wiele odmawiał. Janek chętnie pożyczając począł pięknej baronowej, a w zamian odbierał takie uśmiechy, takie dowody uczucia!...

W następującym roku pobytu w Warszawie, który był nieurodzajny i niehandlowy, Żalicy nie dały zwykłej intraty, i potrzeba było na życie i karety dług zaciągnąć. Gra też szła coraz niepomysłniej panu Janowi, a Ewa coraz szumniej na swoje wydatki nie skąpiła jego kieszeni: długi poczęły znakomicie wyrastać. Pani baronowa ze swej strony uczyniwszy raz początek, co tydzień prawie nowych pożyczek od pana Jana potrzebowała; jakże jej było odmówić?

Pan Jan Porębski wejrzawszy raz w chwili wolniejszej w stan swoich interesów, załakł się i poszedł do Ewy rankiem, aby jej oznajmić jak stali niebezpiecznie. Małżonkowie oddawna oddzielne mieli apartamenta; zapukawszy więc do pokoju Jejmości i otrzymawszy pozwolenie wnijsia, Jan wsunął się do jej sypialni.

Był to najniesmacniejszy w świecie gabinet, przystrojony na pocięgę ludziom, którzy wstęp do niego mieli. Ogromne łóż złociste, podniesione na stopniach wznosiło się w zagłębieniu, pokryte baldachymem adamaszkowym z frendlami, sznurami i kutasami złotymi, w rogach i na wierzchu zdobiły go pióra strusie pasowe. Ściany obite były niebiesko ze złotem, a firanki niebieskie i pasowe krzyżowały się w oknie. Firanki te całe były oszyte frendlą złotą, galonami i związywane sznurami złocistymi; na kominie był zegar od alabastru, złota, marmuru czarnego, z figurkami z porcelany, kwiatami robionymi i szklanymi, jak u żyrandola świecidełkami. Obok niego dwa świeczniki brązowe z marmurem. Dywan na podłodze jaskrawy i mnóstwo sprzętów niedobrych, krzyczących wadziły się z sobą.

Jejmość fryzowano właśnie, ale się miało ubranie

głowy wylysiałej ku końcowi, a Janek odprawiając francuza co ją tapirował i garderobianę, odezwał się z westchnieniem siadając w berzerce:

— A co pani? czas nam pomyśleć o sobie.

— Jakto kochańciu?

— Przyszedłem pomówić z tobą serjo, i jest o czem.

— A! duszko, mam dziś *mingrenię* i *szpazmy*.

— Odłożmy to dla gości.

— Cóż to jest rybko, czego chcesz? — czuję serca bicie gwałtowne, przerażasz mnie.

— Dotąd nic jeszcze pani moja, ale grozi nam niebezpieczeństwo.

— A! menażuj moją delikatność, nie dobijaj mnie, ty wiesz stan mojego zdrowia.

— Kochanko! z uśmiechem rzekł Janek, to dobre dla gości, ale my cośmy z sobą razem koło indyków w Żalicach chodzili...

— Na Boga! posłysz nas — mdleję.

— Słuchaj Ewo, rzekł Jan — jesteśmy jeśli nie zrujnowani w tej chwili, to ruiny bliżej; czas radzić, nie porachowaliśmy się z naszą fortuną; i oto poczynając się przebierać jej, wkrótce możemy nic nie mieć.

Ewa zapomniawszy o mdłościach, i poskoczywszy z krzesła zaczerwieniona, zawołała:

— Bo w karty przegrywasz — bo w karty przegrywasz!

— Ja! ruszył ramionami Jan, a paniż to mało tracisz co dzień? Obojeśmy winni.

— Nie prawda! nie prawda! — odparła żona — tyś winien, ty, albowiem bym ja traciła, żebyś mi w początku nie mówił: trzeba się zastawić a postawić.

— Cicho! cicho! cicho! Kto wie, słuchają nas może podo drzwiami, a gdy się jeno wieść rozejdzie, ratunku już nie będzie, rzucą się na nas wierzący zewsząd.

Jejmość padłszy w krzesło rozplakała się.

— Trzeba nam — rzekł Janek, pod pozorem do wód, wyjechać do Żalic i podłatać pracą co się utraciło.

— Wyjechać z Warszawy! ale ja nie wyżyję na wsi. Janek się rozśmiał, ruszył ramionami i rzekł po



cichu: Nie grajmy z sobą komedji — mówmy rozumnie; na Żalicach i przykupionych wioskach mamy już 200,000 długu, jeszcze z tego wynijść możemy, ale później nie czas będzie.

— A przecież Żalice i te wioski warte są więcej 600,000! sam tak mówiłeś.

— Tak jest, pani moja, ale na tem 200,000 co dzień rosnącego długu, to rzecz nie mała.

— Ja nie potrafię teraz wyżyć na wsi!

— Ba! będziesz musiała. To powiedziawszy Janek wstał i przeszedł się po pokoju. Naradzmy się, rzekł, kiedy wyjeżdżamy; trzeba zawczasie mówić o tem. Kilka tygodni będziemy jeszcze żyć jakśmy żyli, potem niby do wód, usuniemy się na wieś.

— Rób co chcesz, ale ja umrę! — odparła Ewa padając na krzesło.

Jan ruszył ramionami jakby chciał powiedzieć: Umieraj sobie, i wyszedł z pokoju. Pomimo tej sceny rannej, która panią Łowczyńską nabawiła *szpasmów* i bólu głowy na dzień cały, a której tajemnica zachowywała się między małżeństwem, życie obojga ani na włos się nie zmieniło. Ewa nazajutrz zaraz, jakby na złość porobiła nowe ogromne wydatki, a Jan tegoż wieczora, próbując szczęścia i usiłując się odegrać u barona, puścił się tak zapamiętale w karty, że nim dzień zaświtał, przegrał na słowo do 15,000 czerwonych złotych, precjoza, konie, powozy i co tylko na kartę mógł postawić.

Baron bez żadnej ceremonji, uzyskawszy obligi formalne, zabierał się drogą sądową dochodzić swej należności, a biorąc pochód do zerwania stosunków przyjaźni z panem Janem, do czego dawno szukał tylko powodu, wyzwał go na pojedynek, rzucając mu w twarz ostatni list jego pisany do baronowej.

Spotkanie wszakże do skutku nie przyszło, bo Jan wyjechał nagle na wieś, zostawując żonę samą w mieście.

Wierzyciele bliżsi, na hasło dane przez barona, rzucili się zajadle na ruchomości pozostałe w mieście, i wyścoigając się poszli do majątku. Baron nabywał dłu-

gi, i nim Janek wykretnemi, zmyślonemi ciężary potrafił zakryć majątek, już ruina jego stała się widoczną. Ewa uchodząc wstydu i niedostatku, który jej zagrażał, ostatnim powozem nocą umknęła z Warszawy za mężem. Interesa obojgu tak nieszczęśliwy wzięły obrót, że najbieglejsi prawnicy obiecywać nie mogli Janowi nic nad zupełną ruinę. Janek rachując że lepiej było pani majątek na swój przerobić, wyrwał sobie sam sposób bronięcia się wierzycielom, choć chwilowy i niegodny. Żalice i przykupione wioski zajęto, zostawując dziedzicom lichy domek i sustentację ubogą.

Ewa wydzieraa oczy mężowi, mąż wściekał się ze złości bezsilnej, a życie tych dwojga nieszczęśliwych stało się pasmem nieznosnych swarów, niekiedy do boju przychodzących. Nareszcie sama pani tknięta paralizem, umarła. Janek po ubogim pogrzebie, odzyskawszy trochę energii, jał się zapamiętale procesu, i z pomocą skarbnika Śliwickiego począł pracować nad zepchnięciem swych prześladowców (tak nazywał wierzycieli). Nieszczęściem ci, co najprawdziwsze i najsprawiedliwsze mieli należności, najmniej opatrzeni byli w w ich ubezpieczeniu; ubogich więc rzemieślników puszczone z kwitkiem, i masa powiększyła się tą likwidacją bezecną. Ale z baronem nie tak było łatwo, bo ten się pilnował, i gdyby nie to, że jakiś traf szczęśliwy na szulera nastąpił większego jeszcze, byłby Janek padł jego ofiarą.

Po długich mękach i pracy, dług barona już w drugich rękach będący, bo przegrany z kolei, potrafił Janek zbyć dożywotnią pensją, na którą się zgodził nowy posiadacz. Pozostawali jeszcze inni wierzyciele, z któremi staraniem Śliwickiego poczyniono układy jak było można, tak że Jan pozostał przy Żalicach i Wólce, resztę dając na pastwę.

Wszystko to, cośmy tu w kilku słowach opisali, dla Jana, który wcześniej szafował życiem, przyspieszyło starość. Zgryzoty, praca nowa, zbytki, ciągle wrzące w sercu nienawistne uczucia, wyczerpały z niego siłę ostatek.

Zestarzały, zgrzybiały, łysy, kaszlący, schudły,



z oczyma wpadłemi i gorączką wewnętrzną, co pali ludzi szukających na ziemi szczęścia w rzeczach, które go dać nie mogą, po kilku latach pan Jan Porębski, kawaler orderu św. Stanisława, Łowczy... powrócił do Warszawy. Stan rzeczy krajowych mamił go nadzieją pochwycenia jeszcze tej godności jakiejś, o której dotąd niezrażony marzył. Wszystko było w ruinie i zamieszaniu, a z ruiny i zamieszania korzystać najłatwiej, Starostwo grodowe wakujące opłaciwszy suto, przyszło nareszcie uwieńczyć usiłowania jego. Ale teraz, gdy je posiadał, starostwo zdawało mu się niezmiernie małą rzeczą przy kasztellanji chociażby drażkowej; przy krzesle w senacie!

— Czemu bym ja zasiąść tam nie miał? — pytał się codzień siebie, czemu? i odpowiedzi nie mógł znaleźć, tak się czuł godnym wszystkiego co pragnął.

Starość nadchodząca bez pory zawiadła też nim w sposób, jakim władza podobnymi jemu. Chciał używać gdy już nie mógł, i wylał się na rozpustę i zbytki. — Nie brakło wówczas w Warszawie pięknych kobiet frymarzących sobą, łatwych pochlebców i towarzysztwa, które pobudzało pana Jana i podżęgało go do rozpusty.

Dawna namietność do gry i kart wróciła; i czego nie zabrały Róże, Emilje i Ernestyny, pochłonął stolik zielony. Starosta też sprawiał bale, dawał wieczory, i znówu po pierwszymu na wystawę się sadił. W rok czy dwa, długi nowe do reszty pierwszych przyroście już zastraszać poczynąły, ludzie usuwać się myśleli od pana Jana i chłód zrujnowanych obwiewał go zewsząd. Nareszcie na dany znak przez jednego z wierzycieli, runęli wszyscy na majątek, a widząc się bez nadziei ratunku, Jan co nie miał pojęcia innego życia nad to które prowadził, wziął truciznę w kielichu wina i w męczarniach życie skończył.

Tymczasem szewc pracował, śpiewając wesoło. Rodzina jego pomnożyła się jeszcze dwoma synami, a oszczędność dozwoliła przykupić drugą sąsiednią kamieniczkę. W izbie majstra nie się nie zmieniło, tylko czas spowaźnił twarz Marka, i piękną Annę zmienił w podżyłą kobietę, zawsze miłą jeszcze i świeżą.

Rządka chmurka przeleciała po niebie pogodnem pożycia Anny i Marka; i były to chyba strapienia drobne, powszednie, nieuniknione, które są życia wszelkiego warunkiem.

Jedni starzeli, drudzy rośli, a warstat majstra rozlegał się rozmową swobodną, śmiechem wesołym, lub pieśnią pobożną. — Niekiedy wspomnienie Jana zasepiło ich czoła, ale nigdy Marek żałując brata nie pożałował majątku. Miał dosyć dla siebie i dzieci, bolał tylko nad tem, że mógł mieć serce, które od niego uciekało. Nieraz spotkali się z sobą, ale szewc udawał że nie zna pana. Pan ani oczu nie podniósł na szewca. Dopiero na łożu boleści, gdy straszliwe męczarnie krzyki rozpaczcy wyrwały mu z duszy, Jan ujrzał Marka prze siebie. Szewc nadbiegł go ratować z lekarzem, zasłyszawszy o wypadku. Ale już było za późno, chłodną tylko dłoń uściśnął, i pomodliwszy się u łoża zmarłego, pogrzebał go swoim kosztem, bo wierzyciele natychmiast wszystko zagarnęli.

Taki był koniec Jana; a Marek? żyje podobno do dziś dnia. Słyszałem go śpiewającego Godzinki w kościele św. Jana, głosem jeszcze czystym i silnym. Anna i on siedzą przy starszym synu, a ze trzech młodszych jeden jest stolarzem, drugi kowalem, trzeci krawcem. Marek nie chciał ich próżniakami na świat wyprowadzić, i każdemu dał rzemiosło, choć ściśle biorąc, obejść by się bez niego mogli; bo Bóg poszczęścił poczciwemu, i jałmużny jego stokroć urosły, a cztery kamienice w mieście i kapitalik jeszcze uczyniły go prawie bogatym. Nie żyje wszakże jak bogaci, ani żyć synom dozwala.

— Masz do zbytku, mówi — podziel się z temi, co na potrzeby nie mają, sam nie używaj nad miarę, bo



życie obrzydnie. — Pracuj i kochaj, a będziesz szczę-  
wy. Szczęście w nas jest samych.

Ostatniemi czasy słyszałem, że Marek nabywszy  
Wólce Lutyńskiej kawał gruntu, na miejscu chaty  
miennego, postawić chciał domek dla żony i siebie  
am naostatek dni zamieszkać.

K O N I E C.





